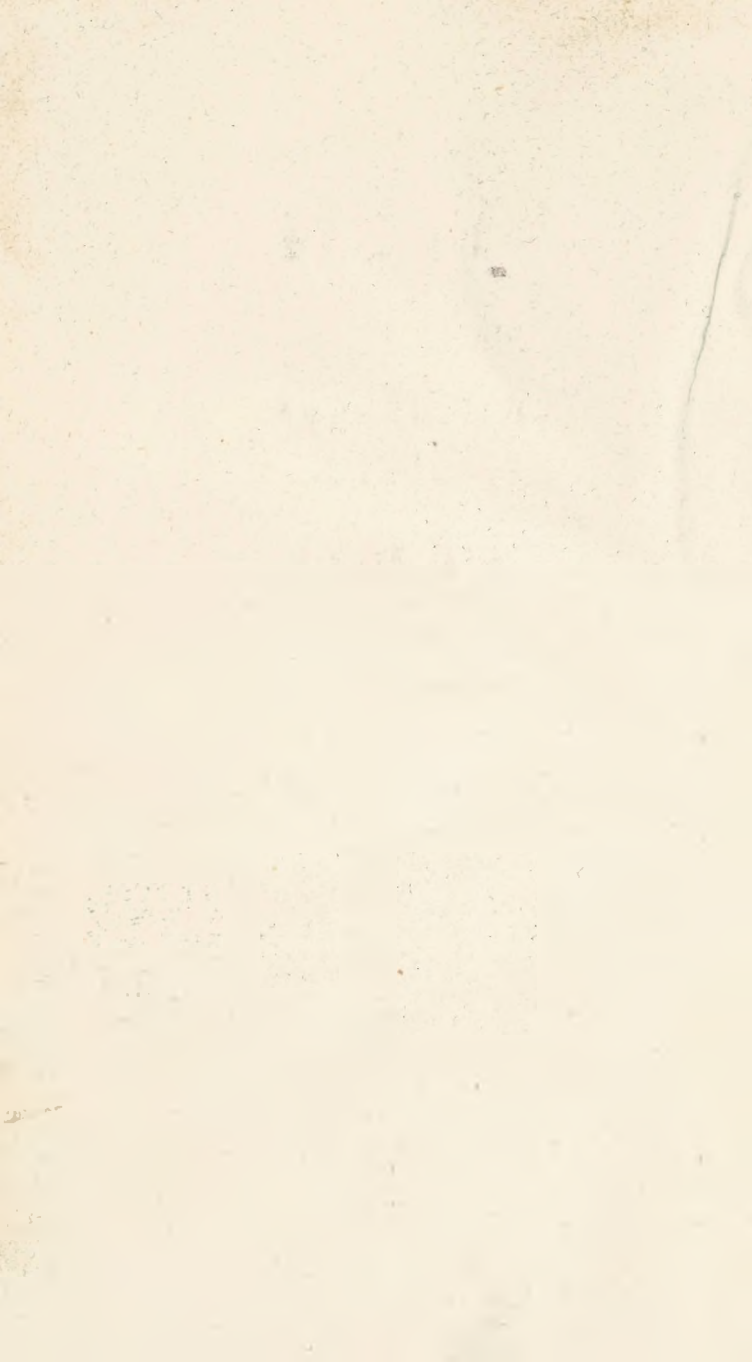






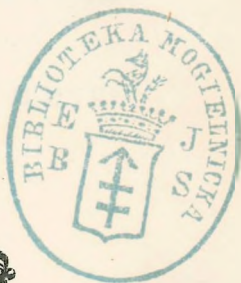
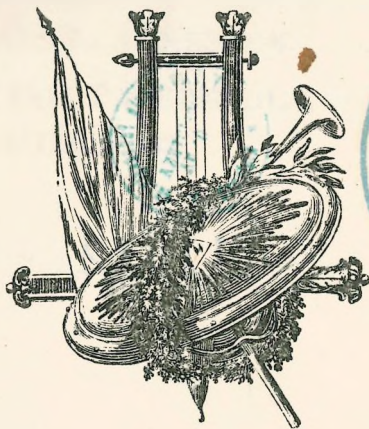
ARCYDZIEŁA

dramatyczne

ALEXANDRA HRABIEGO FREDRA.

T O M II.

Mąż i Żona.—Nowy Donkiszot.—List.—Pierwsza lepsza.
Odludki i Poeta.



L W Ó W,

Nakład i druk E. Winiarza.

1852.

in capital



111612 L-P

K O M E D I J E

ZAWARTE W DRUGIM TOMIE:

MAŻ I ŻONA, KOMEDIJA WE TRZECH
AKTACH, WIÉRSZEM.

NOWY DON KISZOT, KROTOCHWILA WE
TRZECH AKTACH, WIÉRSZEM.

LIST, KOMEDIJA W JEDNYM AKCIE, WIÉR-
SZEM.

PIÉRWSZA LEPSZA, KOMEDIJA W JE-
DNYM AKCIE, WIÉRSZEM.

ODLUDKI I POETA, KOMEDIJA W JEDNYM
AKCIE, WIÉRSZEM.



DECEMBER 1911

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY

ASTOR LENOX TILDEN FOUNDATION

1215 BROADWAY

NEW YORK

LIBRARY

NEW YORK

NEW YORK

NEW YORK

NEW YORK

NEW YORK

NEW YORK

NEW YORK

MĄŻ I ŻONA.

K O M E D I J A

we trzech Aktach, wierszem.



Cudzego nabywając, swoje często tracim;
kto po cudzą stawkę idzie, trzeba żeby
swoję stawiał, czasem i zapłacił.

And. Mar. Fredro.

O S O B Y.

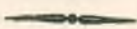
HRABIA WACŁAW.

ELWIRA, jego żona.

ALFRED.

JUSTYSIA.

Scena w mieście, w domu HRABIEGO WACŁAWA.



M A Ż I Ż O N A.

A K T I.

Pokój; z jednej strony kanapa, z drugiej stół okrągły, na nim lampa z umbrellą, w głębi fortepian.

S C E N A I.

Elwira, Alfred,

siedzą przy sobie na kanapie.

Alfred trzymając rękę Elwiry.

Luba Elwiro, kochanko mej duszy,
Z łez, oko twoje, kiedyż się osuszy?

Czemuż rzadkie, drogie chwile,

Które możemy spędzić z sobą,

Lubisz roniąc żalów tyle,

Smutną pokrywać żałobą?

Czy już miłości tak słaba jest siła,

Że szczęście moje, któreś ty sprawiła,

Nie może zatrzeć błahego wspomnienia

I myśli próżnych nie zmienia?

Elwira.

Alfredzie, kocham, kocham cię nad życie,

Lecz i to wyraz zbyt słaby;

Jakieżby życie mogło mieć powaby,

Gdybym go z tobą nie dzieliła skrycie?
Myśl, że stając się miłości nagrodą,
 Uczyliłam szczęście twoje,
Więcej jest może jak zgryzot ośłoda,
Jest . . . czego nawet wymówić się boję;
Ale czyż mogę bez skrytej tęsknoty
Puszczać w niepamięć obowiązki, cnoty,
Które za młodu w duszę mi wpoili,
Którem w nieszczęsnej przepomniała chwili?
Nareszcie ciągła obawa . . .

Alfred.

Obawa?

Elwira.

Alfredzie, miłość nasza nie jest prawa:
 Świat ma oczy przenikliwe . . .

Alfred.

Miłość nieprawda, marzenie prawdziwe!
Jeśli natura zaród jej płomieni
 W każdą istotę włożyła,
Płomieni, których czarująca siła
 Byt nieczuły w życie mieni,
 Tém samém, jak się wydaje,
 Każdą miłość uprawniała.
Czyliż ja przeto występny zostaję,
Że moje serce zamknięte zbyt mało,
Lubiące piękność, rozum, dobroć, wdzięki,
 Elwire kochać musiało?

Wszakżeto z świętej przyrodzenia ręki
Ona powaby, ja mam miłość stałą,
I jeśli kogo, nie mnie winić trzeba:
Czemuż Elwirę wskazały mi nieba?

Elwira.

Ach i ta miłość, dla której niestety,
Dnszy niewinnej zrzuciłam zalety,
Dla której widząc zawsze tylko ciebie,
Zapomniałam sama siebie,
Zapomniałam i świat cały,
Ach, jeśli kiedy strawi swe zapaly!
Jeśli twe serce ozięblém zostanie,
Jakież ty o mnie mieć będziesz mniemanie?
Może dowody dziś dane ...

Alfred.

Jakto! coś rzekła, gdy kochać przestanę?
Ach nie Elwiro, serc naszych złączenie,
To z twojém mego, równe uderzenie,
Ten pociąg luby i ognisty razem,
Co się tajemnym tłumaczac wyrazem
Spoił czułe nasze dusze,
I ta mgła na świat rzucona,
Gdy cię przyciskam do łona,
Ach, czyż ci powtarzać muszę
Więcej jak zwykłej miłości zapalem?
To czucie boskie, którego nie znałem,
Którego niegdyś szukałem daremnie,

Już się z życiem spleťło we mnie;
Ich węzła nieba nie wzruszą:
Trwać i ginąć razem muszą.

Elwira.

O! jakże lubię słuchać twego głosu!
Upojona tym urokiem
Tracę pamięć mego losu,
Ciebie tylko mam przed okiem;
Słowa z mych piersi wydobyć nie mogę,
Czuję i rozkosz, i żałość, i trwogę,
Pożar mnie przenika miły,
Pałam i pałać się boję,
I ledwie dosyć mam siły
Rzucić się w objęcie twoje;
Czemuż przeznaczenia władza,
Która nas złączyć umiała,
Która serca nasze zgadza,
Ciebie za męża Elwirze nie dała?
I Wacław może, z inną żyjąc żoną,
Byłby szczęśliwszy i ona szczęśliwą,
I jabym jak dziś nie była zmuszoną
Być z nim chytrą i fałszywą.
Miłość ku tobie jedynie
Mój wrodzony wstręt zwycięża,
Że w każdej życia godzinie
Zwodzić muszę mego męża.

Alfred.

Twojego żalu nie słuszną przyczyną;

Nie jegożto własna wina,

Że ci się ciągle podobać nie umiał,

Gdy już z razur był lubiony,

I że szalenie rozumiał

Powinnością miłość żony?

Wacław przystojny, bogaty, rozumny,

W młodości najpiérwszym kwiecie,

Z tylu miłostek i sławny i dumny,

Wszystkiém kazał wróżyć w świecie,

Że jego żona, w jakimkolwiek względzie,

Jedną z najszcześniejszych będzie;

Alć ledwie cię zaślubił,

Gdy mu wszędzie zazdroszczono,

On oziębły z swoją żoną,

Domu swego już nie lubił.

Ile gdzie indziej pośród zgromadzenia

Rzadką swą przyjemnością jest celem wielbienia,

Tyle nieżnośny sam na sam u siebie

Zostawił żonę, że powiem, w potrzebie

Gorętszej duszy szukania,

Szukania uczuć podziału

I ulegnienia pomału

Władzy, pod którą natura nas skłania.

Elwira.

Gdybym nie była zawsze opuszczoną,

Ach inną byłabym żoną!

Alfred.

Spędziłaś z nim, powiedz, choć chwilę przyjemną?

Elwira.

Ach nie, nigdy niestety! tak mało żył zemną.

Alfred.

Jeśli przyjdzie do ciebie, to siedzie i ziewa.

Elwira.

I za to, że się nudzi, na żonę się gniewa.

Alfred.

Coraz przykrzejszym się staje.

Elwira.

Zawsze zrzędzi, gdyra, łaje.

Albo ileż mi zawsze nie czynią zgryzoty

Jego fałszywe pieśczoty,

Którymi zwykle obdarza,

Gdy nas kto trzeci uważa:

Rozkosz, szczęście rozpowiada,

Których dozna kto się żeni,

Ściska, pieści, do nóg pada,

Żonę bóstwem swoim mieni;

Lecz ten, co patrzył, drzwi ledwie zatrzaśnie,

Zaraz miłość, greczność gaśnie,

I jakby chciał okupić przyjemność tej chwili,

Na tysiąc niegrzeczności natychmiast się sili.

Alfred.

Nieznosny.

Elwira.

Przykry.

Alfred.

Bez duszy.

Elwira.

Nie go nie ujmie.

Alfred.

Nie wzruszy.

Elwira.

Nie wiedzieć czém mu dogodzić.

Alfred.

I takiego przykro zwodzić?

Nie, nie, on zasłużył na to,
Niech za nieczułość to będzie zapłatą.

Elwira żartując.

Lubisz widzę mężów karać.

Alfred.

O dobro wszystkich potrzeba się starać,

Elwira.

I czasem to staranie jeszcze niechęć wzbudzi!

Alfred.

Ach, któż w świecie nie doznał niewdzięczności ludzi!

Elwira.

Jednak choć tyle przykrości z nim znoszę,
Żal mi go.

Alfred z długim westchnieniem.

Biedny!

Elwira śmiejąc się.

Nie żałuj go, proszę.

Alfred.

Jak nie żałować i nie westchnąć szczerze,
Kiedy mój Wacław w opiekę mnie bierze,
By mnie nauczał, jakie są sposoby
Zyskania względów kochanej osoby;
Kiedy, jak długo, trzeba skrycie kochać,
Kiedy oświadczyć, kiedy jęczyć, szlochać,
Jakiemi drogami chodzić,
Jak ospałych mężów zwodzić,
Słowem, miłostek naucza mnie sztuki.

Elwira śmiejąc się.

Ciebie?

Alfred.

Mnie.

Elwira.

A ty?

Alfred.

Ja słucham nauki.

Elwira śmiejąc się.

A wybornie, doskonale!

Prawda, że biedny; nie pojmuję wcale...



S C E N A II.

Elwira, Alfred, Justysia.

Justysia *wbiegając.*

Pan, Pan, dla Boga! Pan Hrabia już idzie.

Elwira *zrywając się.*

Tak wczesnie wraca, któżby się spodziewał!

Justysia *otwierając okno.*

Ach prędzěj, prędzěj, bo będziemy w biedzie.

Alfred.

Niežnośny człowiek . . .

Justysia.

Jutro będziesz Pan się gniewał...

Alfred *stając w oknie.*

Nie dać komu spokojnie wieczora przepędzić!

Po to wraca, żeby zrzędzić.

Justysia.

Dalěj, bo na honor zrzucę.

Elwira *do Alfreda.*

Kiedy? . . .

Alfred.

Za chwilę powrócę.

Elwira siada przy okrągłym stole, bierze robótkę i szyje; Justysia wybiega.

S C E N A III.

Elwira, Wacław.

Wacław wchodzi, spogląda na Elwirę i wzrusza ramionami, rzuca kapelusz i chodzi czas jakiś po pokoju.

Wacław stając przed Elwirą.

Czemu też raz w rok nie wyjedziesz przecie?

Możnaby się czasami pokazać na świecie.

Zawsze cię w domu, zawsze samę widzę.

Elwira.

Lubię samotność.

Wacław.

Ja jej nie nawidzę.

Chodzi; po krótkim milczeniu.

Gust osobliwszy, siedzieć zawsze w domu!

Elwira.

Gust nieszkodzący nikomu.

Wacław.

O, zapewne, zapewne, nikomu nie szkodzi;

Ale że nudny, mówić mi się godzi.

Chodzi; po krótkim milczeniu.

Czy także lubisz tę smutną ciemność?

Dzwoni mocno i do kamerdynera.

Świeć! przynoszą dwoje świec. Siada i ziewa.

Porzuć też tę robotę,

Zawsze te igły i nitki;

Że u kobiet miary niema!

Albo bale, ucztę, zbytki,

Albo też z spuszczonemi nad szlarką oczyma,

Jakby w krzesła powrastałe
Szyją i dłubią dni całe.

Długie milczenie; Elwira siada do fortepiana, cicho zacząwszy gra
coraz mocniej.

Wacław do siebie.

A six, cztery honory, As, Dama karowa,
I dać im skończyć Robra! To gra całkiem nowa!

Rzecz niesłychana! i jemu grać Wiska?

I jeszcze łaje i kartami ciska.

Wygrywam Asa, bo się gracza boję...

Ach, kochana Elwiro, uszy, uszy moje!

Daruj im to *Allegro*, daruj im te trele;

Tego harmonicznego hałasu za wiele,

Niemіłosiernie uderzasz w klawisze,

Myśleć nie można, sam siebie nie słyszę.

Elwira wstaje i siada przy stole, otwiera książkę; po krótkim milczeniu.

Nie wiem co znaczy, wszędzie pełno ludzi,

U nas rzadko kto, i każdy się nudzi;

Ha! każdy smutku stroni, wesołości szuka.

O, zrobić dóm przyjemnym, jest to wielka sztuka.

Po krótkim milczeniu.

Jakieżto ważne i zabawne dzieło?

Tak mocno twoję uwagę zajęło?

Elwira.

Pamiętnik.

Wacław.

Aha! Pamiętnik, nie żarty;

Od dwóch tygodni leżał też otwarty,

Aż się nareszcie doczekał czytania,
Nie wiem czy z nudów, czy też z powołania.

Elwira odsuwa książkę; długie milczenie.

Elwira.

Wcześniej dziś wrócił.

Wacław.

A gdzież siedzieć miałem?

Elwira po krótkim milczeniu.

Nie było Wiska?

Wacław.

Owszem.

Elwira po krótkim milczeniu.

Grałeś?

Wacław.

Grałem.

Elwira po krótkim milczeniu.

Szczęśliwie?

Wacław.

Nie. Ziéwając.

Był tu kto?

Elwira.

Nie było nikogo.

Po krótkim milczeniu, ziewając.

Drogo grywacie?

Wacław.

Nie drogo.

Elwira po krótkim milczeniu.

Pewnie duży mróz dzisiaj?

Wacław.

Duży.

Elwira ziewając.

Bardzo duży?

Wacław wstając.

Ale z tym mrozem nie nudź też mnie dłużej,
Cóż mróz, czy upał obchodzić mnie może!

Chodzi; długie milczenie.

Ale wszakże dziś teatr, mamy pono łoże?

Elwira.

Mamy.

Wacław.

Trzeba więc jechać, bo moda minęła,
Z piątego aktu sądzić o dobroci dzieła.

Elwira odchodzi.

S C E N A IV.

Wacław.

Ach, nim się człowiek niestety ożeni,
O, jakże mało swoją wolność ceni!
Aż zakosztuje tej kwaśnej słodyczy,
Dopiero sobie co miał niegdyś życzy.

S C E N A V.

Wacław, Justysia.

Justysia wbiega wziąć robótki Pani.

Wacław.

Dobrze żeś przyszła, Justysiu kochana.
Dybie na chwilkę od samego rana,
Któraby można przepędzić ze sobą:
Chciałbym cię widzieć i pomówić z tobą,
A mam mówić tyle.

Justysia.

Eh, gdybyś Pan chciał, to nie tylko chwilę,
Znalazłbyś pewnie i całą godzinę.

Wacław.

Jakże mnie możesz przypisywać winę?
Wszak wiesz, że proszę, błagam czy się srożę,
Nic mojej żony z tąd ruszyć nie może,
W domu siedzi całe życie,
I chcąc cię kochać, muszę kochać skrycie;
Ale gdy jutro pójdzie do kościoła...

Justysia.

Już, już rozumiem, puść Pan, Pani woła.

Wacław.

Tak ci się zdaje.

Justysia.

Nadejdzie dla Boga!

Wacław.

Nie zapominaj o mnie, lubciu droga,
 Staraj się wszystkich od siebie wyprowadzić,
 Tak będziemy mogli z sobą godzinkę zabawić.
 Pamiętaj o mnie, bo ja w każdej dobie
 Lubię pamiętać o tobie.
 Patrz, pierścionek dla ciebie od dawna już noszę;
 Chciej go przyjąć, bardzo proszę,
 Niech go twoja rączka zdobi.

Justysia się kłania.

Tak mi dziękujesz?

Justysia z kokieteryą.

A jakże dziękować?

Wacław.

Jak Justysiu? Pocałować. Chce ją całować.

Justysia nastawiając się.

Proszę Pana, co Pan robi.

Elwira wchodzi, Justysia odtrąca Wacława, który stał tyłem do Elwiry.

SCENA VI.

Elwira, Wacław, Justysia.

Justysia chwytając się za głowę.

Ach, ach! głowa!

Płacze.

Prawdziwie, powiedzieć się godzi.
 Pan Hrabia zawsze tak chodzi,
 Jakby tylko sam był w domu;

Tak niesłychanie rozbić głowę komu!
Aj, aj, co za ból! oka nie mogę otworzyć.

Elwira.

Wody zimnej czémprędzej najlepiej przyłożyć,

Dzwoni i ku drzwiom idąc, do kamerdynera.

Wody! wody daj prędko!

Do Justysi.

To sposób jedyny,

Będiesz zdrowa w pół godziny.

Justysia.

Zdrowa, a siniec?

Elwira.

Nie wiele zaszkodzi.

Przynoszą wodę.

Justysia.

A fe!

Elwira.

Justysi o jej piękność chodzi.

Justysia.

Jużci, trzy dni pościć wolę,

Jak nosić siniec na czole.

Elwira sadza Justysię i zawiązuje chustką głowę.

Elwira.

Gdzieto?

Justysia.

Tu, tu, ach jak boli!

Elwira.

Tu?

Justysia.

Tu, ach, tylko powoli!

Elwira.

I znaku niema, jednak chustka może zostać.

Justysia

groząc Hrabiemu po za Elwirę.

Na honor, że dobrego mogłam guza dostać.

Elwira.

Poślij tam, z zaprzęganiami niech się jeszcze wstrzyma.

Justysia całuje rękę Elwiry i idzie z spuszczoną głową pomalu ku drzwiom;
spogląda z pod oka; widząc, że Elwira tyłem stoi, uśmiecha się,
Hrabiemu grozi i wybiega.



SCENA VII.

Elwira, Wacław.

Elwira.

Na teatr jeszcze nie czas, wszakże szóstej niema.

Wacław

który od wejścia Elwiry stał nieporuszony, jakby nagle przebudzony.

A, niema, niema szóstej; tak siódma dopiero,
Czy piąta, pół do szóstej. Niech konie rozbiera
Albo zaprzęgna, jak chcesz.

Na stronie.

Ten rozum dziewczyny...

Elwira.

Co dziewczyny?

Wacław.

Nic, żal mi że z mojej przyczyny
Cierpi tyle.

Elwira.

Nie bardzo, za nadto się pieści.

Wacław.

Prawda, lubi się pieścić.

Elwira.

Nie wiele boleści,
Więcej strachu doznała.

Wacław.

Tak i mnie się zdaje,

Elwira.

Czasem taki przypadek przestrogą się staje.
Będzie już uważniejszą.

Wacław.

Ja także w tej mierze
Będę patrzył przed siebie. Ale powiem szczerze,
Trzpiot z niej wielki.

Elwira.

Z Justysi? Rozsądna jak mało.

Wacław.

Ciekawa.

Elwira.

Ciekawego cóżby się tu działo?

Wacław.

Zawsze się kręci, śpiewa.

Elwira.

Zwyczajnie wesoła.

Wacław.

Chce zabaw.

Elwira.

Nic ją z domu wywabić nie zdoła.

Wacław.

I kokietka.

Elwira.

Bynajmniej, mam zawsze na oku

I bezemnie bądź pewny, nie zrobi i kroku.

Kamerdyner anonsując.

Pan Hrabia Alfred,

Wacław.

Prosić. — Tak rzadko tu bywa.

Elwira.

Aż nadto często.

Wacław.

Nie w łaskach u Pani.

Elwira.

Co to, to prawda.

Wacław.

Chymera prawdziwa;

Co wszyscy chwalą, moja żona gani:

Grzeczny, dowcipny i pełen honoru,

Cóż mu zarzucić nawet i z pozoru?

Elwira.

Chytry, fałszywy, zwłaszcza z kobietami.

Wacław.

Przepraszam, szczerzy aż nadto czasami.

Elwira.

Sobą tylko zatrudniony.

Wacław.

Tak się zdaje, bo nieśmiały.

Elwira.

Bez stałości...

Wacław śmiejąc się.

A! z tej strony...

Elwira.

Jakto doprawdy niestały?...

Więc widzisz że się nie mylę,
I czyż wad jego ma być tylko tyle?
Gracz.

Wacław.

On? kart nie zna.

Elwira.

Zły.

Wacław.

Najlepszy w świecie.
Niech będzie jak chce a ja proszę przecie
Dobrze przyjmować mego przyjaciela.

Elwira.

Mniemanie moje wszak was nie rozdziela,
Żadnej sprzeczności nie postrzeżesz we mnie,
Niech tu wciąż bawi, gdy ci to przyjemnie.

Wacław.

Prawdziwie, dziś gdy przyjaźń nieznana się staje,
On rzadkie mi dowody przychylności daje.



SCENA VIII.

Elwira, Wacław, Alfred.

Wacław.

Zapomniałeś nas całkiem kochany Alfredzie,
Przecię dziś jakieś bóstwo łaskawe cię wiedzie;
Trzy dni się niewidzenia, to wieczność prawdziwa.

Elwira.

Pewnie w tej części miasta rzadko kiedy bywa,
Inaczey swych przyjaciół nie mijałby zawsze.

Alfred.

Nie mogą być prawdziwie wymówki łaskawsze,
Lecz przytém niezasłużone.

Wacław.

Będziem więc słyszeć obronę.

Alfred.

Naszej szkody, że Pani dość samotność lubi,
Jestem, rzadko bywając, dotychczas pamiętny;

Lecz w miłym towarzystwie, gdy się pamięć gubi,
Byłbym wkrótce rad sobie a Pani natrętny.

Wacław.

Zła, zła obrona.

Alfred.

Ciebie zaś mój Panie,
Sam przyznasz, rzadko kto w domu zastanie.

Wacław.

I owszem, bardzo często, dziś cały dzień prawie
Nie chcąc słabą zostawić, przy Elwirze bawię.

Alfred do Elwiry.

Czy Pani słaba?

Elwira z pomieszczeniem.

Tak . . .

Wacław zbliżając się.

Słaba nieboga.

Pieszcząc się.

Moja kochanka, moja Pani droga.

Alfred.

Pewnie ból głowy, widać to z wejrzenia.

Wacław.

Tak . . . katar . . . katar zaraz oczy zmienia.

Alfred.

Katary teraz mocne, nie trzeba wychodzić.

Wacław z pospiechem.

O, i owszem, i owszem, nie może zaszkodzić :

W domu siedzieć, to niezdrowo.

Do Elwiry.

Jakże najdroższe życie, jakże z twoją głową?

Elwira.

Nie wiem, czy będę . . .

Wacław

niesłuchając odpowiedzi, do Alfreda.

Wiész, dostałem charta;

Co za skład, wielkość! rzecz widzenia warta.

Zmartwię Henryka, bo takiego niéma;

Żaden z nim porównania pewnie nie wytrzyma,

O, i twój Sokoł za nic, tą razą wybaczysz:

Tyli, czarny jak gałka, a kita . . . zobaczysz.

Ale teraz powiedz mi, co się z tobą działo?

Tak cię w świecie widać mało,

Zwłaszcza wieczorem unikasz zabawy.

Cóż dziś robiłeś? żądam ściślej sprawy.

Elwira.

Może w tém tajemnica, nie wypada śledzić.

Wacław.

Pewnie nie dla mnie.

Alfred.

O, wszystkim powieźcieć

I ściśłą sprawę zdać mogę,

Jaką odbyłem dziś drogę:

Byłem u Stolnikowój; po co? nie wiem prawie.

Wacław.

Cóż tam słyszałeś? udziel nam łaskawie.

Alfred.

Kaszlu dużo.

Wacław.

To nie wiele.

Alfred.

I plotek trochę.

Elwira.

A to nadto dużo.

Alfred.

Jednak powtórzyć możnaby je śmieie,

Bo chyba tylko za przestroagę służą:

Wszystko od dawna zapomniane dzieje;

Sama rozprawia, sama się i śmieje.

Elwira.

Tak, ale dobrze mówi.

Wacław.

O, bardzo wymowna.

Elwira.

Bardzo godna osoba.

Wacław.

Najlepsza.

Alfred.

Szanowna.

Wacław.

Ależ nudna! Jak zacznie i gadać i gadać,

Trzeba, żeby nie zasnąć, rzadką moc posiadać.



Alfred.

W krótce przybyła Aniela w żałobie.

Elwira.

Po kim?

Alfred.

Po mężu.

Wacław.

Umarł?

Alfred.

Żyje sobie,

Lecz dziś na wieś wyjechał a jutro powróci.

Wacław.

Cóż za czułość! Lecz czemuż w domu się nie smuci?

Alfred.

W domu? dobre pytanie: któżby o tém wiedział?

Ledwie mi jej brat rzecz tę rozpowiedział,

Weszła Julijsa do naszego grona.

Elwira.

W złym humorze?

Wacław.

Jak zwykle.

Alfred.

Ściśnięta, upstrzona.

Wacław.

Gipsem pruszaca.

Alfred.

Postrach mego fraka.

Elwira.

Co przy tej trudno zasnąć.

Wacław.

Bo budzi tabaka.

Elwira.

I słówka ostre.

Alfred.

Bardzo ostre z bliska.

Wacław.

Czego ona się stroi, złoci, bieli, ściska?

Na co jej walczyć z naturą?

Alfred kończąc.

Była niegdyś jaszczurką, teraz jest jaszczurą.

Wacław.

Wszędzie coś gani, coś śmiesznego widzi,

Zawsze się dąsa, zawsze z kogoś szydzi . .

Ale mów o kim innym, nie lubię tej baby.

Alfred.

Był więc Erazm: rumiany, chociaż niby słaby,
Zawsze słodko mówiący, choć pół głosu chował.

Najczuliej Stolnikowej urodzin winszował,

Mnie zaś imienin w dziesiątej oktawie,

Panu Janowi, że mieszka w Warszawie,

Xięciu, że w domu dwoje dzieci zastał,

I tak się mocno rozmachał, rozszastał,

Że i Staroście winszował,

Że żonę pochował.

Wacław.

Gdy do mnie idzie albo przy mnie staje,
Żem solenizant, zaraz mi się zdaje,
I wprawdzie ta figura zawsze winszująca,
Śmiejąca, kochająca, jest bardzo nudząca.

Elwira.

Dobre ma serce.

Alfred.

Jak gdyby baranek.

Wacław.

Słodki jak lukrecya, dobry jak rumianek.

Alfred.

Byłbym w uwagach czas dłuższy tam strawił,
Gdyby Kasztelan strachem nie nabawił.
Postrzegłszy, że już ku mnie rozpuścił swe żagle,
Nie chcąc słuchać procesów, wymknąłem się nagle.

Wacław.

Dokąd?

Alfred.

Do Baronostwa.

Wacław.

Cóż dobra Barona?

Alfred.

Dobra Barona kontent, kocha swego żona.

Wacław.

Zastałeś Półkownika?

Alfred.

A cóż za pytanie!

To się rozumié, któż go nie zastanie?

Elwira.

Na bardzo piękną napadliście drogę,

Obmawiacie od godziny.

Alfred.

Co wszyscy wiedzą, czyż mówić nie mogę?

Jestże tu co mojej winy . . .

Wacław.

Że Baronowa wojskowości sprzyja.

Nareszcie czyżto dzisiejsze odkrycie?

Elwira.

Zapewne, wina jej samój, nie czyja;

Lecz któż bez *ale*, mówią pospolicie.

Wacław.

Ależ bo Baronowej za grube jest *ale*

I bardzo proszę nie bronić ją wcale.

Elwira.

Sam ją chwaliłeś.

Alfred.

Trzeba też mieć względy

Na słabość kobiet, ich tak miłe błędy.

Wacław do Alfreda.

Żarty.

Do Elwiry.

Chwaliłem rozum, milcząc o honorze:
 Bo jeżeli szacunku taka pragnąć może,
 Która zdeptawszy skromność, obowiązki, cnotę,
 Wyrzekła się już wstydu, lubi swą sromotę,
 Co z tajemnych miłostek w jawny nierząd leci,
 Którą gardzą ucziwi, gardzić będą dzieci,
 Jeżeli taka chlubne zyska zdanie,
 Cóż się więc dla tej zostanie,
 Co szczęście w koło siebie ustalając sobą
 Jest wzorem cnoty, płci pięknej ozdobą?

Alfred.

Co za rozprawa grzmiąco wyłuszczona!

Wacław.

Wróćmy więc do weselszej, wróćmy do Barona:
 Że mu się żona ... tam ... te ... wiemy co się dzieje ...

No, cóż ma robić? Lecz z czego się śmieję,
 To, że tak kocha tego Półkownika,
 Który sumiennie czasami unika;
 Ale ten gwałtem przy sobie go mieści,
 Zaprasza, trzyma, ledwie że nie pieści:
 Z nim musi zawsze, z nim musi być wszędzie,
 Słowem, że jak odjedzie, Baron żyć nie będzie.

Śmiejąc się.

A, to rzecz śmieszna!

Alfred.

Prawda, że zabawna.

Wacław.

Tak się zaślepić i to od tak dawna!

I spokojnie żyją z sobą,

Żyją, jak ja z tobą. Śmieje się.

A co najbardziej śmieszności pomnaża,

Że cudze kroki dowcipnie uważa,

Umie postrzegać, umie i wyszydzić,

I wszystko może, oprócz siebie widzieć.

Alfred.

Pocziwa dusza!

Wacław.

A, to gań prawdziwy!

Alfred.

O! to za ostro; za cóż tak niegrzecznie?

Wacław.

Gań, gań, mąż taki, to wyraz właściwy.

Alfred.

Niech i tak będzie, kiedy chcesz koniecznie.

Wacław.

Jego ta pewność, na której spoczywa,

Czasem mnie śmiejesz; lecz czasem i gniewa,

I nieraz chętką mnie bierze

Wszystko powiedzieć mu szczerze.

Śmieje się.

Toby się zdziwił!

Alfred.

I miałby przyczynę.

Wacław.

Wystaw go sobie, jaką miałby minę.

Alfred.

Nie chciałby wierzyć.

Wacław.

Dowodybym złożył.

Alfred.

Toby się gniwał.

Wacław.

Nie, stałby jak wryty,
udając minę Barona.

Oczy wytrzeszczył i gębę otworzył.

Alfred śmiejąc się.

Niech Pani spojrzy, jaki wyśmienity:

Baron prawdziwy!

Dotychczas Elwira z spuszczoną głową przeglądając książkę, śmiała się
skrycie; teraz głośno się śmieje spoglądawszy na męża.

Po krótkim czasie.

Na zegarek patrzę,

Bo jeżeli będziecie Państwo na teatrze:

Siódma minęła.

Wacław

dzwoni, potem mówi do kamerdynera.

Pojazd.

Kamerdyner.

Zaprzężony.

Wacław.

Do naszej łoży jesteś zaproszony,

Jutro zaś przyjedź, do dziesiątej z rana

Z konną jazdą zaczekam na mojego Pana,

Potém u nas na objedzie;
Dobrze, kochany Alfredzie?

Alfred podając rękę Elwirze.

Chętnie przyjmuję wszystkie zaproszenia,
Oprócz do łoży: mam co do czynienia . . .

Wacław.

Zatém do jutra.

Alfred idąc ku drzwiom.

Tak, jutro Wacławie,
Na twoje miłe rozkazy się stawię,

S C E N A IX.

Kamerdynery wynoszą kandelabry ze świecami, lampa zostaje.

Justysia sama.

Wygląda; potém wybiega; patrzy za drzwi, którými wyszli; zamyka i wraca.

Wiém, wiém kto wróci, przysięgłabym prawie,
Wkrótce usłyszę do okna pukanie.

Ach mądry, kto na dole wymyślił mieszkanie!

Palec z palcem spotykając.

Otworzyć, nie otworzyć, otworzyć, otworzyć,
Otworzyć! aha, tak z losu wypadło.

Muszę też i panicza trochę upokorzyć:

Niech choć raz własne zobaczy zwierciadło.

Justysia nie trzpiot, pomyśli o sobie,

Ważyc wszystkiego nie chce w każdej dobie;

Jutro więc całkiem postać rzeczy zmienię,

wyniosło.

Bo tak mi każe honor i sumienie.

Siada przy stole i po krótkiem myśleniu.

Ale cóż znaczy, że go dotąd niema?

Jednak podobnoś dał mi znak oczyma.

Gdyby ... ha! ... ciszej ... jakiś szmer w ogrodzie.

Tak ... on ... niemylnie: poznaję po chodzie.

Obraca się tyłem do okna i zaczyna czytać; słyhać pukanie w okno.

Odskakując na środek.

Ach! ach!

Alfred za oknem.

Justysiu! to ja, otwórz.

Justysia.

Ja się boję.

Alfred.

Otwórzże prędeej; bo na zimnie stoję.

Justysiu! puka.

Justysia cicho.

Będę krzyzcć, Franciszku, Stefanie!

Gwałtu krzyczę, Janie! Janie!

Alfred.

Ale Justysiu, co robisz dla Boga!

To ja, ja; na cóż ten hałas, ta trwoga?

Justysia otwierając okno.

Ach to Pan jesteś.



S C E N A X.

Justysia, Alfred.**Alfred** w oknie.

A któżby też inny,
Tak odważny i tak czynny?

Justysia.

Takem się złąkla, że ledwie co żyję;
Jak serce bije!

Alfred kładąc rękę.

Czy doprawdy bije?

Justysia.

Dotąd jeszcze przyjść do siebie nie mogę.
Jak można komu taką sprawić trwogę?

Alfred.

Przepraszam cię, przepraszam.

Justysia.

Tak! Rzecz niesłychana.
To okno, to drzwi dla Pana.

Alfred.

Prawda, wygodne.

Justysia.

O, wiem że nie trudzi
Przez okno łązić, ale straszyć ludzi . . .

Alfred klękając, żartem.

Przepraszam cię królowo!

Justysia tym samym tonem.

Przebaczam.

Alfred.

Więc siadam.

Justysia

stając przed siedzącym na kanapie.

Co ja się Panu zawsze nie nagadam,

Poco tu przychodzić,

Mnie i Panią zwodzić?

Alfred biorąc ją za rękę.

Brawo Justysiu, morały!

Justysia.

Zdałyby się Panu, zdały.

Alfred.

Tak sądzisz?

Justysia.

Zapewne, bo . . .

Alfred sadzając koło siebie.

Tylko gadaj z bliska,

Z daleka nic nie słyszę.

Justysia.

Niechże Pan nie ściska.

Alfred.

Inaczéj być nie może: chcąc pojąć morały,

Trzeba, aby do serca bliski przechód miały.

Justysia.

Pan wielki filut!

Alfred.

Początek wspaniały.

Justysia.

Bo czy też może na świecie uchodzić,
Żeby tak brzydko moje Panią zwodzić?

Alfred.

A któż ją zwodzi?

Justysia.

Piękne zapytanie!

Wszakże jej Pan przysięgasz do śmierci kochanie;

I dziś słyszałam, stojąc pode drzwiami,

Jak ją Pan łudzisz pięknými słówkami:

udając Alfreda.

„Chciałbym zapomnieć daremnie;

„Miłość ze życiem spleła się już we mnie,

„Ich węzła nieba nie wzruszą,

„Trwać i ginąć razem muszą.

Alfred śmiejąc się.

No, i cóż dalej?

Justysia.

Alboż jeszcze mało?

Alfred.

Cóż tak dziwnego w tém ci się wydało!

Mówię że kocham, ona zostaje w tej wierze,

Bo też ja ją kocham szczerze.

Justysia.

Hm, czy tak? a mniej?

Alfred.

Za tobą szaleję!

Justysia.

Lecz moja Pani inną ma nadzieję;

Jedynie kochając Pana

Chce tylko sama jedna być kochana.

Alfred.

Sama jedna? co o tém to nie było mowy,

Tegom nie przyrzekł, to artykuł nowy;

Ale słuchaj Justyniu, rok już blisko mija,

Rok, jak kocham Elwirę i ona mi sprzyja,

Rok Justysiu, to nie doba!

Cóż więc dziwnego, że mi się podoba

Twarzyczka luba, dowcipne wejrzenie,

Co raz zgon wróży, raz ciska płomienie,

Uśmiech, co z marsem pomieszać się lubi,

Uśmiech zdradziecki, co każdego zgubi,

Usteczka małe, całuskom stworzone,

Obięcie pieszczone,

Przyjemność boska, boska postać cała;

Słowem, że się Justysia sercu podobala.

Justysia.

Słówek nie braknie i choć im nie wierzę,

Nie wiem, dla czego dotąd kocham szczerze,

Lecz gdy Pan nad rok, już nie kochasz więcej,

To mnie tylko zostaje pono sześć miesięcy?

Alfred.

Nie, ciebie kochać będę nad wszelkie kochanie,

Póki będę mógł kochać, póki życia stanie,
Przysięgam! . . .

Justysia.

Hola! stój Pan, nie przysięgaj proszę:
Gdzie przysięg trzeba, tam nikną rozkosze.

Alfred.

W jakimże dzisiaj Justysia humorze?
Łajesz mnie ciągle, ja słucham w pokorze.

Justysia.

Jeszcze raz tylko połaję.

Alfred.

Jeszcze raz jeden, przystaję,
Ale potem . . .

Justysia.

Naco też pisać listów tyle?
Mogą nas wydać, przykre sprawić chwile.
Dawniej je Pani przy sobie nosiła,
Lecz teraz taka plika się zrobiła,
Że trudno unieść; więc je wszędzie kładzie:
Pełno ich w łóżku i w każdej szufladzie . . .
Ja umiem po francuzku,

Alfred.

A wiem, doskonale.

Justysia.

Wzięłam więc kilka.

Alfred.

Niepotrzebnie wcale.

Justysia.

Zda się wiedzieć o wszystkiem więcem je czytała:

Jakieżto nudne! Nigdybym nie chciała,

Żeby kto do mnie pisywał podobnie.

Nie jestże bardziej sposobnie,

Gdy sam przyjdzie i zabawi.

I lepiej wszystko wystawi.

Alfred.

Justysia ma rozsądek i woli rozprawiać,

Jak się listkami zabawiać;

Lecz twoja Pani inne ma żądania

I do tych moja powolność się skłania.

Justysia.

Ależ listy mogą zdradzić

I Panią, mnie i Pana w nieszczęście wprowadzić.

Alfred.

Nie mnie, bo ja ich nie piszę.

Justysia.

Któż taki? nie Pan? co słyszę!

Alfred.

Gdzież byłbym w stanie pisać te arkusze?

Ale gdy co dzień jeden list dać muszę,

Siedzi tam przy mnie jakiś Francuz stary,

Co gada dużo i pisze bez miary:

Jemu więc czasem dyktuję,

Czasem bezemnie przepisuje,

Czasem co doda, ja potem poprawię,
I tak co doba jeden list wystawię.

Justysia.

Lecz i takie wydać mogą.

Alfred.

Nie wymieniam tam nikogo

I pismo nie moje,

Więc się niczego nie boję.

Justysia.

Wież to Pani?

Alfred.

Brón Boże!

Justysia.

I to się tak godzi?

I to niby Pan nie zwodzi?

Alfred.

A, już gdyrania dziś przybierasz miarę,

Więc pocałuj mnie za karę.

Justysia się odsuwa.

Co, nie chcesz? więc ja ciebie za wszystkie urazy

Pocałuję cztery razy.

Justysia.

Nic z tego. Ucieka.

Alfred.

Blżej.

Justysia.

Dalej.

Alfred.

Zmuszę.

Justysia.

Wzbronię.

Ucieka zasłaniając się krzesłami.

Alfred.

Proszę.

Justysia.

Nie.

Alfred.

Nie?

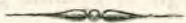
Justysia.

Nie.

Alfred.

Ale jak dogonię!

Alfred goni za Justysia pomiędzy krzesła; zasłona spada.



A K T II.

S C E N A I.

Justysia.

Ciągle się lękać, być ciągle na straży,
Gdy inna miłość bezpieczna się darzy,
Niema co myśleć, już wybór zrobiony:
Wacław zostaje, Alfred oddalony.
Tak ... lecz od Pani jakże go oddalić?
Jak? żeby siebie we wszystkiem ocalić.
Trzeba dowodów ... mamże służyć za nie
I wydać przeszłe nasze zachowanie?
Nie ... listy ... zazdrość ... bajeczkę ułożę,
Pani uwierzy ... on się wplątać może.
Tak, dobrze ... przy tém, gdy wiedzieć nie będzie
Kto zdradził, a ja utrzymam go w błędzie
Przez łzy, przysięgi, rozpacz i szlochanie,
Co było, skrytém na zawsze zostanie.

S C E N A II.

Justysia, Wacław.

Wacław *wyglądając.*

Jest jeszcze Pani?

Justysia.

Niema, już w kościele.

Wacław.

O, jakżem teraz polubił niedzielę!
W niej tylko chwilkę mogę żyć przy tobie;
Lecz nadal muszę myśleć o sposobie,
Jakbyśmy mogli bez ciągłej przeszkody
Wzajemnych uczuć udzielać dowody.

Lecz cóż, gdy do ciebie śpieszę
Z czulej miłości zapalem,
Kiedy naprzód się już cieszę
Szczęścia mojego podziałem,
Widzę cię smutną, oziębłą, nieśmiałą,
I lży... cóżto... cóż się stało?

Justysia.

Kochany Panie, nie badaj przyczyny,
Nie troszcz się losem nieszczęsnej dziewczyny.

Wacław.

Jakto, twój smutek niema mnie obchodzić?
Takąż miłość widzisz we mnie?

Justysia.

Nic mego żalu nie może osłodzić,
Na cóż wyjawiać daremnie?

Wacław.

Zwierzyć swój smutek, to ulga jedyna:
Powiedz więc, jakaż łez twoich przyczyna?
Jeśli mnie kochasz!

Justysia.

Ach jakież żądanie!

Wacław prosząc.

Luba Justysiu!

Justysia.

Luby, drogi Panie!

Pozwól, niech milczę.

Wacław.

Nie, to być nie może.

Justysia.

Później się dowiesz.

Wacław.

Nie, teraz chcę wiedzieć.

Justysia.

Smutku nie cofniesz.

Wacław.

Koniec mu położyć.

Justysia.

Nie mogę.

Wacław.

Dobrze, możesz nie powiedzieć,
Wiem, te łzy twoje, wiem, co mogło sprawić,
Płaczesz, bo nie śmiesz w oczy mi wyjawić,
Żeś mnie już kochać tak prędko przestała;
Otóż to twoja tajemnica cała.

Justysia.

Cóżeś Pan wyrzekł! Ach takie mniemanie
Wyrzywa przykre z ust moich wyznanie,
Że się na zawsze z Panem rozstać muszę,
Że to jest tajemnica, co dręczy mą duszę.

Wacław.

Rozstać się ze mną?

Justysia.

Tak, i to w tej dobie.

Wacław.

Justysia żartuje sobie.

Justysia.

Nie Panie, nie żartuję: wolę miejsce stracić,
Niżli za dobrodziejstwa niewdzięcznością płacić.
Nie, nigdy mojej Pani zmartwienia nie sprawię,
Tę z którą wychowana od kolébki prawie,
Która mnie nieustannie łaskami obdarza
I we mnie przyjaciółkę, nie sługę uważa.

Wacław.

Bądź więc jej przyjaciółką, ale bądź i moją.

Justysia.

Nie, takie związki dla nas całkiem nie przystoją:
Zbłądziłam już zbyt wiele, lecz błędy poznaję;
A ponieważ żal szczéry każdemu zostaje,
Wstąpię dziś do klasztoru: tam w ostrej pokucie
Odkupię przeszłe grzechy, zgaszę błędne czucie.
Ach dawniej tak uczynić potrzeba mi było!

Lecz nie znałam coto jest, że mi z Panem miło,
Nie znałam co się dzieje, gdym Pana kochała,
Bom niestety, okropnej miłości nie znała.

Wacław.

Lecz dla czegoż okropnej Justysiu kochana?
Okropność tylko przy tych, którym jest nieznana:
Stare tylko matrony miłością was straszą,
Niech mówią co chcą: miłość jest uciechą naszą!
Cóż tak strasznego w pieśzczot niewinnej słodczy?
Pewnie nic, kiedy każdy pieśzczot sobie życzy.
A co zaś do klasztoru, powiem że w tej mierze
Jestem trochę niewierny, rzadko kiedy wierzę:

Takie zamiary często się odmienia,

Są to zwyczajne panińskie marzenia,
I ta, co do klasztoru śpiesznie się wybiera,
Pewnie za ślubnym wieńcem z pragnienia umiera.

Justysia.

Jakto zwodzę?

Wacław.

Nie mówię, żebyś miała zwodzić,
Lecz mówię, że się mylisz, z resztą pocóż wchodzić,
Szczerę czyli nie szczerę twoje powołanie,

Dość że spełnioném nigdy nie zostanie.

Kocham cię, ty mnie kochasz, niech będzie dość na tém,
Bo cię na wszelki sposób pogodzę ze światem.

Justysia.

Nareszcie choćbym nie szła do klasztoru,

Muszę się z tą oddalić dla mego honoru.

Jakaż mnie przyszłość czeka, jakaż mieć nadzieję!
Że biedną, opuszczoną... Ach, cała truchleję!...

Wacław.

A, miej lepsze mniemanie o moim honorze.

Że się kiedyś rozłączym, to wszystko być może;

Lecz opuszczoną Justysia nie będzie:

Jej los przed wszystkiem mieć będę na względzie.

Posag panieńskie zwykł pomnażać wdzięki;

Gdy go Justysia do swoich przyłączy,

Nie jeden pewnie zapagnie jej ręki,

Tak nie klasztorem wszystko się ukończy,

I jeśli słowom nie dowierzasz może,

Dziś jeszcze pismo w twoje ręce złożę;

Bo szkoda tę twarzyczkę kratami zasłaniać.

No jakże? Słówko. Myślisz... zdajesz się nakłaniać...

Justysia.

Ach łatwo Pan zwycięztwo nademną odnosisz,

Bo nie mogę odmówić, kiedy o co prosisz.

Wacław.

Więc zostajesz?

Justysia.

Zostaje.

Wacław.

Bardzo mnie to cieszy,

Ale kto prawdę kryje, ten najwięcej grzeszy;

Wyznajże szczerze, ja się nie urażę,

Czy w rzeczy klasztor był w twoim zamiarze?
Lub też czyś może chciała w mniej ostrym sposobie,
Do swęj pokuty przybrać towarzysza sobie?

Justysia.

Oto piękne zapytanie! placząc.
Otóż nagroda za moje kochanie!

Wacław.

Kiedyż bo zaraz płaczesz.

Justysia.

Powinnabym szlochać,
Że na moje nieszczęście muszę Pana kochać;
Mogłam pójść za mąż, być Panią bogatą,
Jednak dla Pana nie zważałam na to.

Placząc.

Ale kiedy tak...kiedy tak Pan mniemasz,
Kiedy ufności w mojej cnocie niemasz,
Dostanę sobie męża, będę swój dóm miała
I będę sobie innych, grzeczniejszych kochała.

Wacław.

Ależ Justysiu, cóżto za myśl płocha?
Kto za mąż idzie, ten innych nie kocha.

Justysia.

A kto się żeni?

Wacław.

Kto się mówisz żeni?
Kto już żonaty?...to jest, kto ma żonę?...

To co innego... bo choć stan odmieni...

Mężczyźnie wszystko pozwolone.

Justysia do okna biegnąc.

Ktoś wjeżdża... Pani!

Wybiega z pokoju.

Wacław sam.

Jest, wraca, no proszę.

Co ja z tą żoną utrapienia znoszę!

To rzecz nieznośna a nawet i zdrożna,

Że w swoim domu nic robić nie można.

SCENA III.

Wacław, Elwira.

Wacław.

Wierz mi Elwiro, złą obierasz drogę,

Spokojnie patrzeć i milczeć nie mogę;

Czy moda, czy cudza rada,

Obie zarzucić wypada:

Wesołość, zabawy, stroje,

Wszystkoto ma miejsce swoje:

Lecz obowiązki, zwłaszcza względem nieba,

Zawsze naprzód kłaść potrzeba,

Mieszać ich z sobą nigdy nie przystoi

I kto nagany się boi,

Ten swe czynności z każdą porą zgodzi.

Elwira.

Ależ nie wiem o co chodzi.

Wacław.

Wszakże powiadam, że wcale nieładnie,
Kiedy która jak wichur do kościoła wpadnie,
Dziesięć razy się ruszy i wstanie i siedzie,
A zabawiwszy kwadrans wylatuje w pędzie,
Rzuca się do karęty z równym szmerem, trzaskiem,
I próżniackiej gawiedzi cieszy się oklaskiem,
Która podobnież w niedzielnej oprawie
W publicznych miejscach stoi na wystawie.

Elwira.

Czy to do mnie?

Wacław.

Trzech minut nie byłeś w kościele;
Ale nie będę rozprawiał zbyt wiele,
Powiem ci tylko, żeto śmiesznie bardzo,
Kiedy kobiety pozorami gardzą.
Nie dość być w duszy nabożną, cnotliwą,
Nie dość, uważną i tkliwą
Na najdrobniejszy uszczerbek honoru:
Potrzeba być tém wszystkiém, także i z pozoru.

Elwira.

Tę bardzo słuszną przestrogę
Z dawna mam w duszy, więc przyjąć nie mogę:
Widząc szczęście w cichej cnocie,
O wrzasku świata nie myślę,
Ale nabożna w istocie
I na pozór zważam ściśle.

Wacław.

Czemuż tak prędko wracać?

Elwira.

Z jak najlepszej chęci:

Nie mogłam być spokojną i wyrwać z pamięci,
Że stangret na mróz taki stać musi na dworze,
Że cierpi dla mnie tylko, gdy nie cierpieć może.

Wacław.

Mróz? dzisiaj mróz? gorąco! tak pięknych dni mało.

Elwira.

Czy doprawdy nie zimno? więc mi się tak zdało.
Jestem szczerze nabożna i bywam w kościele,
Na rzecz jak i na pozór zważam bardzo wiele,
Lecz czuję, że nad wszelkie nasze powinności
Jest najświętsza, nieść ulgę cierpiącej ludzkości.

Wacław.

Choć bardzo pięknie mówisz, rozprawiasz gorąco,
Gdzież tu przyłatać ludzkość i ludzkość cierpiącą,
Że stangret w dobrém futrze godzinę zaczeka?

Jakże się prędko wasz umysł zacieka!

Litość z rozsądkiem piękna, lubię ją i cenię;
Lecz przesadzona, w śmieszne zmienia się marzenie.

Elwira.

W śmieszne marzenie, przyznaję;
Lecz choć zamiar się nie z-іści,
To chęć dobra się zostaje
W niezawodnej nam korzyści.

O, jak słodko i przyjemnie,
Gdy pomyśleć mogę sobie,
Że ktoś pomoc znalazł we mnie,
Że cierpieniom ulgę robię;

Ach mój mężu! mów co chcesz, licz między przywary,
Litość i dobroczynność nigdy niema miary;

Ach, ludzkość bóstwem mojem! jej powab, jej siła...

Wacław przed ostatnim wierszem wzruszył ramionami i odszedł, tak,
że Elwira nie postrzegła jego niebytności.

SCENA IV.

Elwira, Justysia.

Justysia.

Tak prędko Pani wróciła?

Elwira.

Ach jakżem wrócić nie miała,

Kiedym list do Alfreda oddać zapomniała,

Weź i wręcz zaraz, jak tylko przyjedzie,

A tak mieć będę odpis przy obiedzie.

Justysia biorąc list, kiwa głową.

List do Pana Alfreda?

Elwira.

Cóż znaczą te miny?

Justysia.

Boję się mówić.

Elwira.

Tylko bez przemowy.

Justysia.

Lepiej nie oddać.

Elwira.

Nie oddać? z przyczyny?

Justysia.

Uwierzysz Pani?...

Elwira.

Nie kłóćże mi głowy,
Mów co masz mówić bez tego zachodu:
Wszystkiemu wierzę, lecz trzeba dowodu.

Justysia.

Ale wprzód Pani przyrzekniesz milczenie,
I że jakiegobądź wypadnie zdarzenie,
Nie wydasz z kąd wiesz, co ci chcę wyjawić,
Gdyż to na zemstę może mnie wystawić,
A często dobra sława niewinnej dziewczyny
Może przez tych paniczów zginąć w pół godziny.

Elwira.

Wszystko ci obiecuję, zaręczam, przyrzekam,
Tylko niech dłużej nie czekam.

Justysia.

Wyznam więc szczerze... ale ktoś nadchodzi,
Idźmy do siebie, nikt nam nie przeszkodzi.

Elwira.

Wielkie nieba! cóż się dzieje!
Cóż będę słyszeć! ach, cała truchleję!

Odchodzą.

S C E N A V.

Alfred

do kamerdynera piérwszy wiérz.

Proszę powiedzieć Panu, że go czekam.

Po krótkiém milczeniu.

Długo wprawdzie z Elwirą zerwanie odwlekam,**Ależ bo ta Justysia to luba dziewczyna,****Rzadką jakąś nademną władzę brać zaczyna,****Jej wesołość i jej wdzięki,****Okraszają Elwiry nieustanne jęki;****I tak mnie kocha to niewinne dziecię,****Tak tylko mnie jednego widzi na tym świecie,****Że się jej duszy i mym czuciom dziwię;****Nareszcie i myśl przyjemna prawdziwie,****Zem był jej mistrzem w nauce kochania,****Wszystko mnie ku niej mimowolnie skłania.**

S C E N A VI.

Alfred, Wacław.**Alfred.****A, cóżto za mars? cóż ci to Wacławie?****Wacław.****Ból głowy.****Alfred.****Mnie się nie zdaje,****Raczej przeszkoda w jakiejś czulej sprawie****Panu memu w drodze staje.**

Wacław.

Cóż! mówisz do mnie jak przed dwoma laty,
Czyś zapomniał żem żonaty?

Alfred.

Bynajmniej, tego zapomnieć nie mogę,
Lecz choć w tę ciężką puściłeś się drogę,
Wiem że się tymasz twoich zasad wiernie:
Rwiesz same kwiaty a omijasz ciernie;
Że nie chcesz bitym postępując torem,
Stać się małżonków sielankowych wzorem
I ślubnym prawom nie kładąc granicy,
Kądziel w ujęciu, u nóg półowicy,
Nie zechcesz ołowianej używać swobody;
Nadtoś żył w świecie, nadtoś jeszcze młody.
Jakto, ów Wacław, cel tylu zazdrości,
Dziecko popsute szczęścia i miłości,
Trzecia osoba przy każdym małżeństwie,
Nigdy nie syty odmiany w zwycięztwie,
Co trwogą mężów, zdradą żón się wsławił,
Co tyle rozkosz a potem łez sprawił,
Miałzeby przestać na dawniejszych czynach
I już spoczywać na swoich wawrzynach?

Wacław.

Tak, na wawrzynach spoczywam Alfredzie.
Pókiśmy wolni lepiej nam się wiedzie:
Tytuł małżonka powagi dodawa,
A ta najmniej jest potrzebną,

I do ufności nabyte już prawa
Nie są rzeczą nam pochlebną.
Wole ja zawsze kiedy mi się boją,
Wtedy przyjaźnią nie zwodzą się moją,
W swoim znaczeniu biorą każde słowo,
I zwykłą drogę skracają połową.

Alfred.

Jakżeś mnie zdziwił to nauką nową!
O mój mistrzu doskonały,
Czemuż twe dla mnie przykłady ustały!

Wacław.

O mój uczniu najmiłszy! poznasz w swojej porze,
Że inaczej być nie może.
Niech się żonaty gdziekolwiek udaje,
Ileż przeszkód nie zastaje!
I jego żona, i mąż z drugiej strony,
Spokój domowy, familijne rady,
A co najgorsza nad wszelkie zawady,
Te, jak bijące na krogulca wrony,
Co swe grzechy przeżyły, stugębne matrony.
Jeśli zaś ujdę ich sowskiemu oku
I skrytym będę w każdym moim kroku,
Jeśli nieznany zwiedę i oddalę
Tak opiekuny, jak jawne rywale,
Choć szczęśliwym zostanę w jak najwyższym wzglę-
dzie,
Cóż? kiedy o tém nikt wiedzieć nie będzie.

Alfred.

Tak więc mężowie spokojni być mogą?

Wacław.

Najspokojniejsi, nie tylko przezemnie:

Nikt ich już teraz nie nabawi trwogą

Albo nabawi daremnie.

Dzisiejsza młodzież zakochana w sobie,

Myśląca tylko o swojej ozdobie,

Co wszystkie kobiet śmieszności przejęła

I której jeszcze do całości dzieła

Spazmów i muszek tylko nie dostaje,

Mniema, że dosyć, kiedy w szrankach staje,

Raz się pokazać i raz się pochwalić,

By wszystkie serca miłością zapalić.

Któryż dziś umie w miłośnej potrzebie

Nie znać, zapomnieć i poświęcić siebie?

Wyrzecz się zdania swojej duszy prawie,

Być w szczęściu, smutku, nadziei, obawie,

Przez tę jedynie, dla której wzdychamy...

ciszéj

Póki ją jeszcze o co prosić mamy.

Alfred.

A kiedy już nie mamy? cóż wtedy Wacławie?

Wacław.

Trzeba nagle zmienić postać,

I z węża lwem zostać.

Alfred.

A, niechże cię uściskam za takie nauki;
Zmiłuj się, wydaj statut, a wdzięczne prawnuki
Imię twoje będą czciły.

Wacław.

Nie żartuj sobie, własne me przykłady
Mogłyby służyć za pewne zasady.

Alfred.

Żebyś pisał, żarty były;
Ale to myślę prawdziwie,
Że gdyś w miłości szczęśliwie
Podobania się sztukę przywiódł tak wysoko,
Warteś ściągnąć na siebie naśladowcze oko;
Że nikt pierwszeństwa nie dojdzie w tym względzie,
Kto zawsze tobie podobnym nie będzie,
Że winien w twoje postępować ślady,
A ty żeś winien udzielać swej rady.

Wacław.

Udzielać rady? komu, po co, na co?
Ospała młodzież, mężowie nie tracą.
Jako z nich jeden ja się z tego cieszę
I z oświeceniem nigdy nie pośpieszę;
Lecz dla dobrego jak ty, przyjaciela
Chętnie się rada udziela,
A gdy dobrze użyjesz nauki ci dane,
Ja nagrodzonym za pracę zostanę.
Czyś ty myślał, że się smucę,

Czyś ty myślał, że się smucę,
Gdy na spokój małżeński oko moje zwrócę?
O nie, ja tylko mówię, co wyznać należy,
Że niema teraz trwożącej młodzieży.

Alfred.

Nie pogardzaj nią zbyt wiele:
Wszakże z popiołów powstają mściciele.

Wacław.

Mówią to, że kto zwodzi, ten bywa zwiedziony,
Że zawsze takie same i męże i żony,
I że pewny przypadek nikogo nie chybi,

Hodie mihi, cras tibi.

Ale ja temu nie wierzę,
Mam na to sposoby moje,
Więc wszystkich przysłów w tej mierze
I mścicieli się nie boję.

Alfred.

Ty się nie boisz! ha, toś mnie zabawił!
Bo któżby się też obok ciebie stawiał!

Któżby popełnił szaleństwo,
Walczyć z tobą o pierwszeństwo,

Wacław.

Poznam takiego gacha za pierwszym wejrzeniem.

Alfred.

Nie wielka też to sztuka z twojem doświadczeniem.

Wacław.

I muszę sobie przyznać, że mam wzrok nie lada.

Alfred.

Wiele przenikliwości, to każdy powiada.

Wacław.

Jakbym zechciał, to ledwie że myśli nie zgadnę.

Alfred.

Poznasz więc chytre słówka.

Wacław.

I w sidła nie wpadnę.

Jestem przy tém ostrożny.

Alfred.

Aż się nieraz dziwię.

Wacław.

Ale nigdy zazdrośny.

Alfred.

Bardzo sprawiedliwie;

Bo też niema szkodliwszej nad zazdrość przywary

I mąż zazdrośny godzien zawsze kary.

Wacław.

Nareszcie z drugiej uważając strony,

Pewnym mnie czynią przymioty mej żony;

Jej szczéra miłość, dobre wychowanie...

Alfred.

Za sto Argusów stanie!

Wacław.

Lubi samotność.

Alfred.

Ustalisz ją snadnie.

Wacław.

Skromna, nieśmiała.

Alfred.

Ach znam ją dokładnie!

Wacław.

A nadewszystko, że bardzo nabożna.

Alfred.

I większej rękojmi czyliż pragnąć można?

Wacław.

Tak więc jestem bezpieczny we wszelkim sposobie:

Ufam czasom, Elwirze a najwięcej sobie.

Znam ja, bom niemi chodził, wszystkie ściężki, drogi,
Którymi się skradają chytre mężów wrogi;

Mam ja wszystkie fortele dokładnie w pamięci,

Nikt mnie nie minie, nikt się nie wykręci.

Bo wierzaj mi, że zawsze wódz biegły i stary

Młodzika w pierwszej wojnie niweczy zamiary;

Nareszcie, jak gra szachów, jest miłostek sztuka:

Każdy w niej do zwalczenia skrytej drogi szuka,

Lecz jeśli znawca jaki z zimną krwią zobaczy

Dwóch przeciw sobie zapalonych graczy,

Łatwo plan zgadnie i postrzeże wady;

A gdy jednemu zechce dawać rady

I przy nim ciągle jak na straży będzie,

Gdy Laufrów przejmie i zatrzyma w pędzie,

Konika zbije w najlepszym zamachu,

A zwłaszcza gdy Królowę ustrzeże od szachu,

Wtedy drugiego nieochybna strata:

Musi się poddać albo dostać mata.

Alfred.

Warteś katedry, ja zawsze powtarzam,

Nawet twoję naukę za ważną uważam,

I gdybym kiedy, gdzie urządził szkoły,

Zniósłbym dla niej prawnictwa niezdolne mozoły;

Bo dla czegoż na przykład, uczyć się w tej chwili,

Jak się przed laty Rzymianie rządzili;

Albo też wiele skudów zapłacić potrzeba,

By w kardynalskiej todze dostać się do nieba?

W miejscu więc mecenasów, ty na miękkim tronie

W licznym słuchaczów i słuchaczek gronie,

Uczyłbyś snadnie potrzebniejszej rzeczy,

Tak, potrzebniejszej; bo któż mi zaprzeczy,

Że sposób jak najwięcej rozkoszy nabycia

Jest, czego każdy szuka przez cały ciąg życia.

Kamerdynier wchodząc.

Już jedenaście i konie gotowe.

Wacław.

Byłbym jazdę zapomniał przez twoją rozmowę;

Służę ci, jadę gdzie Panu wypada.

Alfred.

Mnie wszystko jedno.

Wacław.

To się nie powiada

I ja nie pytam, lecz w każdej potrzebie

Ślepym i głuchym zostanę dla ciebie.

Chcą odchodzić, kamerdyner wchodzi i oddaje bilet Wacławowi.

Wacław przeczytawszy.

A że też dzisiaj nie mi się nie wiedzie! . . .

Zrób mi tę grzeczność kochany Alfredzie,

Zaczekaj chwilkę, nie długo zabawię,

Tylko wiadomość zasiągnę o sprawie,

Którę już dłużej nie mogę odwlekać;

Albo jeśli chcesz, to się gdzie spotkamy?

Alfred.

Nie, nie, tu wolę poczekać;

Jeszcze dosyć czasu mamy.

Wacław odchodzi.

SCENA VII.

Alfred.

Nie ludzie nami rządzą, lecz własne słabości,

Sens moralny tej rozmowy.

Kto pozna słabą stronę swego Jegomości,

Ma do domu klucz gotowy,

Wszystko mu stoi otworem

I wygodnym idzie torem . . .

Lecz sumienie, sumienie przyjaciela zwodzić!

Ha! ale też małżeństwo powinno się godzić;

Jeśli mniej kocham męża, za to więcej żonę,

Więc zawsze między niemi serce podzielone;

Żartuj sobie Alfredzie, świat ci to odplaci,
 Żadna w nim czynność waloru nie traci.
 Ach, czy nie obyczajów nie zdoła odmienić
 Jak się będę żenić!

SCENA VIII.

Alfred, Elwira.

Elwira.

Ach!

Na stronie.

Boże! on tu jeszcze!

Alfred z troskliwością.

Elwiro kochana,

Cóż znaczy powiedz, ta twarz zapłakana?

Jeśli ci jeszcze drogie moje życie,

Uśmierz niepewność sroższą nad wszelkie odkrycie,

Ach, powiedz duszo moja, co się ze mną dzieje?

Elwira.

Zdrajco! i ty się pytasz czemu ja łzy leję?

Jakto? i oka odemnie nie zwracasz?

Czyż głos sumienia już nie znany tobie?

Za czułą miłość wzgardą mi odplacasz,

Przysięgasz, zdradzasz, dwakroć w jednej dobie,

Lód w twojej duszy, kiedy ja goreję,

I ty się jeszcze pytasz, czemu ja łzy leję?

Tak jest, płakałam, bo się sobą brzydzę,

I teraz jeszcze płaczę, lecz że ciebie widzę.

Ale nie myśl, że miłość łzy moje wysącza,
Chytróść twoja mnie z tobą na zawsze rozłącza:

Ile kochałam, tyle nie nawidzę,
Cieszę się nawet, czuję rozkosz w duszy,
Żeś mnie z miłośnej uwolnił katuszy,
Żeś mnie objaśnił, ile godne wiary
Tobie podobne poczwary.

Alfred.

Uspokój się Elwiro . . .

Elwira.

Łatwo z mojej zguby

Przyszło ci dostąpić chluby:

Bez doświadczenia, bez rodziców rady,
Rzucona w świata szkodliwe przykłady
Z pragnącą duszą dzielenia się z drugą
Zyskać mą ufność nie bawiło długo.
Oziębłość męża i twoje zalety,
O których zawszem słyszała, niestety!
Wszystko ku tobie me serce skłaniało,
Wszystko walczyło odporu już mało;
Zwyciężyłeś, lecz kiedy ja w szczerzej żałobie
Kochając cnotę, poświęciłam tobie,
Ty swoją zdradą cieszyłeś się skrycie;
Lecz niczem zdrady byłoby użycie,
Niczem i sztuka uwodzenia cała,
Gdybym cię tylko mniej była kochała!

Alfred.

Możeszże myśleć . . .

Elwira.

Jestem występna, przynaję,
Nie chcę taić moich błędów,
Hańbą okrytą zostaję
I niewartą żadnych względów.
Zdeptałam świętość skromności i wiary,
Godnam tak bolesnej kary.

Ale czyliżto tobie karać mnie przystało?
Krwawić serce, że ciebie swojém bostwem miało?
Jeśliś nigdy nie kochał, nie znał ognia duszy,
Co namiętym pożarem źródło życia suszy,
Co w serce wciska i razem w nim mieści
Obok lubej rozkoszy najsroźsze boleści,
Cóż nieszczęsna Elwira mogła ci przewinić,

Alfred.

Ożem zrobił . . .

Elwira.

Ach Alfredzie,
To być nie może, mnie błędna myśl wiedzie,
Ty mieć nie możesz duszy tak nikczemnej,
Nie zdeptałbyś ludzkości dla chluby daremnej
I łzami memi twej cnoty nie zmazał:
Tyś musiał mnie porzucić, honor ci tak kazał.
Wszak prawda? powiedz, musiałeś mnie zwodzić
Ciężkim pociskiem w to serce ugodzić;
Ach powiedz, zaklinam cię, zmniejsz, skryj twoje winę,
Jak najpłonniejszą wynaleź przyczynę,

Jak najmniej wiary godną, ja chcę, ja uwierzę,
Lada pozoru uchwycę się szczerze,
Nie żebym w dawnych marzeniach została,
Lecz żebym ciebie cnotliwszym widziała.

Alfred.

Zgaduję teraz twych żalów przyczynę:
Zazdrośnaś, i o kogo? O biedną Alinę;
Ale jakżeś ją mogła porównywać z sobą?
Ty, która jesteś płci pięknej ozdobą,
Ty, przed którą pół świata musi się uniżać,
Ach, jakżeś mogła tak sobie ubliżać
I brać za miłość rozrywkę z mej strony?
Lecz żebym cię przekonał, ile jest ceniony
Każdy zadatek uczucia Aliny,
Oto jej bilet, w swym guście jedyny,
Mocny morałem i wczesną obroną,
Obok obietnic, o co nie proszono.

Drąc list.

Zdzieram go w sztuki, bądź pewna, że szczerze,
I u nóg twoich kładę go w ofierze. Zbliża się.
Zgoda zatem Elwiro, niechaj znowu stanie,
Przebaczam nawet dla niej, krzywdzące mniemanie.

Elwira.

Precz odemnie poczwaro! O łaskawe nieba!
Ileż podłości poznawać mi trzeba!
Alinę? ty? Alinę? . . . czyż mnie słuch nie myli?
W tej samej dobie; w tejże samej chwili,
Kiedy przysiegasz? . . . Nie, nie, wielki Boże!

Głos mój tej zgrozy wyrazić nie może;

do siebie.

I toż jest dusza, którą ja wielbiła!

do Alfreda.

Więc i Alina twe żądze wzbudziła?

Jeszcześ winniejszy, jeszcze winna nowa.

Lecz tu nie o Alinie między nami mowa.

Alfred.

O kimże?

Elwira.

O Justysi, zdrajco!

Alfred na stronie.

Dałem sobie . . .

Elwira.

Nie szukaj zdrady, nie myśl o sposobie

W inném świetle się wystawić,

Wiem wszystko, nic nie zdołasz zaprzec lub wyjawić.

Lecz nie chcę z tobą i minuty strawić:

Skróćę przykre nam uczucie,

Kładąc koniec tej rozprawie,

Sama oddam się pokucie,

Ciebie zgryzotom zostawię.

Ale nie, tego co spodlił mi duszę,

Nieszczęsna, łaski jeszcze błagać muszę,

Udział spodlonych! krok pierwszy sromoty!

Zaklinam cię więc, na najświętsze prawa

Litości, jeśli nie cnoty,

Zachowuj przyjaźń Wacława.

Alfred.

Ale słuchaj mnie? . . .

Elwira.

Zbyt nagle zerwanie

Może skazówką dla świata zostanie.

Jeśli mam tyle cierpieć, niechże cierpię skrycie . . .

Albo nie, idź, głoś, chwal się, zatruj nędzne życie,

Powiedz światu, uciesz go mych błędów obrazem,

Uciesz; ale powiedz razem,

Że ile zgryzot cierpię z utraty honoru,

Tyle wstydzić się muszę mojego wyboru.

Odchodzi.

SCENA IX.

Alfred

po krótkim milczeniu.

Ach jakże ładna, kiedy się rozgniewa!

Jeszcze tak ładną nigdy nie widziałem;

O, na honor przeproszę, niech się nie spodziéwa . . .

Ale stój, hola! wszak się rozstać chciałem?

Dobra sposobność; lecz tak wypędzony,

Złajany, wzgardzony . . .

Nie, nie, pójdę, przeproszę a potem . . . cóż potem?

Porzucę . . . fe! i cóżbym zyskał takim zwrotem?

Zostawmy im tę chlubę, której każda chciwa,

Że to one rwą zawsze miłośne ogniwa.

Po krótkim myśleniu.

Podarłem bilet kaci wiedzą na co;
Nie bardzom gładko postąpił w tej mierze.

Zbierając kawałki podartego listu.

Lecz te kawałki waloru nie tracą,

Owszem z nich każdy dwakroć większy bierze:

Powiem, żem uratował od zazdrośnej ręki

A za to Aliny wdzięki...

Aj wdzięki, nie zbyt wdzięczne, to przyznać wypada;

Rozumu jak na próbkę, długa, prosta, blada...

Ale mąż, mąż zazdrośny; uciecha jedyna!

Niechaj tylko ten utraci,

A co mi ujmie z rozkoszy Alina,

Mąż zazdrością dwakroć spleci.

Ale biedna Justysia, kóżto nas mógł zdradzić?...

Mniejsza z tém ... miejsce straci ... potrzeba zaradzić ...

U Aliny ją umieszczę!

Brawo, brawo, wyśmienicie!

Żyj Alfredzie, krótkie życie!

Lecz z Elwirą chciałbym jeszcze

Choć na pozór się pogodzić.

Ale jak ją ułagodzić?

Kamerdyner wchodzi.

Pan Hrabia czeka i prosi do siebie.

Alfred biorąc kapelusz.

Ha! zobaczymy, koncept przychodzi w potrzebie.

Wychodzi.

A K T III.

S C E N A I.

Elwira, Justysia.

Elwira siedzi oparta na stole, trzymając chustkę na oczach.

Justysia wnosząc kilka pakietów.

Otóż Pana Alfreda słodziutkie bilety,
Zewsząd gdzieś mogła zgadnąć zbierałam pakiety:
Z środka kanapy ta największa plika,
Ta, z pod krosienek, a ta ze stolika,
Te zaś z komody związane łańcuszkiem,
Ten pakiet był za biórkiem, a te dwa za łóżkiem;
Patrzałam, szukałam wszędzie,
I zdaje mi się, że już wszystko będzie.

Elwira.

Jeszcze nie wszystko.

Justysia.

Jeszcze nie? gdzież skryte,
Niech Pani powie, te skarby obfite?

Elwira.

Są jeszcze za portretem.

Justysia.

Czym?

Elwira z westchnieniem.

Mego męża.

Do odchodzącój.

Ach, i pod ołtarzykiem, gdzie się modłę co dzień.

Justysia odchodzi.

S C E N A II.

Elwira.

O, jakże litości godzien
Kogo miłość uciemięża!
Próżno rozsądku przyzywa,
I nienawiść nieci w sobie,
Wrzące czucie wszystko zrywa,
Świat w kochanej ma osobie.
Próżno powtarzam, że go nie nawidzę,
Że się taką duszą brzydzę,
Ach, próżno w męztwo, wstręt, wzgardę się zbroję:
Jego serca szuka moje,
Chcąc mych nieszczęść dójść przyczyny,
Moim kosztem go tłumaczę,
Chcąc żałować mojej winy,
Jego straty tylko płaczę.

S C E N A III.

Elwira, Justysia.

Justysia.

Tą razą pewnie wszystkie, i kącika niema,
Gdziebym nie była własnemi oczyma;

A teraz ogień czém prędej rozłożę,
Niechaj jeden po drugim, jak złoczyńca zgorze.

Elwira.

Jakże Justysiu, twego zezwolenia czekał?
Chciał cię z tą wykraść, i stałość przyrzekał?

Justysia.

Wszak już mówiłam: chciał mnie uprowadzić,
Miłość przysięgał, lecz ja nie chcąc zdradzić...

Elwira.

On cię także nie kocha i tylko cię zwodzi.

Justysia.

Tego nie wiem.

Elwira.

O, pewnie, wątpić się nie godzi,
Gdzieżby mógł Alfred zakochać się w tobie?

Justysia urażona.

Czemuż nie? Cóżto Pani widzisz w méj osobie,
Coby mi w sercach odrazę czyniło?

Elwira.

No, no mniejsza z tém, jak było tak było.
Ale trzeba odesłać wszystkie jego dary;
Nie możesz je zachować.

Justysia.

Wszak dla lepszéj wiary
Wzięłam i dotąd mam jeszcze przy sobie,
Lecz co Pani rozkaże to z niemi dziś zrobię.

Elwira.

Jakże Justysiu, nie oni pisał listy?

Justysia.

Wszak dałam Pani dowód oczywisty
I sam wyznał niestałość, czyliż jeszcze mało?

Lecz na cóż myśleć o tém, co się stało?

Elwira.

Dobrze mówisz Justysiu, już myśleć nie trzeba.

Za moje ufność tak zdradzić, o nieba!

Takem wierzyła, takem go kochała,

W niego już przeszła dusza moja cała!

Justysia.

Cóż z tej miłości, kiedy zawsze z trwogą,

Kiedy z jej łaski łązy oschnąć nie mogą;

Od jej zawiązku w jakiejbądź zabawie,

Wesołą Panią nie widziałam prawie.

Leżą w szufladach paryzkie ubiory

Tak innym damom do nabycia trudne:

Czypeczki, wstążki, batysty i mory,

A pelerynki, pelerynki cudne,

Szlarki anielskie a zwłaszcza te w ząbki,

Leżą nietknięte jakby stare rąbki.

Z rozczuleniem.

Wszystko Pani przeglądasz obojętnym wzrokiem,

Kaszmir, jak i perkalik równym widzisz okiem,

coraz bardziej rozczulona.

Girlandy nie chcesz nosić, stronisz od zwierciadła,

Słowem okropność w tym domu osiadła!

Wszystko tej miłości nieszczęsne są skutki;
Lecz teraz przecie, jak miną te smutki,
Powróci spokój, zgryzoty się zmniejszą.

Elwira.

Dobrze mówisz Justysiu, będę spokojniejszą.
Chwile rozkoszy! nie was nie zatrzyma
I nadziei nawet niema!
Zniknął sen szczęścia, zniknął mój świat cały,
Tylko żale mi zostały!

Justysia.

Miną i żale jak i tamte chwile,
Lecz na cóż wspominać tyle,
Na cóż rozmową zawsze je odnawiać?

Elwira.

Dobrze mówisz Justysiu, nie trzeba rozmawiać.
Ale powiedzże sama, jakie miał wejrzenie,
Kiedy swych uczuć dawał zapewnienie:
Ten uśmiech czarujący i ten wyraz w twarzy,
Którym Bóg tylko kochających darzy!

Justysia.

Prawda, miły, przystojny i przysięg nie skąpi;
Ależ mu i Pan Hrabia w niczem nie ustąpi.
Także przyjemny, przystojny i młody,
Pragnie spokojnej, domowej swobody,
I choć teraz oziębły, ja powiadam przecie,
Że niezadługo kochać się będziecie;
Niechaj się tylko Pan Alfred oddali.

Elwira.

Dobrze mówisz Justysiu, będziemy się kochali.

Ale jesteś ty pewna, że on nie żartował?

Może on tylko ufności próbował?

Justysia.

Czy tak? no to wiem, co wszystko ma znaczyć:

Niechże i zaraz przyjętym zostanie;

Możesz się Pani przed nim wytłumaczyć,

Nawet przeprosić po wziętej naganie.

Elwira.

Kto? ja? ja tego zdrajcę miałabym zobaczyć?

Jeszcze przed nim się tłumaczyć?

Ja go nie cierpię! ja go nie nawidzę!

Samém wspomnieniem się brzydzę!

Daj, daj te listy.

Justysia.

Na cóż Pani bierze?

Elwira.

Pójdę do siostry.

Justysia.

Więc można zostawić.

Elwira.

Nie; unikając domysłów w tej mierze,

Z tamtąd chcę wszystko do niego wyprowadzić.

Ty zostań, powiedz, jak Wacław przyjedzie,

Że już nie będę w domu na obiedzie,
Bo przy słabszej dziś siostrze, cały dzień zabawię.

Elwira zabiera pakiety listów w swój szal i odchodzi.

SCENA IV.

Justysia.

Ciesz się Justysiu i ciesz się Wacławie!

Otóżto główka, dalibóg nie lada.

Wszystko co chciała najlepiej wypada!

Nie będę teraz lękać się co chwilę,

Będę tu Panią, kochać i żyć mile,

Wszystko spokojnie, wszystko z dobrą sławą,

Brawo Justysiu! brawo! *śpiewa i tańczy.*

Brawo, brawo, brawo!

Wacław wchodzi i staje w głębi.

Brawo Justysiu, brawo!

Wacław kończy na tę samą notę.

Brawo, brawo, brawo!

Nastawia ręce, Justysia wpada w objęcie.

SCENA V.

Justysia, Wacław.

Justysia.

Ach, trzymaj mnie Pan! w głowie mi się kręci...

Aj, aj upadnę!

Wacław.

Nie brak mi na chęci:

Będę cię trzymał nawet i do nocy

I choćbym osłabł, znów przyjdę do mocy.

Justysia.

Nie, **siaść** wolę. Idzie do kanapy wsparta na Wacławie.

Wacław.

I owszem, usiadziemy sobie.

Siadają.

Justysia.

Wszystko to fraszka, ale ja źle robię,

Że Pana szukam cobym miała stronić;

Będę ja za to łez nie mało ronić...

Niechże Pan, proszę, trochę dalej siedzie.

Wacław.

Wszystko to fraszka, co było i będzie,

Byle cię tylko przycisnąć do łona...

Ale słuchajno, gdzie jest moja żona?

Justysia.

Poszła do siostry, która bardzo chora;

Przysłała po nią, zatém do wieczora,

Jeśli nie dłużej, będzie przy niej siedzieć,

O czém mi Panu kazała powiedzieć.

Wacław

śpiewając na tę samę nótę.

Brawo Justysiu, brawo, brawo, brawo!

Raz przecie nie potrzeba dręczyć się obawą:

Od rana do wieczora będziem tylko dwoje;
A, niechże cię uściskam za poselstwo twoje!

Całuje ją.

—
S C E N A VI.

Wacław, Justysia, Elwira.

Elwira wbiegając.

Zapomniałam...

Postrzegając.

Cóż to jest! cóż to jest? Wacławie?

Wacław.

Co to jest? he...takto te...takto nie chcąc prawie
Jakieś figle się wzięły...łaskotek się bała...

śmiejąc się z przymusem.

Łaskotek...otóż jakoś...i tak się rzecz stała.

Elwira do Justysi.

Precz! idź mi z oczu jaszczurko zjadliwa,

Którą przy sercu pieściła tak długo!

Takąż nagrodę bierze przyjaźń tkliwa?...

Precz z mego domu, teraz tylko sługo,

Nie wartaś słyszeć i słowa odemnie:

Prowadź tak życie, jak zdradzasz nikczemnie!

Justysia oddala się wgląbsz sceny powoli i zatrzymuje się z spuszczo-
nemi oczyma.

Do Wacława po krótkim milczeniu.

Ach mężu, jakżeś w jednej mógł zapomnieć dobie,
Coś winien swojej żonie, coś winien sam sobie?

Takimże związkiem Wacław się zaszczycą?

Takąż rywalkę daje mi niestety?

Spoglądając na Justysię.

Lecz gdzież ta piękność, która was zachwyca?

Jakież przymioty, jakieżto zalety

Tak wasze głowy zajęły szalenie?

Z ironiją.

Niechże je poznam, niechże i ja cenię;

Gdy już z tém bóstwem równać się nie ważę,

kłaniając się Justysi.

Niechże dziś cześcią, przeszłą winę zmażę.

Teraz dopiero dochodzę przyczyny,

Czemu oziębły zawsze byłeś ze mną:

Jam oddalała życzeń cel jedyny,

Jam tylko domu nie była przyjemną;

Dla tegoś to chciał zawsze mnie wyprawić,

Abyś mógł częściej godziny z nią trawić.

Otóż to wszyscy tacyście mężowie:

Czuli, wierni, tylko w mowie;

co raz prędej.

Sami zły przykład dajecie,

A dobre żony mieć chcecie;

Chcecie aby biedna żona,

Choć zwiedziona, choć wzgardzona,

Zawsze równie was kochała,

Wam wierzyła, was słuchała,

I za wszystkie swoje męki

Jeszcze Panu niosła dzięki;

Żeby jego znała wolę,

Ukrywała swą niedolę,
Żeby tylko sługą była...

tu pakiet jeden listów wypada ze szalu.

Ach! ach!

Chce podnieść, pakiet drugi wypada i następnie wszystkie.

O nieba! cóżem uczyniła!

Zakrywa oczy chustką i rzuca się na krzesło. Justysia się przybliża.

Wacław

podnosząc jeden pakiet.

Co to znaczy Elwiro? aj... Elwiro? żono!

Co to jest? te... te listy, te do ciebie pono.

A to pięknie! to śmiesznie! Przewracając listy.

Od kogo? do kogo?

Powiedzże, czyje te listy być mogą?

Trąc list w rękę; z wzrastającą niespokojnością.

Powiedz duszyczko, ja cię bardzo proszę,

Ja z tą nic złego, całkiem nic nie wnoszę

Ja nie posądzam; ależ to nie ładnie

Czekać, aż twój mąż tajemnicę zgadnie.

Czyjeż te listy? żono, droga, miła!

Tylko jedno, jedno słowo,

Dopieroś tyle mówiła!

Odpowiedzże mi, daj znak, kiwnij głową.

Elwira.

Nie mogę.

Wacław.

Dziwnie! Jednak wiedzieć muszę.

Elwira.

Chętniebym całą odkryła ci duszę,

Ale przysięgam, nie o mnie mi chodzi.

Alfred

wchodzi i chce się cofnąć.

A! przepraszam.

Wacław.

Nic nie szkodzi.

Alfred.

Może w zły czas...

Wacław.

I owszem; mam pomówić z tobą.

Elwira wstając.

A, tego już nie zniosę. Odchodzi.

Justysia

przybliża się do Wacława.

Przed obcą osobą...

Wacław.

Oddal się. Dzwoni, i mówi do kamerdynera.

Wejść tu teraz niewolno nikomu:

Wszystkim powiadać, że mnie niema w domu.

Justysia odchodzi.

SCENA VII.

Wacław, Alfred.

Alfred wszedłszy i postrzegłszy swoje listy okazuje wewnętrzne pomieszenie, zacięra ręce i nuci czasami, poglądając raz na listy, raz na Wacława. Wacław zamyka drzwi które Elwira wyszła.

Alfred

z przymuszonym śmiechem.

Cóż? zamykasz?

Wacław.

Zamykam.

Długie milczenie. Alfred zawsze niespokojny a Wacław drugie boczne drzwi zamyka.

Nikt nam nie przeszkodzi.

Alfredzie, przykre dla mnie zdarzenie zachodzi,

Przykre i wyznać, ale znając serce twoje,

Znając i szczerą przyjaźń, chybić się nie boję,

Gdy miłość własną przytłumiając w sobie,

Zgryzot domowych wyznanie ci zrobię.

Właśnie nim wszedłeś, minut kilka, moja żona,

Nie wiem, przeciw tam czemu gniewem uniesiona

Upuściła przypadkiem tych listów tysiące;

Jój krzyk, jój pomieszanie, wszystkie członki drżące,

Jakaś w tém tajemnicę wskazywać się zdały,

Podnoszę, czytam i staję zdumiały.

Czy uwierzysz? patrz, same miłosne wyznania,

Jakieś skryte umowy, jakieś rady, zdania,

Przysięg krociami... słowem, znajduję bilety,

Jakie się zwykle piszą do kobiety,

Która nam uczuć całkiem już nie kryje

I z którą się... nareszcie jak najlepiej żyje.

Pytam, proszę, zgaduję, błagam czy się dziwie,

Elwira milczy.

Alfred.

Milczy?

Wacław.

Milczy uporczywie,

I tylkom to mógł wyrwać z pomiędzy szlochania,
Że ją w tém obce dobro do milczenia skłania.
Co tu więc z tego wnosić, co czynić wypada
Powiedz, i niech mnie twoja objaśni w tém rada.

Alfred.

Ja sędzę, że Elwira całkiem jest niewinna,
Chyba w tém, że ci kryje, co zrobiła inna!
Ależ trudno wymagać po czulej osobie,
By zwierzenia przyjaźni powierzała tobie.

Wacław.

Ale czyjeż być mogą? jej związki mi znane,
A potem, przyjaciółki gdzież są tak wylane,
Aby sobie podobne powierzały rzeczy?

Alfred.

Prawda, dobra uwaga, lecz któż mi zaprzeczy,
Gdy te listy pisane przynajmniej od roku,
Że ten związek twojemu nie uszedłby oku?

Wacław.

Znasz mnie, na co mam gadać, jabym też nie zoczył!
Dla tegomto z Elwirą rozmowę odroczył;
Nie chciałem, aby zgadła co się ze mną działo
I myślała, że sobie i jej ufam mało.
Nareszcie, na uwagę wszystko biorąc ściśle,
O rozumie Elwiry z większą chlubą myślę:
Lepiejby przecię pisał od niej ulubiony.

Alfred.

Czemu?

Wacław.

To jakiś student sztychował androny.

Alfred urażony.

Dla czegoż student?

Wacław.

Bo głupie po troszę.

Alfred.

Ale dla czego głupie, powiedzże mi proszę?

Wacław.

Na, masz, weź ich kilka, czytaj,
A potem, czemu głupie, sam siebie zapytaj.
Nie do mojej więc żony te listy pisane;
Pewnie, jednak spokojnym póty nie zostanę,
Póki całej nie będę tajemnicy wiedzieć.

Alfred.

Niepotrzebna ciekawość cudze sprawy śledzić.

Wacław.

Wybacz, nie bardzo cudze, gdy o żonę chodzi.

Alfred.

Fe! wstydz się, fe! Wacławie, zazdrość cię uwodzi.

Wacław.

Zazdrość?

Alfred.

Zazdrość.

Wacław.

Mylisz się.

Alfred.

Porzuć więc badanie,
Zwróć listy, przeproś żonę i koniec się stanie.

Wacław.

Nie, nie, zazdrość nie zazdrość, niechaj co chce będzie,
Ja dzisiaj objaśnionym muszę być w tym względzie.

Po krótkim milczeniu.

Niech tylko jaki pozór na myśl mi przypadnie . . .

Z kimże żyje Elwira? wszystkich znam dokładnie.

Alfred.

Czekaj, co za myśl! Może . . . tak jest nie inaczej:

Justysia jej służąca, przyjaciółka raczej,

Co się swą francuzczyzną często lubi chwalić;

Wszak łatwo mogła kogo miłością zapalić;

A naśladować modę i wieku zwyczaje,

Chociaż Polka po polsku w miłość się nie wdaje:

Wszystko więc po francuzku, bilet i rozmowa.

Tak robią nasze panie, tak świata połowa,

Dla czegożby Justysia nie tak robić miała

I umiejac inaczej, po polsku pisała?

Nawet przypomnij sobie, gdym wszedł niespodzianie,

Szła, wróciła i pono . . . prawda, wyśmieniecie,

Chciała ci mowę przerwać i wstrzymać odkrycie;

Tak, wierzaj mi, nie próżne są domysły moje.

Wacław.

Justysia? to być może, wiesz, tego się boję.

Alfred.

A tobie coto szkodzi?

Wacław.

No, już ci nie szkodzi,
Ale to w moim domu . . . jakoś nie uchodzi . . .
Aby pod moim bokiem . . . moralność cierpiała.

Alfred z ironią powtarzając.

Aha, moralność!

Wacław.

Zatém jest to rzecz nie mała . . .
Ale na cóż przed tobą mam się kryć w tej mierze,
Kiedym zaczął się zwierzać, z wszystkiego się zwierzę:
Otóż widzisz Justysia . . . ale nie wnoś sobie,
Że ona jest służącą w zwyczajnym sposobie;
Ona wzrosła z Elwirą, wzięła wychowanie,
Któreby dobrem było nawet w wyższym stanie,
Od swych nauczycieli korzystała wiele,
I znając ją dokładnie, mogę wyznać śmieie . . .

Alfred z niecierpliwością.

No i cóż ta Justysia?

Wacław.

Otóż ta dziewczyna . . .
Chciałbym, żebyś z nią mówił, to rozkosz jedyna!
Trudno prawdziwie wierzyć, jak ma dobrze w głowie,
Jak rozsądna, przyjemna, wesoła w rozmowie . . .

Alfred.

No no, i cóż Justysia?

Wacław.

Wszystko wyznać muszę:

Otóż . . . a co najbardziej zaszczyca jej duszę,
To jest dobroć anielska z tym czułym wyrazem . . .

Alfred z niecierpliwością.

Ale cóż ta . . .

Wacław.

A zwłaszcza ma ... coś ... coś ... tak razem ...

Alfred.

Ma coś, ma, ma, wiem ja, wiem; ale skończ u kata!

Cóż ta Justysia? ta ozdoba świata . . .

Wacław wpadając w mowę.

Bardzo mi się podobała.

lfred.

Tak?

Wacław prędko.

Kochamy się wzajemnie.

I umiemy żyć przyjemnie;

Otóż okoliczność cała.

Alfred.

Umięcie żyć przyjemnie? umiejętność rzadka;

Lecz jakże już trwa dawno ta dla mnie zagadka?

Wacław.

Od dwóch tygodni jestem pewny że mnie kocha.

Alfred na stronie.

Od dwóch tygodni mnie zwodzi.

Wacław zasłyszawszy.

Czy zwodzi?

Otóżto właśnie i mnie o to chodzi;

Ale znowu nie jest płocha
I te listy w takim zbiorze,
Nie, to być nie może.

Ale, hm, prawda, przypominam sobie,
Ktoś się w niej kochał młody i bogaty,
Raz mi wspomniała w dość dziwnym sposobie,
Nawet się śmiała z kochanka utraty.

Lecz jeśli mając te oba przymioty,
To jest, młodość i klucz złoty,
Nie umiał panicz wyszukać sprężyny,
Do ustalenia tak młodej dziewczyny,
To już być musiał, mówiąc między nami,
Gań, ale gań nad gapiami.

Alfred nieukontentowany.

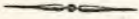
Jaki żeś dziś domyślny.

Wacław.

Więc tém się nie straszę.

Ale to próżne są domysły nasze;
Wolę Justysię tu przysłać do ciebie,
Staraj się proszę, w pewnośc ją wprowadzić,
Że chcesz dopomódz tę sprawę zagładzić;
Ofiaruj się jej w potrzebie,
Że przyjmiesz nawet i listy na siebie,
Że... ale ty potrafisz sobie z nią poradzić,
A ja tym czasem aż do nóg zniżony,
Będę o spokój wszystkich prosić mojej żony.

Odchodzi.



S C E N A VIII.

Alfred ciska listy o ziemię.

Niech cię!... wierz tu kobietom, bądź szczéry, bądź
stały,

W pole cię wyprowadzi lada nasek mały.

Chodzi dużym krokiem.

Dziecko... niewinność... słoweczka pieszczone...

No proszę, prócz niej, każdy był zwiedziony;

Żona od męża, mąż znowu od żony,

Ja zaś zwodziłem i męża i żonę,

A ta najlepiej duszyczka kochana,

Bo zwiedła i mnie i Panią i Pana.

S C E N A IX.

Alfred, Justysia.

Alfred.

Pięknie Panno Justyno, najpiękniej, wybornie!

Czemuż oczka spuszczone? czemu tak pokornie?

Już mnie nie zwiodą te minki udane:

Znane jęj serce, nadto dobrze znane;

Nic nie chcę słuchać, nic zmiękczyć nie zdoła.

Po krótkim milczeniu.

Cóż, nic nie mówisz? nie śmiesz podnieść czoła?

Zwiodłaś mnie dla drugiego, zastąpi go trzeci,

Fe! wstydz się Mościa Panno; nic bardziej nie szpeci

Jak płochość, chytrość, zmienność i nieczułość razem,
A wszystkich tych przymiotów Wać Panna obrazem.

Justysia, która dotąd stała ze spuszczonemi oczyma i pokornie słuchała,
parska śmiechem spojrzawszy mu w oczy. Alfred zdziwiony i trochę
zmieszany.

Cóżto jest?

Justysia śmiejąc się.

Ach, ach, jakże mnie to bawi,
Kiedy się Pan gniewa;
Lecz za cóż mi Pan to kazanie prawi?
Za cóż tak przeżywa?

Alfred.

Czemuż mnie i Wacława uwodzisz fałszywa?
W jednej, w tej samej dobie, ledwie nie w godzinie
Nie mówiszze obudwom, że kochasz jedynie?

Justysia.

Ni Pana, ni też jego nie zwodzę w tej mierze,
Mówię mu że go kocham, bo też kocham szczerze.

Alfred.

A mnież niewdzięczna?

Justysia śmieje się.

Za Panem szaleję!

Alfred.

Sama się śmiejesz.

Justysia.

Bo się Pan nie śmieje.

Lecz tu nie pora na kłótniach czas trawić:

Potrzeba Panią z nieszczęścia wybawić,

Jak tu zniweczyć dowód oczywisty,

Te listy Pańskie, te nieszczęsne listy?

Alfred

bierze kapelusz i chce odchodzić.

Co mnie do tego? Umięcie nas zwodzić,

Umięcie broić, umiejcież i godzić!

Wraca się i pierwszy wiersz mówi z namyśleniem, dalej z wzrastającą
złością.

Powiedz, że były do ciebie pisane . . .

Że . . . w tobie całe miasto zakochane,

Rząd, senat, armija cała,

Wszystkie ucznie, professory,

Mecenasy i doktory . . .

Żeś od wszystkich listy miała,

Żeś . . . powiedz co będziesz chciała.

A jeśli Wacław twojej nie uwierzy mowie,

Niechaj się mnie zapyta, wszystkiego się dowie.

Chce wychodzić; Wacław, który przed kilkoma wierszami wszedł
trzymając rękę Elwiry, zatrzymuje Alfreda.

SCENA X.

Elwira, Wacław, Alfred, Justysia.

Wacław.

Już się dowiedział.

Do Justysi. Ty Panienko miła,

Znalazłaś sobie równą, co ciebie zdradziła.

Twoje miłości, zdrady, usługi obfite,

Wszystkie już wiemy, wszystko już odkryte,

A że masz do klasztoru szczere powołanie,

Dziś twojej chęci zadosyć się stanie.

Justysia płacząc.

Ja do klasztoru! wprzód umrę dwa razy!

wychodzi szlochając.

Wacław.

Alfredzie, nie chcę wspominać urazy,

Którą za ufność odebrał od ciebie:

Wiem twą odpowiedź w podobnej potrzebie:

Ale znając cię dobrze, znany będąc tobie,

Wszystko w chlubniejszym chcę skończyć sposobie,

Nadto pewny, że wiedząc ile honor cenię,

Nie podłączę bojaźni, dasz temu znaczenie.

Elwira sama błąd mi swój wyznała,

Nad moję zemstę droższa mi jej chwala,

Żalom jej wierzę, młodości przebaczam,

Tak ją szanuję, sobie nie uwłaczam.

Alfred.

Przeciw obojgu występny zbyt wiele,

Już się i przebaczenia błagać nie ośmielę;

Lecz chociaż nas w tej chwili konieczność rozdziela,

Znajdziecie we mnie na dal zawsze przyjaciela.

Odchodzi.

Elwira chcąc przykleknąć.

Przebach Wacławie!

Wacław niedopuszczając.

I ty mnie wzajemnie!

Ufnością twoją znajdziesz ufność we mnie,
A błędy nasze zostając przestrogą,
Spokojność z czasem przywrócić nam mogą.

NOWY DON KISZOT

CZYLI

STO SZALEŃSTW.

KROTOCHWILA

we trzech Aktach, wiérsem ze śpiewami.



Szaleństwo, nie ochota, siłć się
dla niczego.

Aut. Max. Fredro.

O S O B Y.

KASZTELAN.

KAROL, syn
ZOFIJA, synowica } **KASZTELANA.**

MATEUSZ SĘDZIŁKO, BURMISTRZ bliskiego
miasteczka.

MICHAŁ, służący **KAROLA**.

JAKUB, stary sługa **KASZTELANA**.

BORUTA, leśniczy i karczmarz w dobrach **KASZTELANA**.

MAŁGORZATA, jego żona.

POSTYLIJON.

KMOTR, stróż karczemny.

WÓJT. WIEŚNIACY. WIEŚNIACZKI. INWALID.
DWORZANIE KASZTELANA.

Scena w dobrach KASZTELANA.

NOWY DON KISZOT

CZYLI

STO SZALEŃSTW.

A K T I.

Izba karczemna; drzwi w środku, na prawo i lewo; w głębi stół, za nim ława. Po prawej stronie sceny ławka, po lewej stolik.

S C E N A I.

Boruta, Małgorzata, Kmotr, Wieśniacy;

później **Stróż Nocny.**

Wieśniacy piją przy stołach i tytuń palą. Małgorzata z jedynym się rachuje, drugim Boruta trunku dostarcza.

Wieśniacy śpiewają.

Dalej żwawo i wesoło,

Pijmy, pijmy, pijmy w koło!

Ja do ciebie a ty do mnie:

Twoje zdrowie, moje zdrowie!

Kto nie pije, żyje skromnie,

Temu świta zawsze w głowie;

Dalej żwawo i wesoło,

Pijmy, pijmy, pijmy w koło!

Stróż Nocny

wchodząc z latarnią w rękę.

Mospanowie gospodarze,
Już dziesiąta na zegarze!

Wieśniacy.

Czy dziesiąta, czy dziewiąta,
Niech to myśli nie zaprzęta;
Kto wypije, niech się święci,
Kto nie pije, niech kark skręci!
Dalej żwawo i wesoło,
Pijmy, pijmy, pijmy w koło!

Boruta, Małgorzata, Stróż.

Idźcie, idźcie gospodarze,
Już dziesiąta na zegarze.

Wieśniacy.

Odłożone, nie stracone,
Chodźmy każdy w swoje stronę;
Jutro wrócim, będziem pili,
Huczno, żwawo będziem żyli!
Teraz kończmy, choć wesoło,
Kończmy, kończmy szklanki w koło!

Wychodzą nucąc tę samą pieśń; głos się gubi w oddaleniu.

SCENA II.

Boruta, Małgorzata, Kmotr.

Kmotr sprząta, potem kładzie się spać w głębi na ławie. Boruta bierze
laskę i kapelusz.

Małgorzata.

Dokądże znowu, dokąd, tak późno?

Boruta.

Do lasu.

Małgorzata.

Proszę, jaki mi pilny! Nie maszto w dzień czasu?

Boruta.

No, no; tylko ty idź spać, nie troszcz sobie głowy:
Muszę obejść granicę, dziedziec przybył nowy;
Nie będzie mię się pytał nad skradzioną sosną,
Czy też mnie Bóg nie skarał żónecką zazdrośną.

Małgorzata.

Hm, dziedziec przybył nowy. Jaktó Waszmość umiesz ...

Boruta.

Dobra noc ci Małgosiu, dobra noc, rozumiesz.

Do siebie.

Być karczmarzem, leśniczym, mieć zazdrośną żonę,
To można męczennika zasłużyć koronę. Odchodzi.

Małgorzata.

Hm...do lasu, do lasu! co noc mi wychodzi;

Ledwiebym nie przysięgła, że mnie hultaj zwodzi.

Ale twoje wykręty nie będą trwać wiecznie;
Żebym miała rok nie spać, dojdę ich koniecznie.

Odchodzi.

SCENA III.

Słysząc trąbkę pocztarską coraz bliżej.

Kmotr przebudzony.

Co za wicher gwałtowny, aż się dóm kołysze,
Chociaż mówią, że głuchy, jednak ja to słyszę.

Słysząc wolne kołatanie. Kmotr podnosi się i nasłuchuje.

Grzmi.

Michał za drzwiami.

Otwórz!

Kmotr.

O, grzmi!

Michał głośniej.

Otwórz!

Kmotr kładąc się.

Czój prędko ustanie!

Słysząc mocne uderzenie we drzwi; Kmotr się zrywa.

Piorun wałnął we wrota, Święty Floryjanie!

Biega po izbie z konewką.

Małgorzata

z alkierza po prawej stronie.

Hej Kmotrze!... Kmotrze!...

Kmotr.

Słucham.

Małgorzata.

Idź, otwórz gospodę.

Kmotr.

W wodę...wpadł, chwała Bogu, małą zrobił szkodę.

Znowu kołatanie.

Ej źle...grzmi; ależto grzmi! ogniście i srodze!

Chyba pono pies jeden byłby teraz w drodze.

Małgorzata z alkiérza.

A cóż, nie słyszysz? głuchy! ktoś we drzwi kołacze!

Kmotr.

Skacze?

Do siebie.

Ogłuchła baba!

Głośno. Taćto grzmi, nie skacze.

Do siebie.

Jednakże wielkie dziwy, piorunuje z bliska,

Ażeby też raz jeden, to się nie zabłyska.

Idzie do okna.

Taćto pogoda! tylko rześista ciemnota.

Aj, aj...niby wóz jakiś...ktoś stuka we wrota...

Czyto mnie się tak widzi czyli w rzeczy saméj?

Michał ze dworu.

Otworzyszże nam? gapiu! godzinę czekamy.

Proszę, a to wisielec!...zwabić go nie mogę.

Kmotr.

Do Kielec?...a, do Kielec pytacie o drogę?

Michał.

Głuchy!

Kmotr.

Trakt suchy.

Michał grożąc.

Będziesz bity!

Kmotr.

I ubity.

Michał.

Ej basy!

Kmotr.

Są i lasy.

Postylizon za drzwiami.

Głuchy albo spity.

Michał.

To łotr!

Kmotr.

A Kmotr... Do usług.

Michał.

Gdzież masz łotrze uszy?

Kmotr.

Jak się mam?... Dobrze, dobrze.

Michał.

Hultaj się nie ruszy,
I pono tę noc całą stać będziem na dworze.

Kmotr.

Czy otworzę?... I owszem, zaraz wam otworzę.

Do siebie, biorąc światło.

Jacyś widzę znajomi: po głosie poznali;
Grzeczni ludzie, najpiérwéj o zdrowie pytali.

Odchodzi.

S C E N A IV.

Karol, Michał

stawia strzelbę przy drzwiach lewego alkiérza.

Kmotr

powróciwszy kładzie się znowu na ławie i zasypia.

Karol kładąc pistolety.

Błáwienie...zbojcy...walka wśród nocnej ciemnoty,
Dawnych dziejów rycerskich, o! godne kłopoty!
Przeciwność zachęceniem, trudy mym żywiołem.
No i jakże *Pedrillo*, źle podróż zacząłem?

Michał.

Michałem mnie ochrzczono i tak mnie zwać proszę;
Jak zostałem *Pedrillum* pełno guzów noszę.

Karol.

Pedrillo, ty narzekasz?

Michał.

O, nie; ja się śmieję.

Karol.

Próżnom więc widzę, w tobie położył nadzieję.
Niemasz serca!

Michał.

Żałuję, że Pana zawiodłem.

Karol.

Jakto, honor i męstwo, kiedy naszym godłem,
Kiedy bronić niewinność jest naszym zamiarem,
Mogąż te małe trudy być dla nas ciężarem?

Michał.

Niech Pan stroi, ubiera to wszystko do woli?

Lecz co kole to kole, co boli to boli.

Nie dość... Mogęż być szczerym i mówić co czuję?

Karol.

Możesz, kłamstwem się brzydzę a prawdę szanuję.

Michał.

Nie dość, żeśmy błądzili przez pola, las, krzaki,
Trzeba żebyś jeszcze Pan za zbójców wziął pniaki.

„Panie, to pniaki“ mówię. „Nie, to są hultaje.“

„Jak Boga kocham pniaki.“ „Nie; daj strzelbę!“ daję.

Jak też się wystrzeliło, szkapy z piekła rodem,

Które nas usypiały swoim żółwim chodem,

Nuż w nogi! wołam... trzymam, aż mi w krzyżach
pryska,

Nareszcie rym! do diabła z jakiegoś urwiska.

Koniec końców *Pedrillem* czy dawnym Michałem,

To wiem tylko, że w czoło dwa sińce dostałem;

Proszę więc Pana za co i po co?

Karol.

Dla sławy.

Michał.

Ach lepiej bez niej; sami wróćmy do Warszawy.

Karol.

Nikczemna duszo!

Michał.

Wszakże w każdej tam wyprawie,
 Błyszczałem jakby gwiazda, w nieśmiertelnej sławie.
 Tam znani wzdłuż i w poprzek do samych rogatek
 Od żydów, bab, dróżkarzy, panien i mężatek,
 Słowem, znani przystojnie w całym wielkim świecie,
 Choć się co i zbroiło, uszło jakoś przecię;
 Ale tu, przewiduję, źle, źle z nami będzie.

Karol.

To czemu?

Michał.

Oczy na nas wytryszczają wszędzie.
 Na cóż ten płaszcz, kapelusz, te palone bóty?
 Jak z domu waryjatów a najmniej z reduty.
 W drodze napastujemy ludzi.

Karol.

W dobrej sprawie!

Michał.

Wszak mozem za nią walczyć, i lepiej, w Warszawie.

Karol.

Słuchaj, nie jestem panem, jak bywają drudzy,
 Których niewolnikami ledwie nie są słudzy:
 Ja pragnąłem mieć w tobie razem przyjaciela,
 Który szczęście, przygody, myśl nawet podziela,
 Jak niegdyś wierne giermki dla rycerzy były.

Ty wiesz, jakie przyczyny mój odjazd znagiły:
Wiesz, żem miał pojedynek?

Michał.

Napaść z Pańskiej strony.

Karol.

Jakto! mógłżem płci pięknej odmówić obrony?
Każdy słabszy w ucisku, w jakimkolwiek względzie,
Zawsze prawo do mojej opieki mieć będzie.
A dopióroż kobiety, ten piękny twór Boga,
Których słabość powabem, powabem i trwoga,
Których uśmiech tak miły i władzący tyle
Od kolébki nas wiedzie w późne życia chwile,
Podwaja każdą rozkosz, uśmierza zgryzoty,
Zachęca nas, nagradza, unosi do cnoty;
Mająż z najświętszych uczuć czynić nam ofiary,
A barbarzyństwo mężów zostawać bez kary?
Nie, póki serce bije, władać mogą dłonie,
Dopóty walczyć będę w płci pięknej obronie.

Michał.

Dobrze, niech i tak będzie. Lecz gdy strasznym losem
Ów mąż, cnót ciemżyciel, rozstał się z swym nosem,
Gdyś już Pan tak chwalebnie użył swojej broni,
Dla czegoż uiekamy, kiedy nikt nie goni?

Karol.

Miałżem czekać spokojnie na zazdrośnych wrzaski,
Na dziekczynienia kobiet i ludu oklaski?
Nie, ja tylko w mej duszy chcę znaleźć pochwałę.

Nareszcie jedno miasto jest pole za małe:
 Obom światom chcę zostać chwalebnym przykładem.
 Niech więcej młodzian idzie za wskazanym śladem,
 Niech ze mną śmiało prawdy zaświecą pochodnie,
 Bronią dręczoną cnotę a zgramiają zbrodnie?
 Nie pytam w jakie kraje losy mnie powiodą,
 Ludzkość oswobodzona będzie mi nagrodą,
 Stronnictwo mych zamiarów nie wzruszy, nie zaćmi,
 Świat cały mi ojczyzną, wszyscy ludzie braćmi.

Michał rozzulony.

Ach!

Karol.

Wziąłem cię ze sobą, bom mniemał niestety,
 Że na prawego giermka masz dosyć zalety!

Michał.

Ach!

Karol.

Że dzieląc wraz ze mną trudy i wyprawy
 Będiesz godnym mych względów i dostąpisz sławy.

Michał

coraz bardziej rozzulony.

Ach! ach!

Karol.

Że kiedyś kończąc podróże i boje,
 Dwakroć błogosławione w świecie imię twoje
 W księdze nieśmiertelności umieszczonóm będzie
 Obok mojego, w dzielnych bohaterów rzędzie.

Michał.

Ach! ach!

Karol.

Zbłądziłem, lecz dość tej mowy z Michałem:
Teraz oddał się gdzie chcesz, lecz pomnij że chciałem...

Michał.

Ach, chcę być nieśmiertelnym! wybacz, wybacz Panie,
Występne ale krótkie zmysłów obłąkanie.

Karol.

Idź, wracaj do Warszawy... pędź życie bez chwały!

Michał.

Nie, sroższe, szlachetniejsze parzą mnie zapaly:
Będę walczył walecznie z godłem i ludzkością;
Ach Panie, żalującą zmiękczyć się mą żalnością.
Patrzaj, jak serce bije, jakie łzy wytaczam.

Karol.

Pedrillo!

Michał.

Don Karlosie! przebacz!

Karol.

Wstań, przebaczam.

Michał wstaje.

Oby mógł się ktokolwiek teraz mi nawinać,
Musiałby zaraz z moich rycerskich rąk zginać.
Oby kto Pana skrzywdził, uczynił zniewagę,
Popuściłbym na niego naglaca odwagę.

Karol.

Brawo *Pedrillo*! czasu nie traćmy więc marnie,
Chodź ze mną.

Michał.

Chodź?...ja?...dokąd?

Karol.

Bierz broń i latarnię.

Michał.

Ale zaraz, niech sobie z odwagi odpocznę.

Karol.

Nie, nie, nasze działanie musi być niezwłoczne.

Michał.

Ach, cóżeś Pan nowego tak prędko wyszukał?

Karol.

Słuchaj i ciesz się: Wtedy, gdyś we wrota pukał,
Mimo ciemnoty, z drogi o kawałek mały,
Niby duże budynki widziéć mi się dały.

Ale dalej poszedłszy rozpoznałem z bliska,
Że to jakichsié murów stare są zwaliska.

Takie miejsca być zwykły złoczyńców siedliskiem,
W takich często niewinność jęczy pod uciskiem
Moźniejszych barbarzyńców; chodźmy więc się starać
Cnotę z więzów uwolnić lub przestępstwo skarać.

Michał myśli.

Hm! ... nie lepiejże będzie, gdy dnia zaczekamy?
Po cóż w nocy, jak zbójcy atakować mamy?

Fe, Panie! fe! jak zbójcy; dalibóg nie ładnie.
Jeszcze nas jaki taki z nienacka napadnie.

Karol.

Idziesz czy nie?

Michał.

Hm... ale niech Pan zważy sobie...

Karol.

Zważam, zważam, że męstwo już zasnęło w tobie.

Michał.

Nie... ja strasznie odważny, jednakże się boję...

Karol.

Zostańże, zostań tchórz, wstrzymuj dzielność twoją.

Wychodzi.

Michał.

Jakto, mam tu sam zostać? Panie! *Don Karlosie!*

SCENA V.

Michał; Kmotr śpiący.

Michał.

Wolę pójść... nie, zostanę... o przekłety losie!

O rycérstwo! o sławo! gdzieżeś mnie zawiodła!

Co mi z nieśmiertelności i honoru godła,

Kiedy choć czasem trochę odwagi nazbiéram,

Ledwie przyjdzie do czego, ze strachu umiérám.

Siada po lewój ręce sceny.

O Warszawo! Podwału! o Panno Justyno?

Gdybyś mogła łzy widziéć, co za tobą płyną!

po krótkim myśleniu.

Zginę nie dziś, to jutro. Mój Boże, mój Boże!
Na cóż człowiek człowiekiem? któżto zgadnąć może?
Żyje, jak mysz, co... co się... jak ptaszki, co siedzą...
Albo życie? jest właśnie... jak... jak... diabli wiedzą!

SCENA VI.

Michał, Postylion; Kmotr śpiący

Postylion.

Niech piorun trzaśnie w takie niegodziwe domy!
Błoto w stajni po uszy, ni siana ni słomy,
Ni koni gdzie przywiązać; żłoby na cieleta...
Daje mi się we znaki ta podróż przekłeta,
I chomąta porwałem na drobne kawałki...
Bierz je diabeł... Hej! słyszysz, karczmarz! daj go-
rzałki!

Kmotr wstaje i naléwa, postylion postrzega Michała.

A, Pan Michał! siada na przeciw Michała.

Stół tutaj... prędko... w ręce twoje! pije.

Kmotr stawia między siedzącymi po lewój stronie sceny stół, który stał przy drzwiach prawego alkierza.

Ale cóż, czyż cię słowa nie wzruszają moje?
Milczysz, kiwasz się, dumas, jak żyd nad pacierzem.
He?

Michał.

Szczęśliwy człowieku! nie jesteś rycerzem.

Nie poświęciłeś sławie, jak ja swoje życie.

I cóż mi z tego? powiedz? na cóż ję nabycie?

Cóż jest sława? postylion pije.

A dobra wódka?

Postylion.

Doskonała!

Michał.

Ach! ach! pije.

Wszystko marności: człowiek, życie, chwała.

Choć znam filozofiją, ty nie ... jednak przecię

Poznasz, że sama nędza panuje na świecie. Ciszej.

Dolej trochę.

Postylion.

Już niema.

Michał pije.

Wszystko się przebięra.

Człowiek rodzi się, żyje, na końcu umiera!

Postylion rozczulony.

Umiera, prawda, prawda.

Michał.

Jak umrze.

Postylion płacząc.

Nie żyje.

Michał.

I już więcej nie chodzi, nie gada, nie pije.

Ty płaczesz?

Postylion.

Płaczę, płaczę, bo gadasz wspaniale.

Michał wstaje i ściska postyljona.

Szanowny postyljonie!

Postyljon ściska Michała.

Mój Panie Michale!

Michał.

Wierżaj, żem cię szacował, zaledwie poznałem.

Postyljon.

I ja cię wielce kocham i zaraz kochałem.

Michał z determinacją.

Bądź zdrów!

Postyljon przestraszony.

Stój, gdzie idziesz?

Michał.

Spać!

Postyljon.

Spać? Idź w imię Boże.

Ida pod rękę się trzymając i biorąc świecę.

Michał.

Niema gdzie ... chyba razem z głuchym się położę.

Kładzie się.

Kmotr.

Hej! hej!

Michał.

Ustąp się.

Postyljon.

Idź precz!

Kmotr.

To moje posłanie!

Postylion ciągnąc Kmotra.

Prędko.

Kmotr wstaje grożąc.

Ale Mospanie!

Postylion

wypychając Kmotra za drzwi.

Eh, ruszaj bałwanie!

Wychodzi.

SCENA VII.

Burmistrz

wychodzi ze świecą z lewych drzwi, w szlafroku.

Michał śpiący.

Burmistrz.

Cóż tu za hałas, wrzawa, ciężko oka zmrużyć!

Lepiej było podróży godziną przedłużyć,

Jak w tém piekle nocować. Pewnieby w mém mieście

Takich krzyków żołnierzy nie zrobiło dwieście;

Bo moja głowa czuwa i wszystko układa,

Bo Mateusz Sędziłko jest burmistrz nie lada.

Cóż to było? nikogo niema? tam do kata!

Hm! jakiś Hiszpan...? Hiszpan? co za dziwna szata!

Jakie zęby... twarz... nozdrze!

Słychać strzał, Burmistrz ucieka ku drzwiom swoim, świeca mu wypada, gaśnie, on szturka o stół.

Cóżto, stół? dla Boga!

Ach jakże mnie gwałtownie przeraziła trwoga!
 Byłbym do gospodyni wleciał mimo chęci:
 Tuż przy jej drzwiach stał stolik, mam dobrze w pamięci.
 Pięknieby było; w nocy Burmistrz w łóżko włazi . . .
 Fe, fe . . . nigdy roztropnych czyn taki nie skazi.

Odchodzi do alkiérza po prawej ręce.

S C E N A VIII.

Burmistrz, Michał, Małgorzata.

Małgorzata w alkiérzu.

Ach, kto tu! gwałtu! gwałtu;

po krótkim myśleniu.

Poczekajno łotrze!

A, mam cię, mam cię ptaszku! łapaj, łapaj Kmotrze!

Wypada Burmistrz, zawadza nogą o tapczan, na którym spał Michał i upada; zrywa się Michał, którego chwytą Małgorzata; tym czasem

Burmistrz podnosi się i w najbliższém miejscu przy stronie staje.

A, jesteś!

Michał przestraszony.

A . . . a . . . jestem.

Małgorzata.

Luby niedopérzu,

Po nocy łazisz?

Michał.

Kto?

Małgorzata.

Ty.

Michał.

Gdzie?

Małgorzata.

W moim alkiérzu.

Puś mi ręce hultaju!

Michał.

Puś mi kołnierz, babo!

Burmistrz na stronie.

Co tu robić, pot ze mnie ciecze, aż mi słabo!

Małgorzata.

Stój . . . stój! . . . teraz poznaję; omyłka się stała.

Tamten nie był ubrany, jakżem zapomniała! odsuwa się.

Dobry wieczór Wać Panu.

Michał.

Najniższy Jejmości.

Małgorzata.

Jestem tu gospodynią.

Michał.

Nieźle witasz gości.

Małgorzata.

Wybacz Wać Pan. Zaledwem zamrużyła oczy,

Poczułam, że coś śmiało do łóżka się tłoczy.

Tylko com nie zemdląła w tak strasznój potrzebie,

I nie mogąc się ocknąć, nagle przyjść do siebie,

Wycięłam dwa policzki . . . łotr się nieco zmieszał

Wyśliznął mi się szybko i w te drzwi pośpieszał,

Jam téż za nim goniła, gdyś mi wleciał w ręce.
Widziałżeś przecię kogo?

Burmistrz na stronie.

Stoję, jak na męce.

Michał.

Nie widziałem, lecz czułem, bo ta mara z piekła,
Na środek mnie śpiącego z tapczanem wywlekła;
Zerwałem się odważnie, aż tu mnie coś dusi.

Małgorzata.

Jeśli drzwiami nie ruszył, tu jeszcze być musi.

Michał.

Nie; tylko się coś jak pies po ziemi drapało.

Burmistrz na stronie.

Jak pies! . . . ja pies! . . .

Małgorzata.

Szukajmy, gdyby się udało!

T R I O.

Małgorzata.

Pst! . . . pst! . . . cicho! . . . coś tu słyszę.

Michał.

Tam do kata ledwie dyszę.

Razem

Burmistrz.

O dla Boga, ledwie dyszę.

R A Z E M:

Małgorzata.

Tę zuchwałość skarać muszę,
Już nie ujdzie mojej ręki;
A gdy wszystko wstrząsnę, wzruszę,
Mieć go będę, Bogu dzięki!

Burmistrz.

Choć niewinny cierpieć muszę,
Już nie ujdę srogiej ręki;
Czy stać będę czy się ruszę,
Pełnej hańby doznam męki.

Michał.

Za niewinność walczyć muszę,
Wnet użyję dzielnej ręki;
Lecz gdy wszystko wstrząsnę, wzruszę,
Jeśli ujdzie, Bogu dzięki!

* * *

Małgorzata.

Pst! ... pst! cicho! przeszedł pono.

Michał.

By nie spotkać pójdę stroną.

Razem

Burmistrz.

Trza się sunąć inną stroną.

R A Z E M:

Małgorzata.

Każdy o tém wiedzieć będzie,
Jaka cnota w mej osobie;

Sama nawet powiem wszędzie,
Co się działo w nocnej dobie.

Burmistrz.

Gospodyni milczćć będzie,
Gdy się pozna na osobie;
Ale Hiszpan powie wszędzie,
Co za figle w nocy robię.

Michał.

Niechaj będzie, co chce będzie,
Niechaj panicz zmyka sobie;
Ja go wstrzymać nie chcę w pędzie,
I najlepiej pono zrobię.

* * *

Małgorzata.

Tu . . . tu . . . w okniem go widziała.

Michał.

Razem }	Czy ta baba oszalała!
	Burmistrz raczkciem.
	Czy ta baba oszalała!

R A Z E M:

Małgorzata.

Śmiało tylko, śmiało, śmiało,
Już nie długo będzie wodzić;
Pozna wkrótce i nie mało,
Jak po nocy trzeba chodzić.

Burmistrz.

Za cóż niebo mię skarało,

Wszak nie chciałem ja uwodzić;
I że babie coś się zdało,
Burmistrz musi raczkciem chodzić.

Michał.

Takich kobiet w świecie mało,
Któreby tak chciały szkodzić;
Że się komuś dobrze zdało
Po ich izbie w nocy chodzić.

* * *

Jakiś czas cicho chodzą; nareszcie Burmistrz bojąc się, aby do światła go nie zobaczyli, na rękach się czołgając umyka się przed Michałem; ale tyłem wsuwa się pod nogi Małgorzaty. Ta mu na krzyże upada i chwytą go za szyję; on się zrywa i tak z nią wiszącą chce uciekać.

Burmistrz.

Ach!

Małgorzata.

Ach!

Michał

w głąb uciekając wrzeszczy z całego gardła ze strachu.

Stój! trzymaj go! stój!

Małgorzata.

Niesie mnie dla Boga!

Burmistrz.

Ciszej no, ciszej! po cóż ten hałas, ta trwoga!
Uspokój się i słuchaj.

Małgorzata.

Co słyszę? ta mowa...

Burmistrz.

To ja.

Małgorzata.

Pan Burmistrz!

Burmistrz.

Ja, ja.

Małgorzata.

Ale...

Burmistrz.

Ani słowa!

Małgorzata.

Dobrze, ale bo jednak...

Burmistrz.

Widzisz moje dziecię,

Jakto pozór częstokroć zwodzi na tym świecie!

Zmylenie drzwi pociemku i całe zdarzenie

Sprawilo, jak miarkuję, stołu przestawienie.

Ale o tém rozmowę odłożmy do rana,

Teraz idź spać. To szczęście, że niema Hiszpana

I nikt przecię z służących nie słyszał nas w domu.

Idź spać, a co się stało nie mówmy nikomu.

Odchodzi do siebie.

Małgorzata

chodzi jakiś czas zamyślona, potem idzie do drzwi, otwiera i woła.

Kmotrze!

Kmotr.

He!

Małgorzata.

Zapał świecę... nie odchodź i kroku...
 Spać się nie kładź, chodź wszędzie, miej wszystko
 no oku.

Po krótkim myśleniu do siebie.

Tak wolę pójść nocować do której sąsiadki,
 Bo tu jeszcze niepewne są dalsze wypadki:
 Nie bardzo jemu wierzę, nie wierzę i sobie. Odchodzi.

Kmotr

przynosi zapoloną świecę, stawia ją i siada na ławie przy stole.
 Świeca jest... spać się kładę i kroku nie zrobię.

SCENA IX.

Michał, Kmotr śpiący.

Michał

który w głębi się utulił.

Hm... hm... hm... nie źle, nie źle... Pan Burmistrz
 wesoly!

Proszę, coto czasami wyrabiają stoły!
 Stół go zbudził, zabłąkał... i stół pełen złości
 Wyjednał dwa policzki Burmistrzowskiej Mości.

SCENA X.

Karol, Michał, Kmotr śpiący.

Michał.

Jakżeto Pan wyglądasz? mój Boże kochany!
 Bez broni, kapelusza, mokry, zawalany.

Karol.

Ach *Pedrillo*, żeś został masz tchórza węc rzadki.
Słuchaj, jakim miał dziwne w tym zamku przy-
padki. *Śpiewa.*

Wszedłem pod czarne sklepienie,
Głuche tam było milczenie,
Światła mnie promyk wiódł błądy,
Gdzie ludzkie starte już ślady.

Aż tu słyszeć szmér się daje,
Jakieś widmo z gruzów wstaje:
Wzrok iskrzący, broda biała
Do nóg kręto mu wisiała;

Milcząca, groźna, obrzydła
Postawa była straszidła.

Chcę na nią śmiało uderzyć

I choćby z czartem się zmierzyć;

Lecz daremnie, wciąż mnie stroni;

Stanę, stoi; wracam, goni;

I ścigając czas już długi,

Strzelał w końcu raz i drugi.

Na ten huk, ptastwa gromada

Wnet wrzeszcząc w koło opada;

Na próżno odpór jej stawię,

Wzrok tracę w czarnej kurzawie.

Wracam, pędzę; lecz w tym biegu

Padam w przepaść, bez dna, brzegu;

I w tym dole, piekle właśnie,

Broń mi ginie, światło gaśnie.

Otoczony ciemnotą, bez żadnej pomocy,
Myślałem, że tam resztę przepędzę tej nocy,
Gdy przecie jakąś gałąź schwycić się udało
I po wielu trudnościach i znoju nie mało
Ujrzałem ucieszony, jak z grobu dobyty,
I ponure zwaliska i niebios błękity.

Michał trzęsącym głosem.

Panie . . . źle . . . uciekajmy . . . klęka.

Panie! uciekajmy!

Widmom, ptakom i zamkom święty pokój dajmy!

Ach . . . słuchaj mojej prośby!

Karol.

Kto, ja mam uciekać?

Nie, nie; jutro będziemy tych strachów dociekać.

Michał.

Jutro jeszcze daleko, a te czarne ptaki

Mogą być strasznnej śmierci nieochybne znaki.

Karol.

Z takich znaków żartuję i z tych duchów razem.

Michał

krzaka, jak gdyby chciał przeszkodzić, aby nie słyszano mowę Pana.

Pst! . . .

Karol.

Nie jeden z nich zginął katowskim żelazem.

Jutro te tajemnice odsłonić się muszą.

Michał.

Ach zmiłuj się nad twoją i nad moją duszą.

Karol.

Pedrillo . . . honor . . . męstwo . . .

Michał.

Ach! honor i męstwo

Wielka chwała, lecz ucieć większe bezpieczeństwo.

Ach gdybyś Pan raz jeden chciał słuchać mej rady,

Wrócić do domu, ojca wypełnić układy,

Strachy, godła porzucić, zamiary odmienić,

Z Panną Zofiją pięknie, ładnie się ożenić;

Jabym z Panną Justysią także się skojarzył.

Panbyś kochał, polował, a ja gospodarzył:

Takbyśmy sobie *en quatre* żyli doskonale.

Karol.

Zła głowa, zła i rada Mospanie Michale.

Dla tego, że mój ojciec lubi synowicę,

Że jej wioski od naszych tylko o granicę,

Żem . . . żem ją kochał niegdyś . . . lecz z kąd to wspomnienie,

Wszakżem ci już w téj mierze nakazał milczenie.

Do siebie.

Trudno mi dotąd jeszcze serce moje zmienić,

Umiem wdzięki Zofiji i jej cnoty cenić.

Z westchnieniem.

Kochałem! . . . kocham może . . . zapomnieć nie mogę;

Lecz żądza sławy inną wskazała mi drogę,

I wszakżeto dla kobiet chcę mej broni użyć;

Zapomnijmy więc jednę, aby wszystkim służyć.

Do Michała.

Twój pałasz...xiężyc wschodzi...nienadchodząc bliska,
 Rozpoznam z ostrożnością te dziwne zwaliska,
 Ty . . .

Michał.

Ja?

Karol.

Zostań; do boju bądź jednak gotowy.

Odchodzi.

SCENA XI.

Michał, Kmotr śpiący.

Michał.

Do boju! gdzie? jak? po co? co za koncept nowy!
 Sam udaje rycérza, niebezpieczeństw szuka,
 Bo się nigdy nie boi, to mi wielka sztuka!
 Ale bójno się trochę, jak ja się wciąż boję,
 A zobaczysz, czy miłe te trudy i boje.
 O, ratujże mnie, ratuj, święty Dezydery!
 Spójrz! młodzieniec pełen nadziei, manieri,
 Z tą twarzą, kształtem, chodem, w talenta obfity ...
 I ginąć marnie w lesie, jak człek pospolity!
 Nie, nie zginę ... ucieknę; lecz jak? ... w tym ubiorze ...
 Bez paszportu ... uwiężą i ... powieszą może.
 Gdyby!... tak!... lecz... poszukam... dobrze, wyśmienicie.
 Wchodzi do alkierza po prawej ręce sceny i wynosi ubior Małgorzaty.
 Otóż jest ... łatwiej zawsze przemknąć się kobiecie;
 I Panowi Strażniki, co tak chętnie skubią,

Dla nadobnej figurki pofolgować lubią.

Wszystko czego potrzeba. Ubićając się.

Perdesu, spodnica,

Kornet, to skryje oczy i wąsate lica.

A mój strój? Chce przez okno wyrzucić.

Nie, myśl dobra ... ubiorę bałwana,

Śpiąc może *Don Karlosa* oszukać do rana.

Śpiącego Kmotra ubiera w swój płaszcz i kapelusz, potem węglem maluje mu wąsy i bródkę.

Tym wąsem ... i tą bródką ... *Pedrillem* cię robie,

Moję sławę i guzy przekazuje tobie. Idzie.

Teraz ... wraca.

Ha! jak tam ciemno! Ale widma, boje ...

Chodźmy ... O, mój patronie, wiéźże kroki moje!

Odchodzi.

SCENA XII.

Kmotr śpiący, **Burmistrz**, później **Wójt**,
Wieśniacy.

Burmistrz

wychodząc zawadza, i wywraca strzelbę, którą Michał postawił przy drzwiach; podnosząc mówi wiérsz piérwszy.

Cóż to znowu? tu wrzawie widzę końca niema.

Wieśniacy wchodzą prędko z latarniami.

Piérwszy Wieśniak

zobaczywszy strzelbę w ręku Burmistrza.

Otóż jest! oto, oto! jeszcze strzelbę trzyma.

Wójt.

Do aresztu!

Burmistrz.

Ja! za co?

Wójt.

Daléj z tym paniczem!

Burmistrz.

Ale za co? powiedźcie . . . ja nie wiem o niczém.

Wójt.

Wszystkoto się pokaże.

Piérwszy Wieśniak.

Kręciecie daremnie.

Wójt.

Daléj . . .

Burmistrz.

Wiécieże łotry, co za godność we mnie?

Wójt.

Waszeć sam łotr a ja Wójt, i iść z nami radzę;
Bo co z gwałtu wypadnie, tego nie zagładzę.

Burmistrz.

Lecz, neminem captivabimus nisi jure . . .

Piérwszy Wieśniak.

Tak, *jure* . . . jaki Francuz! . . . zapłaćno za dziurę.

Wójt.

O, *jure* czy nie *jure*, a Waszeć do kozy!

Burmistrz.

Więc niczém są już prawa? o godzino zgrozy!

Inwalid jeden z wieśniaków.

Nie są niczém mój Panie: choćeśmy wieśniacy,
Znamy coto są prawa, bo i my Polacy;
I co pradziad ułożył, każdy bronić umie.

Wójt.

Otbyście nadaremnie nie gwarzyli kumie;
Niech po nocy nie łązi.

Drugi Wieśniak.

Co mu się sprawować!

Pierwszy Wieśniak.

Odkądzeto już wolno ludzi napastować?

Burmistrz na stronie.

Ach! przebóg... wszakto... tak jest, sprawa gospodyni.
O, hańba! do wieśniaków.

Moi ludzie czasem się uczyni
Nie chcący ...

Pierwszy Wieśniak.

Tak, nie chcący ... taką wybić dziurę.

Burmistrz.

Dziurę!

Pierwszy Wieśniak.

A Pan co powie, gdy mu oddam skórę!



S C E N A XIII.

Ciz i Karol.

Karol.

Cóż to jest? jakieś gwałty, o cóżto wam chodzi?

Piérwszy Wieśniak.

Wac Panu co do tego?

Karol.

Powiedzieć się godzi.

Piérwszy Wieśniak.

Więc powiem . . . Nie daleko, o kroków z tad parę
Są mury . . .

Karol.

Mury? duże?

Piérwszy Wieśniak.

Ot, zwałiska stare,

Był niegdyś browar . . .

Karol.

Browar!

Piérwszy Wieśniak.

Ale jak się spalił,

Że go nikt nie naprawił, do reszty się zwałił

I teraz nic tam niema oprócz mojej chaty.

Tam więc spałem, aż tu stuk! rymło jak z armaty;

Zląkłem się tego . . . w żonce jak duszy nie było.

Aż tu znów stuk! pół okna na izbę rzuciło.

O, strach! niema co czekać . . . tfy, coto być może?

Ha, pójdę . . . czej nie zginę . . . idę na podwórze,
Aż tu pański cap biały przed nogami pada.

Karol.

Cap biały!

Pierwszy Wieśniak.

Żle! co to jest? biegnę do sąsiada,
Z nim po wsi . . . i tak żwawo wszyscy się zerwali,
Żeśmy jeszcze ze strzelbą Panicza zastali.

Karol na stronie.

Więc to browar! cap biały! . . . o hańbo, o wstydzie!

Do wieśniaków.

Zatém wam, jak miarkuję, o zapłatę idzie.

Dostając sakiewkę.

Jamto zrobił te szkody . . . na, macie . . . Bóg z wami.

Wójt.

Hm! . . . nie . . . kiedyście winni, chodźcie i wy z nami.

Karol

dostając sakiewkę położył pałasz, który zaraz wziął jeden z wieśniaków.

Co, ja? zobaczę! . . . nie widząc pałasza.

Wzięli! muszę uleść sile,

Lecz za mnie ten Jegomość, na cóż cierpi tyle?

F I N A L.

Karol.

On nie winien, wyznać trzeba,

Burmistrz.

Ach, nie winien, widzą nieba!

Wójt.

Co, nie winien? . . .

Wójt i Wieśniacy.

Do więzienia!

Dla wszelkiego objaśnienia.

R A Z E M:

Wójt i Wieśniacy.

Choć nie winien, do więzienia,

Dla wszelkiego objaśnienia.

Karol i Burmistrz.

Ach co słyszę! do więzienia,

Bez żadnego przewinienia.

* * *

Karol.

Za cóż wolność mamy stracić,

Kiedy szkody chcę zapłacić?

Wójt.

Chce zapłacić? . . .

Wójt i Wieśniacy.

Do więzienia!

Dla wszelkiego objaśnienia.

R A Z E M:

Wójt i Wieśniacy.

Choć nie winien, do więzienia,

Dla wszelkiego objaśnienia.

Karol i Burmistrz.

Ach co slysze! do więzienia,
Bez żadnego przewinienia.

* * *

Pierwszy Wieśniak

wskazując Kmotra.

Jeszcze jeden w tym ubiorze.

Karol.

To mój sługa, zostać może.

Wójt.

Jego sługa? . . .

Wójt i Wieśniacy.

Do więzienia!

Dla wszelkiego objaśnienia.

R A Z E M:

Wójt i Wieśniacy.

I bez tego opóźnienia,

Chodźcie, chodźcie do więzienia.

Karol.

Gdy tak każą przeznaczenia,

Chodźmy, chodźmy do więzienia.

Burmistrz.

Nie za moje przewinienia,

Chodźmy, chodźmy do więzienia.



A K T II.

Las; księżyc świeci. Po lewej i po prawej na przodzie sceny drzewo.

S C E N A I.

Karol, Burmistrz

przychodzą, duże kije w rękach.

Karol.

Brawo, wyszliśmy przecie na ubitą drogę.

Burmistrz.

Ach, muszę trochę spocząć, dalej iść nie mogę.
Co za ból!

Karol.

Nie mnie winuj, ale twój brzuch raczej;
Powiedźże sam, czy mogłem postąpić inaczej?
Kiedyś uwiązał w okienku i zaczął się dławić,
Musiałem tego ciągnąć lub w dziurze zostawić.

Burmistrz.

Wolałbym pewnie zostać, jak z takiej pomocy
Kulawy i zdrapany, włóczyć się po nocy.

Karol.

Tak, prawda; wielka szkoda, żeśmy uszli oba;
O, jakże pełna chluby czekała nas doba!
Prowadzeni od chłopów, jak podłe hultaje,

Bylibyśmy ciekawych zabawiali zgraje,
I jaki burmistrz, głupi, jakto czasem bywa,
Wieżiłby nas do woli... wszak strata prawdziwa?
Gdy teraz najbliższego z dniem doszedłszy dworu,
Wszystko łatwo wyjaśnim bez skazy honoru,
I tylko przygód śmieszne wspomnienie zostanie.

Burmistrz.

Bardzo śmieszne.

Karol.

A zwłaszcza to nasze spotkanie
I burmistrza w szlafroku podróż mimo chęci
Warte są dwóch rozdziałów, warte żyć w pamięci.

Burmistrz.

Są przekłete, wszeteczne: tém wszystkiém się brzydzę.

Karol.

Bądź zdrow!

Burmistrz.

Co? jakto bądź zdrow?

Karol.

Jęków nie nawidzę.

Idź zatém w swoje stronę a ja pójdę w swoje.

Burmistrz.

To być nie może.

Karol.

Czemu?

Burmistrz.

Bo się zostać boję.

Pełno wilków i lisów, włóczy się po borze,
Człowiek nie jest bezpiecznym, życie stracić może.
A jak zginę . . .

Karol.

I cóż z tad?

Burmistrz.

Piękne zapytanie.

Karol.

Niewdzięcznych nie chcę bronić.

Burmistrz.

O, łaskawy Panie!

Pada na kolana.

Miej wzgląd na moje godność, co przed tobą znika,
Zlituj się . . . gardź osobą, ratuj urzędnika;
Nie opuszczaj w tej puszczy bliźniego w niedoli.

Karol.

Dobrze, zadość uczynię jeszcze raz twój woli;
Lecz nie chcę jęków słyszeć, posłuszeństwa żądam,
I niech na twarz ponurą więcej nie poglądam.
Bądź wesół . . . Kto wie, może ręka przeznaczenia
Mierne twe powołanie na chwalebne zmienia,
Może przypadkiem drogę znalazłeś do sławy.

Burmistrz.

Obym znalazł do domu.

Karol.

Lecz z całej wyprawy

To mnie martwi, *Pedrilla* żem musiał zostawić.
 Osobno zamkniętego nie mogłem wybawić;
 Lecz go jutro uwolnię w jakimbądź sposobie,
 A teraz mój Burmistrzu, odpocznijmy sobie. Siadają.

Po krótkim myśleniu.

Powiedz mi, bo najlepiej noc spędzim w rozmowie,
 Czy kochałeś się kiedy?

Burmistrz.

Ej, gdzie mi to w głowie!

Karol.

Dawniej?...

Burmistrz.

Nigdy, nie dla mnie to czucie szalone.

Karol.

Więc nie żonatys?

Burmistrz.

Owszem, już czwartą mam żonę.

Karol.

Cztéryś razy się żenił, razu nie kochałeś,
 Cztéry razy więc w życiu już siebie sprzedałeś.
 Nie kochać! o człowieku jedyny w naturze!
 Ach gdybym był to wiedział, byłbyś został w dziurze.

Spiéwa.

Święty ogień, dar bogini,
 Co się w duszę wkłada skrycie;
 Co nam niebem ziemię czyni,
 Co uświetnia krótkie życie!

Kto go nie zna, nie posiada,
Biada temu, biada, biada!

Przez miłości boskie tchnienia,
Szczęście, rozkosz, przyszłość cała,
W tę osobę się przemienia,
Co się wdzięcznie nam rozśmiała.
Ach, to czucie, kim nie włada,
Biada temu, biada, biada!

Nawet troska i cierpienie
Miłym żalem duszę pieści;
Łza miłości i westchnienie
Krocie słodycz w sobie mieści.
Ach, kto hołdu jej nie składa,
Biada temu, biada, biada!

Podczas gdy Karol śpiewał, Burmistrz usnął.

Usnął widzę przy śpiewu melodyjnym tonie,
Sapie, chrapie i dmucha, jak przy czwartej żonie.
Zemszczę się nad nieczułym... samego zostawię,
Skryty, cieszyć się będę widząc go w obawie.

Odchodzi.

SCENA II.

Burmistrz; Michał

w ubiorze kobiecym; później **Karol**.

Michał za sceną.

Co za gąszcz, co za pniaki! na scenie.

Ha, przecież i droga.

Lecz dokąd się obróć? dokąd? o, dla Boga!
 Gdzie mam iść, gdzie uciekać, czy w prawo czy w lewo?
 Każdy krzak dla mnie wilkiem, wrogiem każde drzewo;
 Co za strach! drzę... trzęsę się... las się trzęsie ze mną,
 Lepsza noc najciemniejsza, bo kiedy jest ciemno...

Burmistrz przebudzony ziewa.

Michał.

He!

Burmistrz.

He?

Michał.

He?

Burmistrz.

Co?

Michał.

Coś gada!

Burmistrz.

To nie on!

Michał.

Coś gada...

Burmistrz.

Don... Ka... Karolu!

Michał.

Aj, coś! czy nie upior!

Burmistrz.

Biada!

T R I O.

Burmistrz, Michał.**Karol**

niedochodząc, w głębi.

Gdy nas bojaźń ogarnie,	Gdy chęć sławy ogarnie,
O, jak przykre męczarnie	O, jak przykre męczarnie
Nim zwolna przeminie	Nim próżny czas minie,
Wiek cały w godzinie!	Wiek cały w godzinie!
Nie widać słońca,	Nie widać słońca,
Ta noc bez końca!	Ta noc bez końca!
Zbliż się, zbliż dniu drogi,	Zbliż się, zbliż dniu drogi,
I wybaw mnie z trwogi!	I w bratnie wiedź progi!

Michał.

Czy kara boska, czy co! jak stał tak i stoi.

Burmistrz.

Ani się ruszył...

krzaka.

Stoi... brr ... nic się nie boi.

Michał.

Jak warczy... niema żartu... on się do mnie chwyci.

Burmistrz.

Na mnie tylko czatuje.

Michał.

Jak oczyma świeci.

Drapnę, albo co? drapnę... niema czego czekać!

Burmistrz.

Niema co dowierzać i lepiej uciekać.

Puszczają się wraz w jedną stronę i wnet wracają; ale już bliżej siebie,
tyłem obrócenia.

Michał.

Otóż masz!

Burmistrz.

Wszak mówiłem!

Michał.

Zlituje się może.

Burmistrz.

Jeśli nie czuła prośba, to nic nie pomoże. Na kolanach.
Zlituj się...

Michał także na kolanach.

Ach, zlituj się, ratuj!

Burmistrz wstając.

Co? ratować!

Michał udanym głosem.

Nie chciej nieszczęsną panią zabijać, mordować,
Wielkie są cnoty moje, wielkie urodzenie;
Lecz mnie dziś w awantury pchnęło przeznaczenie,
Jeśli walczysz za ludzkość i godło masz w duszy,
Niech cię moja najczystsza niewinność poruszy.
Ja, płeć piękna, w niedoli do ciebie się tulę,
Lituj się, bo gdy serca twego nie rozczulę,
Ach! któż przed srogim losem zdoła mnie zasłonić?

Karol występując.

Ja!

Michał na stronie.

O, dla Boga, mój Pan!

Karol.

Ja cię będę bronić;

O, nie lękaj się Pani, los przyjaźny tobie

Obróńcę ci...

Michał.

I diabła!

Karol.

Zesłał w mój osobie.

Zaufaj mi...Ktokolwiek twym ciemńycielem,

Jeśli gnębi niewinność, jest mój zemsty celem.

Zwierz mi twoje nieszczęścia, wskaż mi tylko drogę,

Którą i oswobodzić i pomścić cię mogę. Do Burmistrza.

Ciesz się, ciesz się Burmistrzu!

Burmistrz.

Cieszę się i bardzo.

Karol.

Ciesz się, naszą usługą jak widzę nie gardzą.

Teraz pora dla cnoty zwyciężyć lub zginać!

Burmistrz do siebie.

Nie, ten człowiek szalony.

Michał do siebie.

Jak tu się wywinać?

Znam go dobrze...i mówić i milczyć się boję.

Karol.

Odkryj nam tajemnice i nieszczęścia twoje.

Pewnie srogi opiekun lub młoda macocha

Broni ci kochać tego, który ciebie kocha?
Lub okrutna rodzina majątku łaknąca...

Michał.

Ach!

Karol.

Klasztor ci przeznaczą, za kraty cię wtrąca,
Gdzie na powabów życia zamkniętym już grobie
Znudzona dusza wieki w każdej żyje dobie?
Lub też zuchwalec jaki, bogacz posiwiały
Pieniędzmi chce zastąpić miłośne zapęły,
I mimo twojej woli, co się często zdarza,
Ujęty twą pięknnością ciągnie do ołtarza?

Po krótkim milczeniu bierze za rękę.

Cóż?... O, jak drży ta rączka! całując.

Rączka luba, mała.

O, przysięgam! nie ściępię, by się jego stała!
Lecz czemuż ta zasłona?

Michał do siebie.

Jak na szpilkach stoję.

Karol.

Ach, czyż się boisz zdrady?

Michał na stronie.

Ach guzów się boję.

Karol.

Powiedz, jakieżto smutek duszę twoję rani.

Michał do siebie.

Żeby się jako wymknąć!

Karol.

Któż więc jesteś Pani?

Twoje imię?

Michał.

Ach! imię...

Karol.

Tak, imię.

Michał po krótkim myśleniu.

Palmira.

Karol.

Dobrze, a familijne?

Michał do siebie.

A to mnie przypiera!

Głośno.

Nie, nie, nie mogę... bądź zdrow.

Karol.

Wzgardzasz memi chęci?

Michał do siebie.

Wspierajcieże mój zamysł, o wy wszyscy święci!

Karol.

Niebaczna! sama lecisz na nowe przygody.

Michał.

Ach, słabo mi! ach, mdleję! spazma... wody... wody!

upada na ręce Burmistrza.

Karol.

Przebóg! zemdląca... ratuj! nim powrócę z wodą,

Ratuj! jój wdzięczny uśmiech będzie ci nagrodą.

Odchodzi.

Burmistrz.

Żeby cię razem wszyscy... temu końca niema.
Z jednej do... Co za ciężar! a któż go utrzyma!
Mało dziesięć cetnarów... ledwie ruszyć mogę.

Kładzie pod drzewem.

Panno! trzeźwij się sama, ja ci nie pomogę.

Staje na przodzie sceny, tyłem do Michała.

O, nocy pełna zgrozy, czyż już nie masz końca?
Z przygód lecąc w przygody nie doczekam słońca!

Michał.

Z tyłu zachodząc, chwyta Burmistrza za głowę; potem ściąga na oczy szlafmice i mówi swoim głosem.

Stój! drzyj! milcz! jedno słowo... a będziesz bez ducha!
Dziesięć kul wnet ugrzęźnie w głębi twego brzucha!

Udając głos kobiety.

Ach, niestety! ach przebóg! biednaż ja dziewczica!

Swoim głosem.

Bierzcie! niech was jej piękność dłużej nie zachwyca.

Innym głosem, uderzając Burmistrza po ramieniu.

Tego zabić? swoim głosem, przechodząc na drugą stronę.

Nie jeszcze! Zostań przyjacielu,

Miej strzelbę w pogotowiu, trzymaj go na celu;

Jeśli ruszy choć palcem, niech zaraz umiera!

Odchodzi.

S C E N A III.

Burmistrz, Karol.

Burmistrz w miejscu gdzie stał, pada na kolana.

Pardon! Karol nadchodzi z wodą.

Pardon!

Karol.

Cóż to jest?

Burmistrz.

Pardon!

Karol.

Gdzież Palmira?

Palmira gdzie, czy słyszysz? a cóżto do kata!

Paraliż, oniemienie, czy rozumu strata?

Podnosi mu szlafmicę.

No!... cóż? ...he? ...a gadajże! Lejąc wodę w oczy.

Burmistrz wstając.

Czy nie jestem ranny?

Karol.

Gdzie?

Burmistrz.

Tu.

Karol.

Nie.

Burmistrz oglądając się.

Chwała Bogu ... niema ciężkiej panny?

Karol.

Ja cię się pytam...

Burmistrz.

A ten, co na celu trzyma?

Karol.

Wytłumacz się, prócz nas dwóch, nikogo tu niema.

Burmistrz.

Musiał uciec: ach Panie, co się tutaj działo!
 Ledwie odszedłeś, dziesięć, gdzie tam, dziesięć mało,
 Dwadzieścia wpadło na mnie zbrojnego żołnierza.
 Raz, dwa, trzy, każdy strzelbę do brzucha mi zmierza,
 Rzecz nie mała ... struchlałem, aż tu dwóch przyskoczy
 I zatykają naraz i gębę i oczy.
 Stój, drzyj, milcz! wszyscy wrzaśli, bo jak palcem
 kiwniesz,
 Sto kul zaraz cię trafi, tak, że ani ziwniesz!
 Pannę także chwyтали tego i zażarcie.

Karol.

Przebóg!

Burmistrz.

Jeden zaś przy mnie został się na warcie,
 Nawet pono wystrzelił.

Karol.

W którąż uszli stronę?

Burmistrz.

A, Bóg to raczy wiedzieć.

Karol.

Wszystko więc stracone!
 Nie wiem, kto ję tyranem, gdzie miejsce niewoli!

Burmistrz.

Szkoda.

Karol.

Nie będę w stanie wyrwać ją z niedoli,

Ujdzie karzącęj ręki złoczyńca zuchwały.

Ach, i dziwić się dziełom nie będzie świat cały!

Burmistrz.

Aj! aj!

Karol.

Cóż tam?

Burmistrz.

Ktoś idzie!

Karol.

Prawda, jakieś głosy!

Może ją powracają przyjazne nam losy.

Usuńmy się na stronę...i zważajmy pilnie.

Odchodzą w głąb sceny.

SCENA IV.

Ciż w głębi, i Wieśniaczki.

Pierwsza Wieśniaczka.

Ostrożnieże w tym lesie, trzymajże ją silnie.

Karol do Burmistrza.

Trzymaj? słyszysz, to ona!

Druga Wieśniaczka.

Trzymam z całej mocy.

Trzecia Wieśniaczka.

Jak raz jeszcze ucieknie, wśród lasu i nocy,

Już ją więcej nie złapiesz.

Pierwsza Wieśniaczka.

Związać ją potrzeba.

Druga Wieśniaczka.

Zaczekajcieże trochę!

Karol w głębi.

Wiążą ją, o nieba!

Pierwsza Wieśniaczka.

I, lepiej czekać, może nadejdą chłopaki,

Nie zastąpi nam drogi przecie ładajaki.

Jonek za Kasią śpieszy, nadbiegnie za chwilę.

Trzecia Wieśniaczka.

I weselej iść razem i strachu nie tyle.

Druga Wieśniaczka.

Prawdziwe też z was baby, boicie się lasu.

Nikt tu w nim nie zaginął od dawnego czasu,

Tać i chata leśnego ledwie o stajanie...

Ale nie lękajcie się, nic nam się nie stanie:

Chodźmy, nie traćmy czasu...nie siedźmy do rana.

Zbierają się.

Karol do Burmistrza.

Słyszysz?

Burmistrz.

Słyszę, głos kobiet.

Karol.

Wszystko rzecz udana:

Baba, chłop...Jonek, sukurs...a ta chata blisko

Nie co, tylko okropne tyrana zamczysko.

Zastępując drogę odchodzącym.

Stójcie!

Burmistrz chowając się za niego.

Złóżcie broń!

Karol.

Stójcie obrzydłe poczwary!

Burmistrz chowając się za niego.

Złóżcie broń!

Karol.

Gdzież jest? gdzież jest? nie ujdziecie kary!

Mówcie, gdzie jest nieszczęsna?

Druga Wieśniaczka.

Czego się tak pchacie,

Wszak ich dwóch a wy młode, i kułaki macie!

Karol.

Puście ją zaraz!

Druga Wieśniaczka.

O, wój!

Karol.

Lecz gdzież jest ukryta?

Puście!

Druga Wieśniaczka.

Nie puszczę!

Karol.

Musisz!

Druga Wieśniaczka.

Nie puszczę, i kwita!

Karol.

Rozwiążcie ją natychmiast.

Pierwsza Wieśniaczka.

Tak, żeby uciekła.

Karol.

Jakiem prawem wiążecie, zwolennicy piekła!

Jakiem prawem bezczelna wstrzymuje ją siła?

Druga Wieśniaczka.

Prawem, bo moja.

Karol.

Twoja!

Druga Wieśniaczka.

Moja, bom kupiła.

Karol.

Może i przedasz?

Druga Wieśniaczka.

Jużci, jak mi kto zapłaci.

Karol.

Gdzieżto jestem? o nieba! jestżem wśród współbraci?

Cóżem słyszał! Niepomni i Boga i cnoty

Możecie się dopuszczać podobnej sromoty!

Ludźmi frymarczyć!

Wieśniaczki.

Ludźmi?

Karol.

Na to nie zezwolę!

Nie przedacie Palmiry... skończę jęj niewolę!

Wieśniaczki razem.

Papiéry!

Piérwsza Wieśniaczka.

Ta to waryjat!

Druga Wieśniaczka.

My tego nie znamy.

Karol.

Próżne wasze wykręty, wiary im niedamy.

Słyszałem, coście z sobą tu idąc mówili:

„Trzymaj ją dobrze!“ wszak tak?

Piérwsza Wieśniaczka.

A tak!

Karol.

A po chwili!

„Trzeba ją związać.“

Piérwsza Wieśniaczka.

Prawda.

Karol.

Gdzież się więc ukrywa?

Gdzież jest? mówcie poczwary; gdzież jest nieszcze-
śliwa?

Druga Wieśniaczka.

W kobiałce.

Karol.

W kobiałce? kto?

Druga Wieśniaczka.

Gęś.

Karol i Burmistrz.

Gęś?

Wieśniaczki razem.

Gęś.

Karol

po długim milczeniu.

Co słyszę!

Burmistrz.

O tej gęsi rozdziału pewnie nie napiszę.

Pierwsza Wieśniaczka.

Wyszliśmy w nocy, żeby w mieście stanąć z rana,
Aż tu nam taki kłopot dała gęś związana,
Ale pono Waszmoście chcieli sięgnąć po nią?
Szkoda, że i kobiety czasami się bronią.

Karol na stronie.

Co za wstyd...

Burmistrz.

Dzięki Bogu, że dał koniec taki.

Wieśniaczki razem.

Patrzcie, jak się wstydzą, jak stoją junaki!

Ś P I É W.

Wieśniaczki.

To junaki, to mi śmiałki,

To mi zuchy do kobiałki!

Karol.

O przekłęcie!

Burmistrz.

O wybornie!

Wieśniaczki.

Co za śmiałość w nich powstała!

Karol.

Co za hańba!

Burmistrz.

Co za hańba!

Wieśniaczki.

Na kobiety dwóch uderza,

Ha, ha, ha, ha, co za chwała!

Karol.

Dobrej chęci uszła chwała!

Burmistrz.

Z tyle strachu, co za chwała!

Wieśniaczki.

Dla rycerzów ha, ha, ha, ha!

Karol.

A wstyd został dla rycerza!

Burmistrz.

A wstyd, hańba, dla rycerza!

Razem.

Razem.

Razem.

Razem.

Wieśniaczki.

To junaki, to mi śmiałki,
To mi zuchy do kobiałki!

Karol.

O, przekłęcie!

Burmistrz.

O, wybornie!

Wieśniaczki.

Teraz oba w naszej mocy;

Karol.

Co za hańba!

Burmistrz.

Co za hańba!

Wieśniaczki.

Lecz przebaczyć im wypada.

Ha, ha, ha, ha, dobrej nocy!

Karol.

O, przekłeta ciemność nocy!

Burmistrz.

O, przekłeta ciemność nocy!

Wieśniaczki.

Życzym wszystkie, ha, ha, ha, ha!

Karol.

Jak zdrażliwie nami włada!

Burmistrz.

Jak zdrażliwie nami włada!

Wieśniaczki odchodzą śmiejąc się.

Razem.

Razem.

Razem.

Razem.

Burmistrz.

Wszak mówiłem...

Karol.

Mówiłeś, milczże teraz proszę.

Burmistrz.

Wszakże wszystko cierpliwie i bez płaczu znoszę;
Ale zgadłem.

Karol.

Cóż zgadłeś, rzekłeś, zrozumiałeś,
Pojąłeś? przeniknąłeś i przepowiedziałeś?
Co? co? mów!...no co? gadaj...ale bądź mi cicho;
Bo ciebie i te baby nadesłało лихо!
Idziesz czy nie?...nie? bądź zdrow. Odchodzi.

Burmistrz idąc za Karolem.

Ale idę, idę.

Ach kiedyż Bóg łaskawy skończy moje biedę.

SCENA V.

Scena się odmienia. Brzeg lasu; dnieje.

Michał, później **Boruta**.

Michał jeszcze po kobiécemu, wbiega.

Ha, już tchu we mnie niema, nie wiem czyli żyję;
Drzą nogi...w garle sucho...serce mocno bije.

Siada.

Boruta.

Któżto pobiegł tak nagle? coś się złego święci.

Michał do siebie.

Jest!... ktoś idzie... czy diabeł wszystkich do mnie
nęci.

Boruta spostrzega Michała.

Jakaś kobieta.

Michał chrapie.

Hm, hm! tak prędko uśpiona!...

Ta suknia... ten... ten kornet? ta to... moja żona!

Michał na stronie.

Jest...kochankam się pozbył a dostałem męża.

Boruta do Michała.

Znowu cię ta przekłeta zazdrość uciemieża;
Małgosiu! Ej, Małgosiu! po nocy, po lesie!
Powiedz, jakież cię zły duch, jaka wściekłość niesie.
Nie śpij Małgosiu! póki proszę!

Michał na stronie.

Ej do kata!

Może ten mąż czasami żonie skórę łata!

Boruta.

Zostawiłaś gości, dóm, któż cię tam wyręczy?
Ta zazdrość w końcu i mnie i ciebie zamęczy.
Dosyć tego Małgosiu, wstawaj...dalej w drogę!
Czy słyszysz? ... A, do kroćset, już ścięrcić nie
mogę.

Michał ucieka przed Borutą.



S C E N A VI.

Karol, Burmistrz, Michał, Boruta.

Karol chwytając Borutę za kark.

Mam cię łotrze! Mój zemście nieba cię wydały.

Boruta.

Cóż to jest? jakto? coto?

Karol.

Złoczyńco zuchwały!

Tyś więc to jest ów tyran, tej lubej dziewicy?

Twoito równi tobie, podli niewolnicy

Ukradli ją przed chwilą z pod mojej obrony

I na powrót oddali w twe zbrodnicze szpony.

Ty jesteś ów opiekun bez wiary, honoru,

Który ufność nagradzasz kratami klasztoru!

Lub może...krew się burzy!...Może duszo dzika,

Ku nadobnej Palmirze miłość cię przenika?

Chcesz zgwałcić wstręt ku tobie i ufając w złoto

Chcesz w twój i jej osobie zbrodnię złączyć z cnotą!

O, przysięgam na niebo, na ziemię, świat cały!

Nigdy twoją nie będzie, próżne twe zapęły.

Do Michała.

Przysięgam, będziesz wolną i będziesz zemszczoną.

Boruta.

Nie rozumiem...lecz to wiem, że jest moją żoną

I nikt ją kochać, bronić i mścić niema prawa.

Karol.

Palmira jego żoną!

Burmistrz.

Znowu próżna wrzawa.

Karol do Michała.

Jestże tak w rzeczy, powiedz?

Michał.

O, nie, nie! brón Boże!

Boruta niespokojny.

Małgosiu, co to znaczy?

Karol.

Milcz!

Boruta.

Ale...

Karol.

Milcz!

Boruta.

Może...

Karol.

Ani słowa!

Boruta.

Lękasz się...

Karol.

Precz! Chce odchodzić.

Boruta.

Wszystko przebaczę...

Placząc z złości.

Małgosiu co to znaczy?...

Karol.

Ja ci wytłumaczę.

Boruta.

Aj, żono droga, luba!...

Karol.

Staję w jej obronie.

Boruta.

Ja bo nie chcę...

Karol.

Przed światem twój zamiar odsłonię.

Boruta.

Chodź zónciu...

Karol.

Ani kroku! przed światem ogłoszę,
Że za cnotę w ucisku broń zemsty podnoszę.

Z Michałem chce odchodzić.

Boruta.

Gwałtu! żonę mi biorą!

Karol.

O kroków z tą parę
Do południa cię czekam...

Boruta do Michała.

Wspomnijże na wiarę...

Karol.

Przynieś z sobą broń równą; tam się z tobą zmierzę.
Teraz idź, albo zginiesz! Odchodzą z Michałem.

Boruta sam.

I żonę mi bierze!...

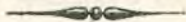
Biega po scenie.

A to miło! to pięknie! ja ją nie porzucę.

Nie...nie...pójdę po ludzi; ale nim się wrócę?

Na co czekać południa?...nie trzeba godziny...

Żebym był...Boże! Boże! wszystko z mojej winy.



A K T III.

Pokój w domu Kasztelana; nakryto do śniadania.

S C E N A I.

Zofija sama.

Śpiewa.

Com widziała wśród marzenia,
Czém mnie lube sny pieściły,
Dziś w istotę się przemienia,
Wraca ten, co sercu miły!

O, rozkoszy niezrównana,
Kocham wzajemnie kochana!
Łzy tęsknoty, łzy miłości!
Już nadzieja was osuszy;
Prócz dla szczęścia, dla radości,
Niéma miejsca w mojej duszy!

O, rozkoszy niezrównana,
Kocham nawzajem kochana!
Lećcie chwile oddalenia,
Ale potem stańcie w pędzie,
Kiedy serca uderzenia
Lube serce liczyć będzie!

O, rozkoszy niezrównana,
Kocham nawzajem kochana!

S C E N A II.

Zofija, Kasztelan.

Kasztelan.

Dobrze, kochana Zosiu, lubię żeś wesola.

Zofija.

Jakże nie być, gdy szczęście postrzegam do koła.

Całując w rękę.

Stryj mnie kocha jak ojciec i...

Kasztelan.

I Karol wraca...

Wszak to I to ma znaczyć? Przeszłe troski, praca,
Wszystko wraz nagrodzone was obojga szczęściem,
Wszystkie nadzieje waszém spełnią się zamęściem.
Dotrzymam, co przyrzekłem bratu już przy zgonie,
Gdy cię jeszcze dziecięciem złożył na mém łonie:
Będiesz i moją córką i zawsze mi drogą.

Zofija.

Kochać cię będą dzieci, odwdzińczyć nie mogą.

Kasztelan.

I tego tylko żądam. Lokaj wchodzi i oddaje listy.

A! listy z Warszawy.

Zofija.

Listy!

Kasztelan.

Potém czytanie, a teraz do kawy. Siada.

Zofija.

O, jeszcze nie gotowa, niech stryjasek czyta,

Jeśli... Wstrzymuje się, i ciszej.

chce czytać.

Kasztelan.

Pewnie mój Lubosz mnie wita.

Przybyłego w te strony: dobry téżto stary,

Pocziwy!

Zofija.

Ma stryjasek swoje okulary?

Kasztelan szuka przy sobie.

Nie...

Zofija wybiega.

Niémam, tam są pono... tam koło komina.

Zofija przynosi okulary.

To są!

Kasztelan.

A co?

Zofija.

Co?

Kasztelan.

Kawa! Nudzić mnie zaczyna...

Zofija.

Już, już daję. Pan Lubosz, to człowiek jedyny,

Zawsze wie i donosi najświeższe nowiny.

Kasztelan.

Nowiny? dobrze mówisz, zobaczę w gazecie...
Ależ kochana Zosiu, lejesz po serwecie.

Zofija.

Ach!

Kasztelan.

Lubię ja nowiny byle nie o wojnie:
Chciałbym aby świat cały żył sobie spokojnie;
Ale kiedy o bitwach gazety donoszą,
To mordy, to pożogi, to zburzenia głoszą,
Ach, wtedy z cudzych nieszczęść przykra mi zabawa.

Zofija.

Może co w liście będzie...

Kasztelan.

Widzę, żeś ciekawa!

Zofija.

Kochany stryju!

Kasztelan bijąc się po głowie.

Aj, aj! co myślisz łbie stary!

Jamto Zosiu przewinił, jamto godzien kary,
W liście jest o Karolu a listu nie czytam
I jeszcze o przyczynę ciekawości pytam.

Czyta list cicho.

Tak?... dobrze... wyśmienicie... pięknie... doskonale!
Nie, tegom się po synie nie spodziewał wcale!

Zofija.

O Boże! cóż takiego?

Kasztelan.

A już przebrał miarę...

Słuchaj, proszę cię, słuchaj; czy dasz temu wiarę?

Czyta list.

„Niedobre nowiny donieść ci muszę kochany przyjacielu! Ukończywszy zupełnie interesa względem kupna dóbr, w których się teraz znajdujesz, na rzecz Karola i Zofiji.

Zofija.

Ta nowa łaska...

Kasztelan ozyta dalej.

Słuchaj!

„czekałem momentu podług twojego rozkazu, aby o tém uwiadomić i wysłać go do ciebie; ale tym czasem smutne doszły mnie wieści, że Karol drugim stał się Don Kiszotem. Byłem u niego, odpowiedział, że chce odnowić dawne czasy rycerstwa, kiedy słabość i cnota uciemniona znajdowały obrotu w dzielnej młodzieży, i że chce być wzorem dla świata“...

Trzeba być waryjatem,

Aby chcieć świat przerobić, walczyć z całym światem.

Czyta.

„Po moich odwiedzinach pierwszego dnia, wpadł do klasztoru zakonnic, nie pomnę których, w czasie, gdy jedna młoda osoba *votum* czyniła, i mniemając pewnie, że jest przymuszoną, chciał gwałtem ją wyrwać, jak mówił barbarzyństwu“...

Proszę. Czyta.

„Drugiego dnia chciał przez okno wyrzucić złe mó-
wiącego o całej płci pięknej“...

Co mu do tego! Czyta dalej.

„A dowiedziawszy się, że jakiś Jegomość w najgor-
szym sposobie obchodzi się z swoją żoną, wyzwał
i obciął go dnia trzeciego, a czwartego wyjechał
z tąd nie wiem do kąd, zapewne dla wypełnienia
swoich szalonych zamiarów. — P. S. Trzeba mu je-
dnak oddać sprawiedliwość, że zawsze myśli uczci-
wie i Zofiją szczerze kocha. Bądź zdrow. — Twój
przyjaciel — Lubosz.“

Zofija.

On mnie zawsze kocha!

Nie gniewaj się stryjasku, myśl jego za płocha,
Ale serce szlachetne, wierne, dusza stała.

Kasztelan.

Widzę, żeś na przypisek tylko uważała.

Że młodzieź zwykle płocha, ma swoje przywary,

Nie jestem zbyt surowy i patrzę przez szpary;

Ale co taka czynność, to szaleństwo znaczy,

I chociaż ja przebaczę, świat ją nie przebaczy.

Nie, nie jestem surowy, znam wszystkiego miarę,

Nawet nie w moim guście te młodziki stare,

Te poważne młokosy, zawczesne sensaty:

Młodość ma swoje prawa, jak wiosna ma kwiaty.

Nie lubię, gdy młodzieniec trwożny i nieśmiały

Z dziewiczej układności poszukuje chwały,
Zawsze w sobie zamknięty, milczący, ponury,
Nie otwiera swęj duszy ponętom natury;
Nawet często się zdarza, często się odkrywa,
Że z wielkiego sensata wielki głupiec bywa.

Zofja.

Gdzie my go teraz znajdziem? wyjechał z Warszawy.

Kasztelan.

Po co, na co, dla czego włazić w cudze sprawy?
Chcieć przez okno wyrzucić... i ta zakonnica... Śmieje się.
Ale... ale zuch chłopak, obciesał szlachcica!

S C E N A III.

Ciz i Jakub.

Jakub

kiwa palcem na Kasztelana.

Proszę Pana na sekret...

Kasztelan.

Mój stary Jakubie,

Całe życie sekreta: sekretów nie lubię,
I proszę cię w sekrecie, niech sekret ustanie.

Jakub.

Jak Boga kocham sekret, wielki sekret Panie
Gdzieś tam w lesie jakichsię chlōpi połapali.

Kasztelan.

Do wójta!...

Jakub.

Ale proszę, niech Pan słucha dalej;
Boto leśniczy Panie, co karczmarzem razem,
Jéno dzień do wsi przypadł i śpiesznym rozkazem
śmieje się.

Wszystkich w las pędzi, ale... gdy biega i śpieszy,
Pada, nogę wykręca...

Kasztelan.

I to cię tak śmieszy?

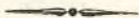
Jakub.

Otóż w tém sekret Panie, kto są ci panowie:
Bo, że na panów patrzą, widać po ich mowie;
Wprawdzie ich nie widziałem, lecz kuchmistrz powiada.
A!...i ta pani z nimi, to pani nie lada;
To jakaś tęga pani, tak krzyczy, rozprawia,
Że dworzan i gromadę w zadumienie wprawia.
Otóż więc dla odkrycia całej tajemnicy,
Obu Ichmościów razem zamknęto w piwnicy.
A tę panią...ekonom ze mną się naradził,
I ponieważ to dama, do spichlérza wsadził.

Kasztelan.

O, gapie! takto czcicie gościnności prawo?
Idź, prosz, aby tu przyszła! biegajże a żwawo!

Jakub odchodzi.



S C E N A IV.

Kasztelan, Zofija.**Kasztelan.**

Może ją jaki tutaj przypadek sprowadził,
A ten głupiec bez względu do spichlérza wsadził.
Wcale mi nie na rękę te nowe zdarzenia,
Jak gdybym niemiał dosyć swojego strapienia.

S C E N A V.

Ciż, Jakub; Michał po kobiécemu.**Jakub.**

Właśnie tu idzie. Bierze Kasztelana na sronę.

Sekret.**Kasztelan.**

Wraz z tobą mnie nudzi.

Przypatrując się Michałowi; na stronie.

A to co! Do Michała.

Proszę bliżej... za śmiałość mych ludzi...
I niegrzeczność... przeprosić... Panią mi wypada.

Zofija.

Cóż za dziwna figura!

Kasztelan przypatrując się.

Niechże Pani siada...

Michał.

Ach co widzę! klęka.

Ach, przebacz, przebacz Kasztelanie!

Kasztelan.

Cóż to jest... Michał!... Michał!

Michał.

Jato jestem, Panie!

Kasztelan.

A mój syn?

Zofija.

Gdzież jest Karol?

Jakub.

Michał, czy szalony!

Michał.

Razem go ze mną chłopci przywiedli w te strony.

Zofija.

Tu jest, tu Karol, śpieszę...

Kasztelan.

Zatrzymaj się, proszę.

Coś to w tém niedobrego być musi, jak wnoszę.

Za cóż, po co was wzięto? jak łotrów, jak zbiegów.

Michał.

Czy mam mówić z początku?

Kasztelan.

Tylko bez wybiegów.

Michał

odkrząknawszy, po krótkim milczeniu.

Jeszcze Pan był dziecięciem...

Kasztelan.

Tegom nieciekawy.

Chcę od wyjazdu z miasta wiedzieć wasze sprawy.

Michał.

Ledwieśmy za warszawskie wystąpili mury,
Jechał mój Pan na bryczce smutny i ponury,
Ja na koźle milczałem, on nie mówił słowa,
Aż się nareszcie nasza skończyła rozmowa.
Spałem... woźnica chrapał a wychudłe szkapy
Nie pomne na głos pana, na jego harapy,
Co krok się potykając, szły z głową spuszczoną
I zdały się przejmować myśl naszą strapioną:
W tém z rowu jakiś hałas przeraża nam uszy,
Strach nam i dzwoni w zęby i włata do duszy,
Aż tu jakiś diwotwór w powietrze się wzbija,
Skrzydła czarne, dziub groźny, w troje zgięta szyja,
Nie czapla i nie jastrząb i nie kaczor dziki,
Okropna jego postać, okropniejsze krzyki;
Wtedy Pan chwyta strzelbę, mierzy, spuszcza, strzela
I obrzydłą poczwarą drogę nam zaściela,
A przelekłe rumaki, co jak martwe były,
Nagle z miejsca ruszając... kłusem się puściły.
Ale wśród tej przygody oś niestety, pryska
I wszystkich nas trzech razem o sto kroków ciska.
Wszyscyśmy razem wstali, konie się wstrzymały,
I tak się przecie skończył ten przypadek cały.

Kasztelan.

Gadał, gadał i gadał, i cóżeś wygadał?
Któż cię o takie głupstwo i szaleństwo badał?

Michał.

Zaraz będzie ciekawsze; dopiero zacząłem.
Teraz o bitwie.

Kasztelan i Zofija.

Bitwie!

Michał.

Tak, pod Ryczywołem.

Gdyśmy już przejechali ryczywolskie śmiecia,
Przy drodze nad żeńcami stał jakiś z waszecia:
Kurta, wąs tęgi, w ręku boćkowskie narzędzie,
Którém nadto gorliwie błogosławił wszędzie.
„Wszyscyśmy ludzie równi przed światem i Bogiem,
„Nie dajcie się ciemieżyć, naganiać batogiem,
„Skropcie dwakroć tyrana, kiedy on was kropi!“
Mówił mój Pan w zapale. Rzucili się chłopci,
A że grzbiet ekonoma, rzecz dla nich łakoma,
Łupu cupu, ten i ów... zbili ekonoma.
Ale...

Kasztelan.

Głupiś i głupiś; nie ciekawym boju.
Mów, co Karol tu robi i ty w takim stroju?

Michał.

Widząc się zawsze z Panem w życiu jak na brzegu,
Zbłądziwszy w nocy z drogi, uciekłem z noclegu;

A że zawsze o paszport pytają w stolicy,
By się łatwiej przemycić wlażłem do spodnicy.
Ale, gdy w mej ucieczce tłukę się po lesie,
Za mną jakieś złe лихо Pana mego niesie
I ledwie mu się wymknął, znowu mnie dogonił;
Lecz tą razą szczęśliwie, bo grzbiet mój ochronił
Od kogoś, co mym mężem chciał zostać koniecznie;
A żem nie chciał być żoną, stawił mu się sprzecznie,
Wyszli chłopci, jak mniemam, za jego rozkazem
I tu mnie zaprosili z moim Panem razem.

Kasztelan.

Poznałże cię Karol?

Michał.

Nie.

Kasztelan.

Czy wie, że jest u mnie?

Michał.

Nie.

Kasztelan.

Z tym Paniczem trzeba postąpić rozumnie.

Po krótkim myśleniu.

Dobra myśl... Chodźcie, wszystkim porozdaję role.

Zofija.

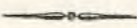
Ja wolę pójść do niego.

Kasztelan.

Ja poprawić wolę.

Odchodzą.

Scena się odmienia; piwnica.



S C E N A VI.

Karol, Burmistrz.**Burmistrz.**

To zgroza! co krok koza.

Karol.

Smutne przeznaczenie :

Za najlepsze zamysły, hańba i więzienie.

Niczym więc będą moje najświętsze zamiary.

Burmistrz.

Lecz któż Panu dał władzę i sądu i kary?

Karol.

Tak wrodzony wstręt zbrodni, jak i miłość cnoty.

Burmistrz.

Powinnyby przekonać dzisiejsze kłopoty,

Jak próżny taki zamiar . . . Cóż zrobioném było,

Coby więcej na chlubę, niż śmiech zasłużyło?

Ja pierwszy, człowiek słuszny, szanowny z urzędu,

Stałem się dziś ofiarą szaleństwa i błędu.

S C E N A VII.

Ciż i Sługa.**Sługa.**

Który z Panów Burmistrzem?

Burmistrz.

Ja, ja, ja! cóż powiesz?

Sługa.

Proszę z sobą.

Burmistrz.

A po co?

Sługa.

Zaraz się Pan dowiesz.

Burmistrz.

Wolałbym jednak razem . . .

Karol.

Nie bój się, idź śmiało:
Zaświadczę, żeś jest niczém albo bardzo mało.

S C E N A VIII.

Karol sam ;

później **Zofja** za sceną.

Jednak dobrze powiedział . . . Tej nocy wyprawy

Przyniosły wstydu wiele a najmniejszej sławy :

Jak włóczęga, napastnik, prawnie oskarżony,

Będę musiał się zniżyć do słownej obrony.

Wzbiłem się wprawdzie śmiało nad zwykłe koleje,

Lecz sam się teraz pytam, działał czy szaleję?

Zofja śpiewa za sceną.

D U M A.

Jak błysnięcie w nocy ginie,

Jak głos fletu wiatr przewieje,

Jak schnie rosa na drzewinie,
 Tak zagina me nadzieje!
 Czemuż do mnie nie powraca?
 Któż go kochać będzie tyle!
 Ach zapomniał dawne chwile,
 Niewdzięcznością mi odpłaca.

Karol.

Nieba! co słyszę! ten głos, te słowa, o nieba!

Zofja śpiewa.

Jak nie wróci dzień, gdy minie,
 Zgasła iskra nie zatleje,
 Jak łza czysta, co wypłynie,
 Tak nie wróćą me nadzieje!
 Ach już do mnie nie powróci,
 Ten, którego kocham tyle!
 Już zapomniał dawne chwile,
 Ach on życie moje skróci.

Karol.

Tak, to jój głos ... jój słowa, czyż mi więcej trzeba.

Śpiewa.

Jak świat co dzień zorza budzi,
 Jak się wiosna co rok śmieje,
 Jak jest miłość szczęściem ludzi,
 Tak niemyłne twe nadzieje.
 Twój kochanek w każdej dobie,
 Jak kochanym, kocha tyle,
 Nie zapomniał dawne chwile,
 Wróci, wróci żyć przy tobie.



S C E N A IX.

Karol, Sługa.

Karol.

Gdzież, gdzież jest? wszakto ona ... mów ... powiedz
choć słowo!

Sługa.

Kto?

Karol.

Zofija, Zofija, niepojętna głowa!

Sługa.

Nie wiem.

Karol.

Któż śpiewał?

Sługa.

Nie wiem.

Karol.

Któż Panem tej włości?

Gdzież jestem?

Sługa.

Nie wiem.

Karol.

Głupiś.

Sługa.

Nie wiem.

Karol.

Cierpliwości!

O, święta cierpliwości, wspieraj mnie w tej dobie.

Dobywa sakiewkę i daje słuzącemu.

Na ... masz ... tylko mnie słuchaj.

Szuka jeszcze koło siebie pieniędzy.

Weź co mam przy sobie,
Pozwól tylko, bym wyszedł, bym mógł ją zobaczyć.

Do siebie.

Może zechce wysłuchać, i raczy przebaczyć:
Wyznam jęj moje błędy, do nóg się jęj rzucę ...

Do sługi.

Przysięgam ci na wszystko, sam się zaraz wrócę,
Do siebie.

Cierpliwie znosić będę nieprawe więzienie,
Bo mnie głos jęj umocni, ożywi wejrzenie.

Sługa oddając list.

List.

Karol.

List? od kogo?

Sługa.

Nie wiem.

Karol

czyta.

„Chciałeś mnie ratować w nieszczęściu. Miłość wza-
jemna jako nagroda, czeka na ciebie. Za twoją mi-
łość, miłość i wolność cię czeka. Oddawca tego bi-
letu będzie twoim przewodnikiem. — Palmira.“

Co! miłość mnie czeka?

Cóżto? kto chce ratować, czy miłość przyrzeka?

Nie, idź, powiedz ... Ale nie ... Ty mnie masz prowadzić?

Sługa,

Ja.

Karol.

Chodźmy ... będąc wolnym, wszak łatwiej poradzić.

Sługa.

Lecz pierwój oczy chustką kazano zasłonić.

Karol.

Na co?

Sługa.

Nie wiem.

Karol po krótkiem myśleniu.

Zezwala, kto nie może wzbronić.

Sługa zawiązuje mu oczy i wyprowadza.

Scena się odmienia; pokój w domu Kasztelana.

S C E N A X.

Kasztelan, Zofja, Burmistrz, Jakub.

Kasztelan do Burmistrza.

Wać Pan Panie Burmistrzu, idź, wracaj do domu
I nie mów o przygodach tej nocy nikomu;
Bo każdy pewnie powie: młody godzien kary,
Lecz można mu przebaczyć; ale kiedy stary ...
Rozumiész?

Burmistrz.

Milczćć będę i twa łaska Panie,
W mojej czulej pamięci na zawsze zostanie. Odchodzi.

Zofija.

Lecz go bardzo stryjaszku, dręczyć się nie godzi,
Słyszałeś, jak mnie kocha . . .

Kasztelan.

Cicho, już nadchodzi.

S C E N A XI.

Kasztelan, Zofija; Karol, Michał

po kobiécemu; oknem włączą

Karol w oknie.

Ale gdzież nasz przewodnik ?

Michał w oknie.

Wiém już dalej drogę.

Już w pokoju.

Ach! czy tylko mnie kochasz ?

Karol.

Teraz przejrzyć mogę.

Zdémuje chustkę z oczów.

Cóż to jest ?

Kasztelan.

Dół na wilka.

Karol.

Zofija! mój ojciec!

Kasztelan.

Protrafiłem nareszcie twoich sprawek dociec.
Do tegożto dążyły wszystkie twoje dzieła ?
Tażto jest piękność, która twą duszę zajęła ?

Wielkie muszą być wdzięki, wielkie jój powaby,
Kiedy, aby cię wstrzymać, honor był za słaby;
Tak honor ... boś bezwstydnie złamał słowo dane,
Aby wolno zamiary spełniać wyuzdane.

Miłość Zofiji miałeś, szczęście cię czekało;
Lecz nie mogłeś ich cenić, boś ich godzien mało,
Zapomniałeś, coś winien i światu i sobie,
Zapomniałeś i ojca, co wszystko miał w tobie.

Karol.

Ach, ojcie! ojcie, słuchaj!

Kasztelan.

Cóż ta skrytość znaczy?

odsłania Michała.

Niechże i moje oko tę piękność zobaczy.

Karol.

Co! Michał! A hultaju! ty śmiałeś mnie zwodzić?

Michał klęka.

Nie zwodzić chciałem, tylko siebie oswobodzić:

Wyznam wszystko,

Karol.

Nie mogę gniewać się w tej chwili.

Wstań . . . przebaczam ci . . . Oby i mnie przebaczyli!

Lecz w kimże znajdę dla mnie uczucie łaskawsze?

Do Zofiji.

Tak, ty . . . ach ty Zofijo, którą kochał zawsze,

Ty przebaczysz Zofijo?

Zofija.

I możesz się pytać?

Ty, coś tak niegdyś umiał w moich oczach czytać!
Nigdy ciebie niewiniąc, nad sobą płakała,
Żem tak mało twe serce pozyskać umiała;
Lecz tu, tu przebaczenia błagajmy oboje.

Karol na kolanach.

Tak, u nóg twoich ojcie . . .

Kasztelan.

Wstańcie, dzieci moje.

Karolu, łatwo ojciec przebłagać się daje:
Uciecha jego dzieci, szczęściem mu się staje;
Lecz pamiętaj, pamiętaj, Don Kiszocie nowy,
Że dawne myśli trzeba wyrugować z głowy.

Karol.

Tylko daleki od was mogłem zbłądzić z drogi.

Michał.

Jeśli na nowe boje przestąpię te progi,
Niech od dziś dnia kobietą na zawsze zostanę.

Kasztelan biorąc Zofiją za rękę.

Weź z rąk moich jej rękę . . . serce ci już dane,
Jesteś kochanym . . . kochaj . . . i nie pragnij wiele,
A rzeczywiste szczęście otrzymasz w udziale.

F I N A L.

Nie szukajmy wśród marzenia,
Szczęścia co się stokroć zmienia,
Jak cień własny nas uwodzi,
Gdy go gonim, to uchodzi!

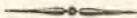
Między swemi,
W swojej ziemi,
Żyjmy zgodnie
I swobodnie!

Tylko miłość, stałość, cnoty,
Mogą wrócić nam wiek złoty!

L I S T.

KOMEDIJA *)

w jednym Akcie, wierszem.



Pokazuje, że może być oszukany, kto
się łatwo stracha, aby nie był oszukany.

And. Maz. Fredro.

*) Według niemieckiej powieści: *Der unruhige Abend.*

O S O B Y.

ORGON, kupiec, człowiek w średnim wieku.

CELINA, jego żona.

ZOFIJA, siostrzenica **ORGONA**.

RADOST, stryj **ZDZISŁAWA**.

ZDZISŁAW.

Scena w ogrodzie ORGONA, na przedmieściu.



L I S T.

SCENA I.

Noc. Xiężyc świeci. Ogród otoczony murem; w głębi furtka. Po prawej stronie róg domu; drzwi, okno wysoko tak, że dostać można, drugie okno w dachu. Po lewej altana, w której siedzenie i stół.

W środku drzewo.



Zdzisław

wskakuje przez mur do ogrodu. Kapelusz na oczy nasunięty; w płaszczu.

Wogrodzie jestem, i przed domem stoję,

Ale przed czym? to wielkie pytanie.

A nuż to nie jest Orgona mieszkanie?

Po krótkim myśleniu.

Dzisiaj, przeczuwam, coś dziwnego zbroję.

Bo choć tu jest Zofija, jakże ją wyszukać?

Wołać nie można ... nie wypada pukać ...

Nie znam jój opiekuna ani jego żony,

Będę więc pewnie z niczém odprawiony.

Tak ... i Zofija pisze „nie zwierz się nikomu“

Chodzi zamyślony.

Ha! sto trzydzieści, ma być numer domu.

Czyta nad drzwiami spinając się i zachodząc z różnych stron.

Jeden, jest ... lecz to? ... pięć ... nie, trzy, trzy oczywiście!

Ach, nie trzy, ośm; nie, to jest ... Niech cię piorun trzaśnie!

Głupiec napisał jakby datę w liście. Chodzi.
 Tak drobno, cienko, jak na drwiny właśnie.
 Łokciowe być powinny numera na bramie,
 Niech nikt oczów nie psuje i głowy nie łamie;
 Przekłète drobne numera!
 Ha! . . . dalej w nogi, ktoś furtkę otwiera.
 Odchodzi za dóm.

SCENA II.

Orgon, Radost; wchodzi furtką.

Orgon.

Otóż i w domu. Jak miłe ustronie!
 Nieprawdaż, lube; domek! co? a drzewa?
 Złe kupno? powiedz.

Radost.

Kochany Orgonie . . .

Orgon oglądając się w zachwyceniu.

Jaka spokojność!

Radost.

Niech cię to nie gniewa . . .

Orgon jak wprzód.

Co za powietrze! tylko pociąg nosem,
 A! . . . słodycz! . . . rozkosz!

Radost.

Nie jestem ciekawy;
 Każdy niech swoim zatrudnia się losem,
 Święte dla mnie cudze sprawy . . .

Orgon nie słuchając.

To nie miejskie wyziewy, tu odetchnąć miło,
Bodajto na przedmieściu zawsze mieszkać było!

Radost.

Nie jestem mówię ciekawy,
Nie chcę twoich myśli śledzić;
Ale chciałbym jednak wiedzieć,
Czemu o wdziękach przedmieścia rozprawiasz
A o zysku ani słowa;
W ręku służących twój handel zostawiasz,
Wszakci to strata gotowa.

Orgon.

Wolę mniej zysku a więcej spokoju;
Z młodem pracował do krwawego znoju,
Dziś choć niestary ale i niemłody
Nie dziw, że lepszęj chcę użyć wygody.

Radost.

Niewielkie w mieście były twoje trudy,
No, i zabawy bywały nagrodą,
Ale tu poznasz, poznasz coto nudy . . .
Lecz z drugiejj strony, kto ma żonę młodą . . .

Orgon.

Co? . . . młodą żonę? i cóż z tąd wynika?

Radost.

Nic, dobrze . . .

Orgon.

Dobrze, ja wiem, wyśmienicie!

Ale rozumiem ... Coto za myśl dzika!
Wierzyć nie można żadnej już kobiecie?
Każda więc żona, każda ma być płocha?
Otóż ja, ja mojej wierzę.

Radost.

Nie wątpię ... wiem, że cię kocha.

Orgon.

Kocha, tak kocha, bo jęj ufam szczerze.

Radost.

Hm, hm, czyż się o to pytam?

Orgon.

O, wiem co myślisz ... w twoich oczach czytam:
Wiem ... myślisz, żem się z miasta wyniósł na ustronie
Dla tego, żem zazdrośny, że nie ufam żonie
I że się boję ... boję ...

Radost.

Czego?

Orgon zniecierpliwiony.

Czego? ... tego ...

Wszak rozumiesz?

Radost.

Nie.

Orgon.

No wszystkiego złego,
Co najczęściej z tąd wypływa,
Kiedy młoda, ładna żona
Sama sobie zostawiona

W towarzystwach ciągle bywa.
Mężatka, młoda osoba
Oczywiście się podoba,
A na trzpiotach nam nie braknie:
Nie proszony zaraz leci
Jeden i drugi i trzeci:

Coraz z większym zapalem i wszystko mocno gestykulujać.

Już cudzego jak wilk łaknie,
Już się skrada i przemyka,
To się sroży, to się leści,
To nacięra, to unika,
To się pięknem słówkiem pieści,
Co raz wielbi wdzięki nowe;
A na męża jak na sowę,
Bij zabij, z krzykiem, hałasem,
Że mąż biędny tracąc głowę,
Jeszcze mu się kłania czasem...

Słowem, póty się łąsi i rozczula,
I przymila i przytula;

Aż prysk...Jéjmość wzdycha...

Piekło w domu...Pan się gniewa...

Jak się nie gniewać u licha

Chociażby się było z drzewa?

W największym zapale.

O, gdybym schwycił gdzie takiego trzpiota,
Duszęby wywarł w mém ręku niecnota;
Gniótlbym, męczyłbym, szarpałbym jak węża,
Niech wie, coto prawo męża!

Radost.

Ależ Orgonie! cóż tobie to szkodzi?

Ciebie wszakże nikt nie zwodzi?

Orgon postrzegłszy swoje nieuwagę, zmieszany.

Co?...mnie...nie szkodzi...Otóż egoista!

Jakże, dobro powszechne niczém już u Pana?

Chodzi.

Hm!...Nikt nie zwodzi...to rzecz oczywista,

Bo ufam żonie...zazdrość mi nieznana.

Radost ziewając.

Ufasz nie ufasz, na co mnie to wiedzieć.

Orgon.

Lecz proszę cię Radoście, wyznaj z swojej łaski,

Żem ja zazdrośny, kto ci mógł powiedzieć?

Z kądże wyszła ta bajeczka?

Czyto naszego miasta wyuzdane wrzaski,

Czy może koncept z twojego miasteczka?

Radost.

Bodajżem był rok cały jeszcze w domu siedział!

Żeś jest zazdrośny, czym słowo powiedział?

Orgon.

Ja nie jestem zazdrośny, zazdrością się brzydę,

Nad zazdrośnego męża, głupszego nie widzę.

Radost uśmiechając się.

I ja toż samo.

Orgon.

Bo jeśli zabronię...

Czego się śmiejesz?

Radost.

Jakaś myśl szalona...

Orgon

biorąc go gwałtownie za rękę i na stronę odprowadzając.

Możesz co o mojej żonie?...

Pomiarkowawszy się puszcza nagle rękę.

O, to anioł, moja żona!

Anioł powiadam, chwalić nie wypada,

Lecz rzadko która te cnoty posiada.

Radost ziewając.

O, wiem, Celina wzorem żón być może,

Ale pozwól sąsiedzie, niech się spać położy.

Przyznam ci się, żem zmęczony;

Zbiegłem za tobą wszystkie miasta strony,

Bo nawet w twoim sklepie więcej nie wiadzano,

Tylko, żeś na przedmieście wyniósł się dziś rano.

Łażę i łożę, od bramy do bramy,

Aż cię nareszcie spotykam szczęśliwie.

O ważnych rzeczach rozmówić się mamy,

Lecz potem o tém.

Orgon.

Teraz się nie dziwię,

Co cię do miasta z domu wyruszyło;

Interes, niech i tak będzie,

Zawsze w jakimkolwiek względzie

Oglądać cię miło.

Radost.

Chciałem ci przywieść mego synowca, Zdzisława:

Ale takim Paniczom nie w guście zabawa,
 Gdzie stryj spogląda i czasem poprawi;
 Jednak rad nierad przyjedzie do ciebie,
 I jeśli zechcesz, dni kilka zabawi.

Orgon.

Coto za wieczór! jak czysto na niebie!

Radost.

Parę tygodni jak wrócił z Krakowa;
 Chłopiec jak lalka, nie dla kształtu głowa,
 I dobre serce, nie mogę się skarżyć,
 Gdyby chciał tylko trochę więcej ważyć
 Tak moje rady, jak i moje władzę...
 Chcę go ożenić.

Orgon.

O, to, to, ożenić!

Ożenić chłopca jak najprędzej radzę,
 Nim zacznie nadto swoją wolność cenić,
 Nim się nauczy w teraźniejszej szkole
 Nie szukać innej chluby nad sprośną swawolę.

Radost.

Wybrałem mu już żonę; ale Panicz młody
 Chce wiedzieć, kto, jak, gdzie, co, i kochać się
 wprzód;

A ja nie chcę... To głupstwo... niepotrzebna pycha:
 Jak pójdzie do ołtarza, niechaj w ten czas wzdycha.

Celina z światłem wchodzi do pokoju.

Orgon

wskazując na okno.

Patrz, moja żona. Anioł! królowa! kochanie!**Coto za skarb, nie jesteś nawet pojąć w stanie.****Ach tyle cnoty! ach i wdzięków tyle!****Idź, idź Radoście, zostaw mnie na chwilę,****Zaraz za tobą pośpieszę,****Tylko się wprzódym mem szczęściem nacieszę.**

Staje obrócony ku Celinie z wyciągniętymi rękoma. Radost odchodzi.
 Orgon poczekawszy zbliża się do okna, spina się i zagląda. Celina wstaje od stolika, przy którym pisała i otwiera okno. Orgon staje pod drzewem.

SCENA III.**Orgon, Celina.****Celina** w oknie.**O, witaj chwilo mój umysł pieszcząca!****Witaj! w córy Latony srebrzystej osłonie,****Twoje skrzydełko na ziemię potrąca,****Elizejską spokojność i Eteru wonie.****Orgon** na stronie przez całą scenę.**Hm, hm, hm.****Celina.****Wietrzyk milczy, listek nie szeleści,****Łza czystej rosy łono kwiatów pieści,****Z więzów poziomych uwolniona dusza,****Tęsknem uczuciem rozkosznie się wzrusza!**

Orgon z wrastającym nieukontentowaniem.

Tęskném uczuciem!

Celina.

Już czuję zbliżenie

Tego, co moje wyciska westchnienie,

Co mnie zachwyca, co mnie nad świat wznosi,

Tak, zbliżenie, przytomność, serce moje głosi.

Orgon.

Tam do kata!

Celina.

Przybywaj w tej cichej godzinie,

Gwiazdo! pochodnio myśli! spocznij przy Celinie,

Niech cię całkiem obejmę, ukryje wśród łona!

Z tobą szczęśliwa, bom z tobą wzniesiona!

Orgon chwytając się drzewa.

Fébra mnie trzęsie.

Celina.

Czemuż zważać uprzedzenie,

Co ciasny zakres nadaje kobiecie,

Czemuż mierzac trwożliwie zawodów przestrzenie,

Najpiękniejszemu nie oddać się w świecie?

Tak, uczuć moich szlachetnych nie zmienię;

Lecz mąż poczciwy o tém się nie dowie,

Jemu nawet to nie w głowie,

Nic nie przeczuwa.

Orgon.

Diabła nie przeczuwa!

Celina.

Wszelki pozór od ciebie twa żona odsuwa;

Ach tak być musi, kochany Orgonie!

Zamyka okno; siada i pisze.

S C E N A IV.**Orgon**

trzymając się oboma rękoma drzewa zsuwa się aż na ziemię; słabym głosem.

Ach tak być musi... zrywa się.

Nie widzę przyczyny.

Chodzi coraz prędzej.

Tak być nie musi, i to téj godziny...

Czuje zbliżenie! chce go ukryć w łonie!

Tak?... Najpiękniejszego w świecie...

I czemu się nie oddać?... Dobrze zapytanie!

Prawie biega.

I mąż pocziwy... śmieje się.

No, pocziwy przecię!

Nic się nie dowie. Dowie się kochanie,

Drogie kochanie, aniele!

Wię już nawet, wie za wiele...

Otóż to żony! oto szczęście nasze!

Gwiazda! ha gwiazda! Tupa nogą.

Ja, ja ją zagaszę.

Wolniej chodząc.

Tylko Orgonie nie bądź tak gorący,

Może to wszystko stało się niechcący;

Nie bądź zazdrośnym, to śmiesznie, nieładnie,
Dla Boga, nie bądź zazdrośnym Orgonie!
Czasem są rzeczy, których nikt nie zgadnie,

Prędzej chodząc.

A zazdrość głupstwo, trzeba ufać żonie.

Zazdrość to zjadliwa żmija!

Biega bijąc się w piersi.

Tak się tam obwija, szarpiąc kamizelkę.

Tak szarpie, tak dusi,

Dręczy, piecze, wierci, bijąc się w

I tu zostać musi

Aż do samej śmierci. Zadychany.

Zatém, a zatém...kto zazdrośny, głupi;

Głupi, ja mówię, głupi i szalony,

Straci swój rozum, rozumu nie kupi,

Z westchnieniem; bez wzgardy.

A żony...No żony...

Siada osłabiony; po krótkim milczeniu.

Ale tak nagle, bez żadnej przyczyny,

Z dobrej, enotliwej Celiny

Tożby się stać miało? z ukontentowaniem.

Aha! Ona mnie widziała, śpiwającym głosem,

I figielek zrobić chciała,

Ale jój się nie udało!

Śmiejąc się idzie do okna i mówi jakby do Celiny głośno, dalej ciszej,
ostatnią sylabę cicho.

Wcale się nie...u...da...da...lo...

Pisze! hm pisze!...cóżbo pisać może?

Spina się patrząc przez lornetkę.

List... odskakując od okna.

I cóż z tąd? spina się do okna i odchodząc.

List, głowę moję łożę...

Ale do kogo?... Czyż niema do kogo?

Kobiety najszcześliwsze kiedy pisać mogą...

SCENA V.

Orgon, Zdzisław.

Orgon wchodząc do domu postrzega skradającego się po pod mur Zdzisława, zachodzi mu drogę powoli przypatrując się z uwagą. Zdzisław nie mogąc uniknąć staje. Orgon toż samo; długie milczenie, przez które patrzą na siebie nieporuszenie.

Orgon uchylając kapelusz.

Dobry wieczór.

Zdzisław podobnie.

Dobra noc.

Orgon.

Pan chodzi?...

Zdzisław.

Być może.

Orgon.

Noc piękna.

Zdzisław.

Śliczna.

Orgon.

Jasna.

Zdzisław.

Jak dzień.

Orgon.

Cicha.

Zdzisław.

Jak noc.

Milczenie.

Orgon.

Co?

Zdzisław.

Nic.

Po krótkim milczeniu.

Orgon.

Lubię być na dworze.

Zdzisław.

Tak?

Orgon.

Wać Pan?

Zdzisław.

I ja...

Na stronie.

A cóż tam u licha!

Niema końca tej rozprawie.

Do Orgona.

Dobrej nocy.

Orgon.

Wzajemnie. Krótkie milczenie.

Zdzisław na stronie.

Jak stał tak i stoi.

Odchodząc w głąb sceny.

Bodajżeś pękł!

Orgon.

Milczący... Wygadać się boi...

Hm, hm, ale ja ptaszku tu cię nie zostawię;

W cudzém gniazdeczku nie będziesz mi siedział:

Zawołam ludzi... A fe! Każdyby powiedział,

Że mąż zazdrośny; fe! Niech sobie chodzi,

Pod mojem okiem nie wiele zaszkodzi.

Chodzą obadwa przy przeciwnych stronach sceny.

Zdzisław raptownie.

Jaki tu numer domu, mogę się zapytać?

Orgon.

I owszem... gdybym tylko mógł po nocy czytać.

Zdzisław.

Więc Wać Pan nie wiesz?

Orgon.

Nie wiem.

Zdzisław.

To dobrze.

Orgon.

Być może.

Zdzisław.

Wać Pan bywasz w tym domu?

Orgon.

Czasem.

Zdzisław.

O tej porze?

Orgon.

Różnie.

Zdzisław nagle.

I mieszkasz?

Orgon.

Mam dom w mieście.

Zdzisław.

Tak?

Orgon.

Tak.

Zdzisław.

Ładnie.

Któż tu mieszka?

Orgon.

Właściciel.

Zdzisław.

Resztę każdy zgadnie;

Dobra odpowiedź.

Orgon.

Dobra?...to dobrze.

Zdzisław.

Wybornie.

Orgon.

Cieszy mnie to.

Zdzisław.

Lecz wolnoż spytać się pokornie:
Pan tak zwany właściciel, sam zajął mieszkanie?

Orgon.

Sam, z familiją.

Zdzisław.

To jest?

Orgon.

On, on i dwie Panie.

Zdzisław.

Dwie? jedna żona?

Orgon.

Żona.

Zdzisław.

Druga, może krewna?

Orgon.

Tak niby.

Na stronie.

Jaki bystry.

Zdzisław na stronie.

Orgon, to rzecz pewna.

Orgon.

Mospanie! masz dobrego we mnie przyjaciela,
Zatém radzę, nie czekać Pana właściciela,
Na mój honor radzę szczerze,
Ruszaj sobie w dalszą drogę.

Zdzisław.

Jego czuciom bardzo wierzę,
I dziękuję za przestrogę.

Orgon.

Jestto człowiek bardzo żywy.

Zdzisław.

Żywy?

Orgon.

I jak!

Zdzisław.

To dobrze.

Orgon.

Nawet popędliwy.

Zdzisław.

Oho!

Orgon.

I lubi, co ma, mieć dla siebie.

Zdzisław.

Ale się dzieli w potrzebie.

Orgon krzycząc co siły.

Nigdy!

Zdzisław.

Proszę!

Orgon wstrzymując się.

Nie lubi, gdy kto bez powodu,

Wejdzie do jego własnego ogrodu,

I tu i owdzie jak po swoim chodzi.

Zdzisław.

Nie lubi?

Orgon.

I nie tylko, że nie chce, nie lubi,
Ale czasem i wyczubi.

Zdzisław z udanym przestraczem.

Taki zły?

Orgon.

Zły.

Zdzisław jak wprzód.

Doprawdy?

Orgon grożąc.

O, zły!

Zdzisław.

Nic nie szkodzi.

Orgon w złości.

Mospanie!...

Zdzisław.

Ale cóż mu szkodzić mogą

Ludzie...

Orgon.

Dosyć że mu szkodzą;
Zwłaszcza goście nocną porą,
Co, niech to będzie przestrogą,
Nie wiedzieć z kąd i jak wchodzą.

Zdzisław.

Jako nie wiedzieć?

Orgon.

Którędyż? proszę powiedzieć.

Zdzisław.

Przez mur.

Orgon.

Przez mur? górą?

Zdzisław.

Górą.

Orgon.

Tak, *sans façons*?

Zdzisław.

Sans façons.

Orgon w pół do siebie.

No proszę ja kogo,

I kontent, jakby wjechał wysadzaną drogą.

Odsuwając się na stronę.

Ech! jakaż mnie chętka bierze

Porachować mu pacierze!

Do Zdzisława.

Ale Panie *sans façons*, coś sobie rad wszędzie,

Wiadomo ci pewnie będzie,

Nawet łatwe do pojęcia,

Na co są mury.

Zdzisław.

Na co?

Orgon.

Dla zamknięcia.

Zdzisław.

Tak?... A furtka?

Orgon.

Dla wchodu.

Zdzisław.

I cóż z tąd wynika?

Ze głupi kto ją zamyka;

Bo gdyby była otwarta,

Po cóżbym przez mur drapał się u czarta?

Orgon wstrzymując się w złości.

Mój mądry Panie, luby, mój kochany Panie,
 Radzę ci, nie chciej zważać na te względy,
 I nim cię tutaj pan domu zastanie,
 Którędyś przyszedł, wynoś się tamtędy.

Zdzisław idzie ku furtce, Orgon wchodzi do domu.

SCENA VI.

Zdzisław wracając.

Więc to Pan Orgon...tak, Orgon o życie...
 Zazdrośny, to widziałem; lecz zazdrośny skrycie,
 Tego mi właśnie trzeba. Będzie mnie miał wszędzie

I póty mię się nie zbędzie,

Póki się za mną do stryja nie wstawi,
 I dając mi Zofiją siebie nie wybawi.

Jeszcze z nią razem rozważę to ściśle,
 Z resztą lepsza niż żadna nadzieja daleka!

Ale czegoż ja tu myślę?

Czas ucieka

A Zosia może z tamtej strony czeka.

Odchodzi za dóm.

S C E N A VII.

Orgon otwiera okno mając list w ręku; wygląda.

Poszedł sobie przecię.

Czekaj Paniczu tak wykwinny w mowie,
Gwiazdo, pochodnio, najpiękniejszy w świecie,
Ten list o wszystkiem najlepiej mi powie.

Czyta do siebie.

„Xięzyc malownie cieniując przedmioty kwiecistego
„przyrodzenia, zadowolniając zmysłowość i budząc
„wyobraźnię, lubę tworzy ideały“...

Niech pękne jeśli rozumiem,

A przecież po polsku umiem.

„Ale to światło ulubione, w moich oczach pobladło
„niestety! bo nie świeci szczęściu naszemu. W całej
„mocy zachwytu duszy nie widzę ciebie, drogi przyja-
„cielu!“...

Piękny przyjaciel, niech go piorun trzaśnie!

„Wracam się więc w tę małą cząstkę ogromu wieczno-
„ści, kiedy pi... pi... pijany“...

To zrozumiałe.

„Kiedy pijany rozkoszą i ujęty naiwnością duszy mojej,
„zaszczepiłeś pierwszą latorośl miłości. Przybądź
„kochanku“...

Już jest, już jest; wszystko jaśnie.

„Przybądź kochanku, ideale mój! spocznij na bijącym
„sercu, gdzie tyle razy“...

Co u paraliża! co! „gdzie tyle razy!“

I to są własne mej żony wyrazy?

List nie skończony... ale dość mi na tém.

Trze list w rękach.

Pokażę przed całym światem!

Założnie.

Pokażę wszystkim, jak mnie zdradzają nikczemnie!

Pokażę, żona co zrobiła ze mnie!

O Boże! Boże! co się ze mną dzieje!

Wściekam się... szaleję...

A świat spokojny... każdy chodzi śmiało

Jakby się najlepiej działo.

Po krótkim milczeniu.

Precz trucizno! Niech w piekle cierpi ból wieczysty

Ten, co kobiety uczył pisać listy!

Rzuca list i okno zatrzaska.

SCENA VIII.

Zdzisław, później **Zofija**.

Zdzisław

wychodząc z za rogu, dostaje listem w twarz.

Ha! co to znaczy? coś na mnie rzucono...

Coś wielkiego... papier pono...

Otóż jest... papier, jakaś kartka, pognieciona:

To figiel Zosi... a może w obawie
By nie wziąć za mnie samego Orgona...
Czy to ty Zosiu?

Zofija z okienka wyższego.

Czy to ty Zdzisławie?

Ach zaraz, zaraz; dawnom już zejść chciała,
Lecz nie wiesz pod jakimi tu jestem oczyma.

Zdzisław.

Tylko odważnie.

Zofija.

Będę próbowała,
Jeśli mnie tylko wujaszek nie wstrzyma:
Wciąż słucha, patrzy, śledzi co ja robię;
I ty uważaj, bo tam poszedł właśnie.

Zdzisław.

To mój przyjaciel.

Zofija.

Czy żartujesz sobie?

Zdzisław.

Nie, nie, tylko chodź; wszystko ci wyjaśnię.

Zofija zamyka okienko.

List... list jakiś, czytajmy. O! la la la la la!

Szumno gorąco bilecik ulany.

Od kogo do kogo

Te strzały być mogą?

Samaze się to Jęjmość tak mocno zapala?

A któżby inny! Nie do mnie pisany;

Ale że go mam w rękę, to się dobrze stało.

Zazdrośnys, czujny, ale jeszcze mało;

Biedny, o! biedny Orgonie!

Nie pomogą tobie mury.

Drzwi otwierają się.

Otóż Zosia. Niech szuka, zaczekam na stronie,

Wet za wet moja Panno. Cofa się za róg domu.

SCENA IX.

Radost, później **Zdzisław**.

Radost w białym szlafroku, czypku nocnym wstążką związanym, wychodząc kładzie chustkę na głowę od rosy się strzegąc i trzyma pod brodą.

Radost.

A, do wszystkich katów!

Tur tur tur na dół, tur tur tur do góry...

Ani wytrzymać..., jak w domu waryjatów.

Zdzisław zachodzi z tyłu na palcach, chwyta za ramiona i całuje w twarz przez ramię.

Radost zadziwiony.

A!

Zdzisław odskakując kilka kroków w tył.

A!

Milczenie.

Radost klaniając się.

Dziękuję.

Zdzisław skłaniając głowę.

Niema za co.

Radost na stronie.

Wszakcito Zdzisław! O, ladaco!
Co on tu robi?

Zdzisław na stronie.

Któż to?

Radost na stronie.

O tej porze.

Zdzisław na stronie.

Jedno straszydło po drugim wyłazi.

Radost na stronie.

Nie poznał mnie.

Zdzisław na stronie.

Hm! szpieg może.

Niby do siebie, głośno.

Niechże mi się nie narazi,
Ja mu teraz szczerze radzę,
Bo na pocziwość, przez mur go przesadzę.

Radost na stronie.

Grozi, grozi, nic nie szkodzi;
Nie takby on zaraz śpiewał,
Gdyby się postrzegł, albo się spodziewał,
Że tu stoi obok stryja.
Dobrze...niech się jeszcze zwodzi,
Mnie to wszystko dziwnie sprzyja:
Poznam i zamiar i sposób myślenia.

Zdzisław na stronie.

Do mnie wysłany...niema i wątpienia...

Szpieg pocziwy! szpieg Orgona!

Ale poczekaj! nieźle ucieszysz patrona:

Sam będzie szukał, sam mnie prosić musi,
Jeżeli go dziś jeszcze zazdrość nie udusi.

Do Radosta.

Wać Pan zapewne jesteś z tego domu?

Radost.

Do usług.

Zdzisław.

Gdybyś nie wydał nikomu,
Miałbym do niego prośbę...bardzo małą.

Radost.

Nie, nic nie wydam...proszę mówić śmiało.

Zdzisław.

Ale nie zdradzisz?

Radost.

Tego nie umiem.

Zdzisław na stronie.

Nie umieć?

Do Radosta.

Będziesz więc milczał pewnie?

Radost.

Ach, to się rozumié.

Zdzisław.

Jak grób?

Radost.

Jak grób.

Zdzisław.

Słowo ?

Radost.

Słowo.

Zdzisław na stronie.

Hultaj! onby ręczył głową.

Do Radosta.

Otóż ta mała prośba ... lecz wprzódzy zwierzenie.

Radost.

Słucham, słucham.

Zdzisław.

Kocham się ... ale to szalenie!

Radost.

W kim?

Zdzisław.

W pani tego domu.

Radost.

Jakto! w cudzej żonie?

Zdzisław.

Dla tego też mi właśnie trzeba twój pomocy.

Radost na stronie.

Aj! aj!

Zdzisław.

Chciałbym z nią mówić ...

Radost na stronie.

O, biedny Orgonie!

Zdzisław.

Nie mógłbyś nam tej fraszki ułatwić tej nocy?

Radost na stronie, płaczącym głosem.

Fraszki! o Boże! Boże! cóżem się dowiedział!

Bodajżem był w domu siedział!

Złajać łotra nie pomoże ...

Źle, jak zamilczę ... gorzej jak powtórzę ...

Miedzy młotem a kowadłem.

Po cóż ja tu z nieba spadłem!

Ach na lichoz mnie to wiedzieć!

Ach w domu mi było siedzieć!

Zdzisław na stronie.

Jak się śmieje, jak się cieszy,

Że już siatka na mnie spada!

Już do pana myślą śpieszy

By oznajmić co wybada.

Do Radosta.

Powiem nawet Wać Panu, że piękna Celina

Moje zabiegi postrzegać zaczyna;

Widzę ją w oknie każdego wieczora.

Radost zatykając uszy, chce odejść;

na stronie.

O, Sodoma i Gomora!

Zdzisław zatrzymując go.

Jakże? Chcesz mnie zostawić? A fe, to nie ładnie;

Wysłuchajże przynajmniej całą rzecz dokładnie.

Radost

na stronie, płaczącym głosem

Ach, na lichoż mnie to wiedzieć!

Ach, w domu mi było siedzieć!

Ach przyjacielu, ty przeczuwać musisz,
Dla tego tak się kręcisz i dławisz i krztusisz.

Zdzisław.

Gdybym był pewny twojego milczenia ...

Radost na stronie.

Ach Boże, wybaw z tego poniżenia!

Zdzisław.

Pokazałbym ci dowody z jej strony.

Czytaj ... znasz rękę. Odsuwając się na stronę.

Co czynię szalony!

Honor Celiny ... szczęście ... nawet życie może

Na moje dobro nieroztropnie łożyć?

Do Radosta.

Nie mój Panie, to bajka, ten list jest udany,

Nieprawdęm mówił, byłem obłąkany.

Idź, idź, powiedz, Celina jest najlepszą żoną.

Radost odchodząc.

Do nóg upadam.

Zdzisław zatrzymując go.

Słuchaj . . . I kocha Orgona.

Radost odchodząc.

Do nóg upadam.

Zdzisław zatrzymując, już bliżej domu.

Słuchaj . . . wszystko com powiedział,
Kłamstwo, kłamstwo, rozumiesz? żebyś o tém wie-
dział!

A kto na mojem nie przestałby słowie,
Przyślij go do mnie, ja się z nim rozmówię.

Radost odchodząc.

Do nóg upadam.

Zdzisław zatrzymując, bliżej domu.

Zaraz . . . jeszcze ci coś powiem:

Jeśli kiedybądź się dowiem,
Że najmniejszej przykrości Celina doznaje;
Jeśli jej wolność, pokój, rozrywki, zwyczaje,
Skutkiem tej rozmowy z tobą,
W czembądź się odmienia;
To jak mnie widzisz przed sobą,
Tak się łby wasze w mém ręku wylenią,
Łeb o łeb walić, trzecć będę jak dynie,
Aż wam szpiegostwa chęć całkiem przeminie.

Radost odchodząc.

Do nóg upadam.

Zdzisław zatrzymując, przy drzwiach.

Powiedz, że przez swoje cnoty,
Wdzięki, rozum i przymioty
Jest od wszystkich poważana,
Szacowana, szanowana,
I lepszego szczęścia warta.

Radost wydzierając się.

Do nóg upadam. Odchodzi.

Zdzisław puszczając mu rękę.

Ruszajże do czarta!

SCENA X.

Zdzisław sam.

Zatém, zatém, mój plan za nic...

Ale nie, względem Celiny,

Honoru nie przestąpię granic:

Nie chcę oszczerstwem powiększać jej winy;

Ale męża będę cieniem,

Wszędzie mnie zoczy za każdym wejrzeniem,

Tak, że kiedy mnie ożeni,

Najszczęśliwszym się oceni.

SCENA XI.

Orgon, Celina.

Orgon w płaszczu; Zdzisław ustępuje za altanę.

Celina.

Idziesz do miasta?

Orgon zimno.

Idę.

Celina.

Tak późno.

Orgon.

Nie szkodzi.

Celina.

Sam.

Orgon.

Nic to.

Celina.

Nie chodź.

Orgon.

Muszę. Odchodzi.

Celina.

Pożegnać się godzi.

Orgon zatrzymuje się, niezupełnie ku niej obrócony; Celina biorąc go za rękę.

Cóż tak nagłego z domu cię wygania?

Orgon.

O, coś nagłego!

Celina.

I kryjesz przedemną?

Orgon.

Jutro ci powiem.

Celina.

Cóż teraz zabrania?

Orgon.

Czasu . . .

Celina.

Nie trudź się wymówką daremną:

Na to trzeba czasu mało.
Powiedzże duszko, bo się będę gniewać;
Czy ci się co złego stało?

Orgon.

Że się jeszcze nie stało, pozwól się spodziewać;
Ale stać się łatwo może.
Przeto nie zrobię od rzeczy,
Gdy taką tamę położę,
Co mnie na dal zabezpieczy.

Celina.

Aj mężu, mężu, coś tu się w tém święci,
Na co szczerze westchnąć muszę;
Jato podobno, jato mimo chęci,
Zasmuciłam twoją duszę.
Ale dla czegoż chcesz działać tajemnie?
Czemuż smutek kryjesz w sobie?
Spełnić twą wolą będzie mi przyjemnie,
Wszystko, wszystko dla cię zrobię.
Jeślim zbłądziła, jeżeli mam wady,
Czém w twém sercu sobie szkodzę,
Popraw otwarcie, udziel swojej rady,
A wdzięcznością ci nagrodzę.
Ach powiedz mężu, co twoja Celina
Przewinić mogła? W czém trosek przyczyna?
Wierz mi, twoja nieufność nie mało mnie boli;
Lecz na spełnienie każdej twojej woli,
Wszelkiego odtąd starania dołożę.

Orgon.

Kochana żono! Na stronie.

Nie, to być nie może!

Do Celiny.

Moja Celino, ty mnie kochasz szczerze,
Ja muszę temu wierzyć . . . i ja temu wierzę;
Bądź więc spokojna w tym względzie.
Luba Celino! wszystko dobrze będzie,
Ale wyjść muszę, ty nie chodź po dworze:
Kaszlesz trochę, rosa pada,
Zaszkodzić ci może.

Wróc się, i wiesz co, jaka moja rada?

myśląc co ma powiedzieć.

Nim wrócę . . . z Zosią nudzić się będziecie . . .
Zasiądź więc sobie . . . w żółtym gabinecie . . .

Zdzisław z za altany, niebardzo głośno.

W żółtym.

Orgon oglądając się.

He?

Celina.

W żółtym?

Orgon

spoglądając w stronę Zdzisława i odprowadzając ją w przeciwną.

O, nie, niekoniecznie:

Cicho.

W zielonym lepiej.

Celina.

I cóż?

Orgon.

Przegraj te sonatki,
Coto zrobione były na ślub mojej matki.

Spięwa początek.

A jutro moję żonkę, jak poproszę grzecznie,
Zrobi mi koncertik mały.

Całuje ją w czoło.

Celina.

Najchętniej, ale wszak nóty zostały,
Nawet i arfa dotąd jeszcze w mieście.

Orgon.

A mówiłem: arfę weźcie!
Mówiłem najmniej trzy razy;
Ale to jest groch na ścianę,
Dawać tym gapiom rozkazy.

Celina.

Łatwo będzie odzyskane,
To nie wielkie opóźnienie.

Orgon

patrząc się w stronę Zdzisława.

Lecz czekaj . . . dam ci inne zatrudnienie:
Skończ mi ten kwiatek, coś pęzlem zaczęła,
Kwiateczek cudny, malenki,
Lubię wszystkie takie dzieła,
Osobliwie twojej ręki.

Celiniu, aj Celiniu, tak malujesz ładnie,
I gdyby nie to, że mi czasem na myśl wpadnie,

Tobyś całkiem zaniedbała.

A to to to do roboty,

Ty ty ty próżniaczko mała!

Żartując zagania ją ku domowi spoglądając w stronę przeciwną.

Celina.

Skończę ten kwiatek, niebrak mi ochoty,

Zwłaszcza, gdy tyle cenisz moje pracę,

Ale już nie dziś, pęzle także w tamtej pace.

Orgon.

Bierzże diabeł wszystkie paki

I wraz z niemi czeladź całą!

Hultaje! myśląc.

Proszę . . . bo to . . . lada jaki . . .

Ale ty ziewasz?

Celina.

Ja?

Orgon.

Tak mi się zdało.

Celina.

Jutro do miasta potrzeba wyprawić.

Orgon.

Tobie się spać chce.

Celina.

Co za przywidzenie!

Orgon.

Kiedy ja widzę.

Celina.

Ale wierz mi, że nie.

Orgon.

Bo ty przez grzeczność nie chcesz mnie zostawić.

Celina.

Na honor, że nie.

Orgon.

A oczy zamyka;

Śpiący nie słucha nawet i słowika.

Idź, idź duszko.

Celina.

Nie myślę . . .

Orgon.

Co za ceregiele!

Celina.

Ale . . .

Orgon.

No, no.

Celina.

Bo . . .

Orgon.

Idź, idź!

Ceremoniując się z nią wprowadził do domu i zamykając drzwi za nią, mówi.

Dobra noc aniele.

S C E N A XII.

Orgon, Zdzisław.

Orgon idzie ku altanie, gdzie głos słyszał, obchodzi ją, a przed nim Zdzisław, tak, że na swoje miejsce niewidziany od Orgona wraca.

Orgon.

Anioł prawdziwy! anioł moja żona!

Po krótkim myśleniu.

Ach cnota to jest, cnota niezmierzona,
Kiedy kto umie utrzymać się ściśle,
Kiedy jak mędrzec swoim czuciem włada.
Naprzykład chciałem, i inaczej myślę,
Choć jeszcze nie wiem co myśleć wypada.

Po krótkim milczeniu.

Wszystko byłoby dobrze... byłbym i spokojny,

Gdyby nie w liście zawada;

Bo z paniczem krótka rada:

Dowcipny, młody, przekłęcie przystojny,
Sroży się, sroży, ale tchórz tym czasem:
Parę pogroźek rzuconych nawiasem, śmiejąc się.
A już się wyniósł, jakby go nie było.

W ciągu téj mowy zbliżał się do Zdzisława, tak, że mówiąc wiérzsz ostatni tuż koło altany stanął przy nim.

Zdzisław.

Bardzo przepraszam, nie wyniósł się jeszcze.

Orgon odstąpiwszy kilka kroków wpatruje się w niego.

Po krótkim milczeniu.

Orgon.

Bardzo się cieszę. Kłaniając się.

Bardzo mi to miło.

Zdzisław.

I ja w tém także szczęście moje mieszczę.

Orgon.

W czém?

Zdzisław.

Że tu jestem, że widzę Wać Pana,
Z którym dziś przyjaźń świeżo zawiązana
Wróży mi na dal, najpiękniejszy związek.
Przeto wypełnie miły obowiązek
Równie wdzięczności jak uszanowania,
Gdy jutro służyć będę wśród jego mieszkania.

Orgon porywczo.

Co? Wać Pan u mnie?

Wstrzymując się. Zbytek łaski, zbytek.
Wielka mu niedogodność . . .

Zdzisław.

Wielki i pożytek.

Orgon porywczo.

Jaki pożytek?

Zdzisław kłaniając się.

Mieć w nim przyjaciela.

Orgon kłaniając się.

O!

Zdzisław.

Tak jest, będę . . .

Orgon.

Nie nie, choć serce podziela . . .
Albo wiesz gdzie ja mieszkam?

Zdzisław.

Wać Pan mi to powiesz.

Orgon.

Tego Wać Pan się nie dowiesz.

Zdzisław.

Nie?

Orgon.

Nie.

Zdzisław.

To dobrze.

Orgon.

Być może.

Zdzisław.

Tak, w rzeczy.

Orgon na stronie.

Cóż, jeśli nie dóm własny, dalej zabezpieczy.

Zamyśla się.

Zdzisław po krótkim milczeniu.

To bardzo piękna kobieta.

Orgon przyskakując do niego.

Kto? co? jak? gdzie?

Zdzisław obojętnie.

Ta dama, co weszła do domu,
Mówię, że piękna.

Orgon.

Któż się o to pyta?

Zdzisław.

Tak tylko mówię.

Orgon.

Cóż to szkodzi komu?

Zdzisław.

Nie szkodzi, owszem, bardzo się podoba.

Orgon porywczo.

Mospanie!

Wstrzymując się.

A, tak, przystojna osoba.

Zdzisław.

Młoda.

Orgon.

Tak.

Zdzisław.

Świeża.

Orgon.

Dosyć.

Zdzisław.

Kształt, godność w postaci.

Orgon.

Tak, tak, niczego, niczego.

Zdzisław.

Któż bo tak zimno hołd piękności płaci?

Orgon.

A Wać Panu co do tego,
Zimno czy letnio, gorąco czy chłodno?

Zdzisław.

Czy mnie do tego . . . nikt wiedzieć nie może.

Długie milczenie; Orgon wpatruje się w niego.

Orgon udérzając go po ramieniu.

Tak, dobrze mówisz, jest osobą godną:

Miła . . . wzrost piękny . . . lica świeże, hoże . . .

Dobra, przyjemna . . . wszak ją znasz dokładnie?

czeka odpowiedzi.

A jój dusza!

Zdzisław.

Najczulsza.

Orgon z westchnieniem.

A jak pisze ładnie!

Zdzisław.

Najnowszym stylem, z ogniem i tęsknotą razem.

Naprzykład, gdyby chciała zająć się obrazem

Tęj cichej chwili pięknego wieczora,

Cóżby równego wyszło kiedy z pióra!

Orgon odskakuje kilka kroków w tył i po krótkim milczeniu bierze
za rękę Zdzisława.

Orgon.

Mój Panie! działać nie lubię w polowie;

U mnie co w sercu to w mowie:

Wac Pan mi się podobasz, i to niewymownie,

wstrząsając mocno ręką.

Ach podobasz się gwałtownie.

Jesteś prawdziwie rzadką w tych czasach osobą;

Zatém w przyjaźni musim żyć ze sobą,

A jako przyjaciele, to pierwsza wymowa,
Niech nic jeden przed drugim, w swém sercu nie chowa.

Zdzisław.

Cóż dalej?

Orgon.

Przyznaj mi się.

Zdzisław.

Co?

Orgon.

Miej ufność we mnie.

Zdzisław.

Dobrze.

Orgon.

Powiedz. Ty się tu nie kręcisz daremnie?

U takich młodych panów ja wiem co to bywa:

Ta dama?

Zdzisław.

No, ta dama?

Orgon puszczając mu rękę gwałtownie.

Jest dama uczciwa;

Niechaj kark skręci, kto mówi inaczej.

Zdzisław.

Ja więc nie skręcę, ustalę go raczej.

Orgon poufale przysuwając się z uśmiechem.

Podoba ci się... to jest prawda szczera;

Na co to się zapiérać?

Zdzisław.

A któż się zapiéra?

Orgon.

Więc wszystko zgadłem, prawda?

Zdzisław.

Hm! po części.

Orgon.

Chciałbyś z nią mówić?

Zdzisław.

Jeśli się poszczęści.

Orgon.

I jak odejdę . . .

Zdzisław.

Ach, uczyn to przecię.

Orgon porywcz.

Co? jakto?

Wstrzymując się i na stronę odprowadzając; cicho.

Ale zmiłuj się, w sekrecie,

Bo wiesz, jakby mąż . . .

Zdzisław.

Co mnie tam to cielę . . .

Orgon.

Nózki całuję.

Na stronie. To trochę za wiele.

Zdzisław odpowiadając.

Bądź zdrow.

Orgon.

Więc pójdę.

Zdzisław.

Może kroków z dwieście?

Orgon.

: Ale fe!

Zdzisław.

No gdzież?

Orgon.

Przejdę się po mieście.

Długo zabawię.

Zdzisław.

A, co tak, to ładnie.

Orgon odchodząc.

Servus.

Zdzisław.

Najniższy.

Orgon wracając, na stronie.

Co ma paść, niech padnie.

Do Zdzisława.

Wiesz że cię kocham i kocham nie mało,

Radzę ci więc szczerze,

Tylko prędko, tylko śmiało.

Zdzisław.

O, bądź spokojny w tej mierze.

Orgon

poglądając ze złością tamowaną, potem gwałtownie ściskając.

A więc ... bywaj zdrów drogi przyjacielu.

Wracając się.

Ale proszę cię, dla samego siebie:
Miej obyczajność, miej zawsze na celu.

Zdzisław.

Jak w każdej potrzebie.

Orgon.

Drogą respektu.

Zdzisław.

Nigdy z niej nie zboczył.

Orgon na stronie, uściskawszy go.

Bodajś łbem na dół przez okno wyskoczył!

Wychodzi furtką i wkrótce pokazuje się na murze koło altany, przełazi,
zostaje czas jakiś na rękach zawieszony, potem się puszcza, zbiera płaszc
i kapelusz i kulając kryje się do altany.

Zdzisław.

Poszedł... rzecz dziwna... ale nim będzie z powrotem,
Żebym mógł jako Zosię uwiadomić o tém,

Może i przyjdzie ... nikt ją nie zatrzyma ...

Chodząc koło domu.

Wszędzie już cicho ... światła nigdzie niema.

Światło pokazuje się w oknie, Zdzisław kryje się za róg domu ; w pokoju
okno otwarte.



SCENA XIII.

Ciż Sami, Celina.

Celina.

Gdzież się mógł podziéć? zwiędzam każdy kątek;
Lecz tu go zostawiłam ... mam dobrze w pamięci ...

Celina świecę wystawia i patrzy pod okno.

Orgon

w altanię, trzymając się za kolano.

Aha! światło, znak!

Celina.

Tak piękny początek!

Może wiatr porwał... może nim już kręci...

Może, podarty obraz duszy niesie

Po wdzięcznym polu, albo dzikim lesie...

Po krótkim milczeniu.

Ale tak cicho na dworze. Zamyka okno.

Orgon.

Aha! zejdzie po list może.

SCENA XIV.

Zdzisław, Orgon, Zosia.

Wszyscy prawie razem mówią.

Zosia.

Zdzisławie!

Zdzisław.

Zosiu!

Orgon.

Ha! otóż i ona.

Orgon krzaka. Zosia idzie palec na ustach, druga ręka wyciągnięta przed siebie ku altanie.

Zosia do siebie.

Znajdę ja ciebie.

Orgon na stronie.

To mi luba żona!

Orgon łapiąc ją za rękę ciekim i cichym głosem śpiewa.

Koło siatki

Dzierlatki

Latały;

Aż się w siatki

Dzierlatki

swoim głosem w złości. **Złapały!**

Zosia

uciekając ku domowi i ciągnąc za sobą Orgona, który ją wstrzymać usiłuje.

Ach! gwałtu!

SCENA XV.

Ciż Sami, Celina ze świecą.

Celina.

Cóż to za wrzawa?

Czy to okoliczność cała,

Którą widzieć niemam prawa?

Tegom się nie spodziewała!

Wcale!

Zosia.

I ja nie!

Orgon macając się za kolano.

I ja nie. Celina świecę stawia.

Zdzisław.

I ja nie.

Orgon.

Ależ nie myślisz najdroższe kochanie,

Że ona, że ja... że... żeśmy oboje...
 Żem chciał za inną chwycić jak za twoję
 Rączkę.

Zdzisław.

Mnie się także zdaje
 Że mój przyjaciel pomylił się trochę.

Zosia.

I ja tak myślę.

Celina żartując.

Niechże go wyłaje
 Za działanie tak zbyt płocze.

Orgon.

O, ja dobrze wiedziałem, że mnie nie posądzisz,
 Znasz moją stałość, wierzysz, i wcale nie błądzisz;
 Lecz względem innych osób, to inaczej całkiem,
 Mógłbym je tu zawstydzić nie jednym kawałkiem:
 Schadzki wieczorne, znaki... mam ja dobre oczy,
 Mam także uszy, i nie lada uszy,
 Widzę kto jak skoczy,
 Słyszę jak się ruszy;
 Umiem i czytać, uczyłem się przecię,
 Poznam litery, nawet i... w bilecie.

Zdzisław deklamując.

„Ale to światło ulubione w moich oczach pobladło
 „niestety, bo...”

Orgon.

Co Wać Pan możesz wiedzieć dla czego pobladło?

Zdzisław.

A, mogę bardzo wiedzieć kiedy na nos spadło.

Celina.

Co?

Zdzisław zbliżając się do niej.

Mówić?

Celina głośno.

Proszę.

Zdzisław oddając list.

Oto.

Celina.

Mój list?

Zdzisław.

Tak.

Celina.

Mój Panie!

To kłamstwo!

Zdzisław.

Wybacz Pani...

Orgon.

Na co to gadanie?

List był...

Zdzisław.

Ja to wiem, że niegodna głowa

W pędzie omylnym przyjęła jój słowa!

Ale i to wiem, że z tą wyleciały;

A że dość silno, nie żadnym przypadkiem,
Nos mój świadkiem.

Celina.

To być nie może.

Orgon tupając nogą.

Na cóż ten protokół cały,
List miłość oświadczający,
Czuły, górny i gorący,
Czy to on spada z nieba, czy z ziemi wyrasta,
Tyś go pisała, i basta!

Celina.

A ty wzięłaś ze stolika.

Orgon.

Zgadła Jęjmość Dobrodziejka.

Celina.

Więc i tamte zostawiać nie było potrzeba.

Orgon.

Jakie tamte? wielkie nieba!

Celina.

Jest pakiet cały.

Orgon.

Pakiet?

Celina.

Poznałbyś ośnowę.

Orgon.

Ośnowę?

Celina.

Tak jest, mam blisko połowę.

Orgon.

Czego?

Celina.

Czego? Romansu.

Orgon.

Romansu, co słyszę!

Celina.

Tak jest, muszę więc wyznać: romans piszę;
Lecz wiedząc dobrze, że w dzisiejszym świecie,
Nie pozwolono mieć rozum kobiecie,
Że każdy za złe zwykle jój poczyta,
Gdy pióro bierze albo lutnią chwyta;
Kryłam się z pracą, kryłam się niestety!
Pragnąc zabawy, nie żadnej zalety...

Kłaniając się mężowi.

Lecz ci, co do serc naszych prawo sobie roszczę,
Nawet w marzeniu, szczęścia nam zazdroszczę.

Orgon.

Nie, moja lubciu... Przepraszam cię szczerze,
Nigdy ci sprzecznym nie będę w tój mierze;
Na cóż mi wszelka twych działań wiadomość?
Ale powiedz mi, kto jest ten Jegomość?

Celina.

Chciałam cię się spytać właśnie.



S C E N A XVI.

Ciż Sami, Radost.

Radost ukazawszy głowę przez drzwi przysłuchiwał się tej scenie, później wyszedł.

Radost.

To zjawienie ja objaśnię.

Zdzisław.

Mój stryj!

Wszyscy.

Stryj?

Radost.

Stryj tego trzpiota.

Ale umieć przebaczać jestto piękna cnota:

Tój się Orgonie spodziewam po tobie.

Orgon.

I owszem, owszem... Niech już idzie sobie.

Zdzisław do Radosta.

Zatém to Stryj Dobrodziej...

Radost do Zdzisława.

Ciszej chłopcze, ciszej.

Zdzisław do Radosta.

Przebacz mi...

Radost do Zdzisława.

Dobrze, dobrze, niech nas nikt nie słyszy.

Do Orgona.

Prosić o rękę Zosi dla Pana Zdzisława

Celem mej podróży było;
Lecz po tém co się zdarzyło,
Na zawsze nim kierować, nie chcę mieć już prawa.

Zdzisław.

Ach stryju mój kochany, nie odsuwaj ręki,
Tysiączne ci co chwila składać będę dzięki;
Ja kocham Zosię.

Orgon, Celina, Radost.

Kochasz ją?

Celina.

A ona?

Zosia.

Czyż trudno zgadnąć!

Orgon

oddychając i biorąc się za kolano.

No, rzecz wyjaśniona.

Radost do Orgona.

I jakże?

Orgon.

Z duszy, z serca: jeszcze był w Krakowie,
A mnie się już ten związek uwijał po głowie.

Łącząc ich.

Pobierzcie się i żyjcie jak gołąbki w parze;
Wszak ty chcesz Zosiu?

Zosia.

Kiedy wujaszek tak każe...

Orgon.

Hm! jakie posłuszne dzieci.

Radost.

Szczęść wam Boże!

Zdzisław.

No proszę, co za plotki w świecie:

Mówiono, że Pan Orgon nikomu, nikomu
Nie da i na krok wstąpić do swojego domu;
I ażeby wszelkiego powodu unikać,
Woli i siostrzenicę wraz z żoną zamykać.
Z tą całą moja skrytość i wszystkie przygody.

Radost.

Co dowodzi, że stary ma rozum, a młody...

Dmucha w rękę.

Orgon.

Dosyć już dosyć, dla Boga!

Niech się raz skończy gadanina cała.

Wy się pobierzcie, ty zaś lubciu droga!

Z westchnieniem.

Gdyś do romansów ochoty nabrała,

To już wolisz je pisać, a tak najmniej stracę,

Chociaż za sprzedaż księgarzom dopłacę.



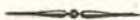
PIĘRWSZA LEPSZA

CZYLI

NAUKA ZBAWIENNA.

KOMEDIJA

w jednym Akcie, wierszem.



Nie puszczaj się w studnię, aż wprzód
opatrzysz, jako z niej wyleść.

And. Max. Fredro.

O S O B Y.

JULIJA,

ELWIRA.

ALFRED.

ZDZISŁAW.

ZOSIA.

PANNA MARTA.

Scena w mieście, w ogrodzie.



PIERWSZA LEPSZA

CZYLI

NAUKA ZBAWIENNA.

SCENA I.

Ogród, na przodzie sceny altana; w głębi ulica; stoły. Z obu stron ławki.

Alfred, Zdzisław.

Zdzisław.

Jakto? młodą czy starą, czy brzydką czy ładną?

Alfred.

Tak jest, starą czy młodą, piękną czy szkaradną,
Pierwszą, którą tu spotkam, obieram za żonę;
Wszystkie więc twoje słowa w tej mierze stracone.

Zdzisław.

Co za myśl!

Alfred.

Jak najnowsza; szczytna, doskonała!
Równiej dotąd natura jeszcze nie wydała.

Zdzisław.

Nie wątpię.

Alfred.

Od sześciu lat chcę nudy odmienić,
Chcę się ożywić, wskrzesić, słowem chcę się żenić,

I przez rady, rozsądek, słabość, punkt honoru,
Nie mogę się odważyć uczynić wyboru.
Ta przyjemna, powabna, ale nadto płocha,
Ta znowu zimna, mądra, siebie tylko kocha,
Tu jest dobroć bez kształtu, tu kształt bez dobroci,
Tam wszystko liche wewnątrz, posag tylko złoci,
Tu zaś wszystko anielskie, lecz majątku niema,
Z tej słowa nie wycedzisz, ta strzela oczyma,
Tu strach ojca, tu matki, tam złe wychowanie,
Dość, że każda swe *ale* odemnie dostanie.

Zdzisław.

Czemuż się żenić?

Alfred.

Wolę, jak scbie w łeb strzelić;
Kto wie, ten krok mnie jeszcze może rozweselić.
Wszystkiemu już próbował, wszystko mnie znudziło,
I zawsze zyskam, byle tak, jak jest, nie było;
Dla tego się ożenię, dzisiaj się ożenię,
I nie mogąc w tém działać, zdam na przeznaczenie.

Wzniosło.

Krocie wieków upłynie, za stu wieków śladem,
A ja będę w tym razie jedynym przykładem.

Zdzisław.

Nawet potomność temu szaleństwu bez miary
I nie uwierzy.

Alfred.

Jakto? czemu nie da wiary?

Każdy twór ludzkiej myśli, w podobieństwa rzędzie,
Albo był wykonanym albo z czasem będzie.

Zdzisław.

Wszystko być może, ale jedyny Alfredzie,
Wiész, ta oryginalność dokąd cię zawiedzie?

Alfred.

To wiem, wiem mój Zdzisławie, lecz cobym rad wiedział:
Czemu o to się pytasz na com odpowiedział?
Od wczoraj ci jest znanym mój zamiar dokładnie.

Zdzisław.

Próbuję, czy rozsądek na myśl ci nie wpadnie.

Alfred.

Kiedy więc ty powtarzasz i ja ci powtórzę,
Że już zamiar zmienionym dzisiaj być nie może:
Zapis posłany, którym majątku dział robię,
Jeśli jakiej bądź żony nie znajdę w téj dobie,
Słowo dane po dwa kroć znajomej młodzieży,
Która się dziwi, wielbi, lecz jednak nie wierzy,
I ty, świadek wybrany, stróż mego honoru,
Że pierwszą lepszą wezmę nie czyniąc wyboru,
Wszystko mi do cofnienia zagradza już drogę.

Zdzisław.

Wszystko, prawda; lecz jednak ratować cię mogę:
Powróć się do Juliji, tak godna osoba,
Kocha cię niezawodnie, tobie się podoba.

Alfred.

Wprawdzie z wszystkich Julija najwięcej ja cenię;
Lecz sześć lat stracę, jeszcze się z nią nie ożenię.
Piękna, dobra, bogata, i kocha mnie stale,
Ale coś mnie wstrzymuje, ale...

Zdzisław.

Ale, ale?

Alfred.

Ale Julija, wdowa.

Zdzisław.

Wiem.

Alfred.

A każda wdowa

Cnoty męża pamięta a wady z nim chowa;
Zawsze przeszłość i przeszłość wspomina ze żalem,
I mąż świętej pamięci jest wiecznym rywalem.
Jednak wszystko to fraszki.

Zdzisław.

Albo żarty raczej.

Alfred.

Miłość jest szczęściem mówią, ja myślę inaczej,
Miłość szczęścia zasadą, lecz nie wszystkiem jeszcze:
W powabach, wdziękach duszy, także wiele mieszczę,
Bez nich i rozum przykry i miłość natrętna,
Bez nich srogiego nudów nie unikniesz piętna.
Julija, jak powiadasz, kocha mnie: to wiele,
Świat ją szanuje, wielbi: ja to zdanie dzielę,

Ma rozum, cnoty, stałość, rozsądek: przyznaję;
Lecz zawsze w jednym kształcie to wszystko zostaje.
Nie, nie, tego Julija jeszcze ma za mało,
Coby do rozważnego wyboru skłaniało.
O, jak drogą jest w żonie, ta pociągu władza,
Która nas w co raz nowe rozkosze wprowadza,
To źródło nieprzebrane, czucia, przymilenia,
Co zawsze jednem będąc, zawsze się odmienia;
Ten dowcip, wdzięk pomysłów, lecz zawsze w przelocie,
Co ozdoby dodaje nawet skromnej cnoty,
Co ciągle upragniony, nigdy dość nieznanym,
Samą stałość ustala powabem odmiany.

Zdzisław.

Nie jesteś mój Alfredzie, widzę, z sobą w zgodzie,
Takięż żony szukasz w publicznym ogrodzie?

Alfred.

Gdybym wybierał, taką chciałbym mieć koniecznie,
Ale nie chcę wybierać, bo bym szukał wiecznie;
I gdy nie dla swobody, lecz zmiany się żenię,
Przyjmę dość obojętnie, co da przeznaczenie.

Zdzisław.

Zobaczę... ale kiedy tak zważasz małżeństwo,
Kiedy gwałtem chcesz skończyć zaczęte szaleństwo,
Czemuż jakich warunków nie kładziesz w tym względzie?
Z pozoru pojąć żonę, dość szaleństwa będzie.

Alfred.

Gdybym jeden warunek z mej strony położył,

Ten jedenby sto innych w ten moment pomnożył;
I już kłótnie, processa, lub dawne wahanie.
Nie ... raz, dwa, trzy! mam żonę, niech się co chce stanie!

Zdzisław.

Pewnie ta czynność twoja zadziwienie sprawi,
I choć pochwał nie zyska, cały świat ubawi;
Głosić ją będą listy, opiewać gazety,
Ale gorzko ten zaszczyt opłacisz niestety!...
Cóż tam znowu rysujesz?

Alfred laską króską robiąc.

Granice.

Zdzisław.

Granice?

Alfred.

Bo nuż ku nam się zbliżą dwie razem dziewice
Lub trzy, którąż wziąć? Więc patrz...króska wy-
ciągnionia:

Tamtędy pójdzie kto chce, tędy moja żona.

Zdzisław.

Alfredzie, wszystkom robił, co było w mej mocy;
Śmiałeś się z mojej rady, nie chciałeś pomocy,
Zatém już teraz, jako świadek ci dodany,
Strzedz cię muszę: każdy krok będzie zapisany.
Dotrzymasz słowa czy nie, opis będzie szczery.

Alfred dając papiéry.

Masz Panie Sekretarzu potrzebne papiéry:
Stan mojego majątku.

Zdzisław.

Dokument potrzebny.

Alfred dając drugi papier.

Jakim jestem, co umiem.

Zdzisław.

Dokument chwalebny.

Alfred dając trzeci papier.

To, kontrakt podpisany, przez świadków stwierdzony,
I jedynie brakuje podpisu mój żony.

Dając czwarty papier.

To zaś, cały mój zamiar, i prośba odemnie...

Bo każdą trzeba prosić.

Zdzisław.

I czasem daremnie.

Potém, łatwiej na piśmie ofiarować siebie.

Alfred dając papiéry.

Weźże to wszystko, proszę, i użyj w potrzebie.

Ach!

Elwira idzie ulicą czytając książkę, w głębi czasem stając.

Zdzisław oglądając się.

Co tam?

Alfred patrząc na Elwirę.

Lekkość w chodzie, wspaniałość w postawie.

Tu pójdzie... nie, tam... nie, tu! tu! A co Zdzisławie?

Przypatrz się dokładnie, moją idzie stroną:

Jakiżem mąż szczęśliwy! o, kochana żono!

S C E N A II.

Alfred, Zdzisław, Elwira.

Elwira nie widząc Alfreda i Zdzisława, czytając siada przy przeciwnéj stronie sceny.

Alfred

na stronie do Zdzisława chcąc brać papier.

Mój charakter, niech idzie na samym początku.

Zdzisław.

Nie, wiesz, to wielka dama, zacznij od majątku.

Alfred podając pismo Elwirze.

Racz Pani rzucić okiem.

Elwira nie patrząc, rzuca na papier jałmużnę i dalej czyta.

Zdzisław śmiejąc się, zapisuje.

Jałmużna zdobyta.

Alfred do Elwiry.

Innej litości żądam . . . Niech Pani przeczyta,
podając papiery następnie.

Mój majątek.

Elwira.

Dość mierny.

Alfred.

Charakter.

Elwira.

Dość śmieszny.

Alfred.

I prośba.

Elwira.

Dość szalona.

Zdzisław na stronie.

Prolog . . . dość ucieszny!

Lecz sztuka jaka będzie?

Alfred

pomieszany, do czytającej książkę Elwiry po krótkim myśleniu.

Pani . . . lecz . . . prawdziwie ...

Zdzisławie, co tu robić?

Zdzisław.

Prosić ją cierpliwie.

Alfred.

Mogęż prośbę powtórzyć, odpowiedzi żądać?
Chciěj Pani piękném okiem łaskawiej spoglądać,
Mój pomysł jest szalony, każdy będzie sądził,
Lecz gdy spojrzy na ciebie, wnet przyzna że zbłądził.

Elwira wstając.

Że się Wać Pan*) chcesz żenić, nie dziwię się wcale,
Żeś zaś obrał ten sposób, ni ganię, ni chwałę;
Każdy ma swój rozsądek, ma swoje mniemanie,
Lecz odpowiem życzeniem na jego żądanie:
Chciałabym znaleźć męża, gdy będę wybierać,
Któryby wziętym prawom nie chciał się opierać;
Któryby umiał cenić świętych ślubów związek,

*) Zyczyłbym przyjąć w deklamacyi abrewiacyją: *Acan*, jako więcej do ucha.

Umiał, nim na się przyjmie, zmierzyć obowiązek,
I niegardzący wszystkiem ani też gardzony,
Miał jeszcze iskrę czucia

z przyciskiem dla wybranėj żony;

Chciałabym, żeby mój mąż był już stałej duszy,
Której poklask szalonych nie zajmie, nie wzruszy;
Żeby śmiały, odważny, był razem łagodny,
Niechępiący się nigdy ale pochwał godny,
Żeby mnie poznał dobrze, był równie poznany,
Potem, żeby tak kochał, jak będzie kochany;
Zresztą, niech ma majątek i przyjemną postać:

kłaniając się nisko.

Zatém Wać Pan, jak widzisz, nie możesz nim zostać.

Odchodzi; chwila milczenia.

S C E N A III.

Alfred, Zdzisław.

Alfred.

„Zatém Wać Pan, jak widzisz, nie możesz nim zostać“

Czemu? „Niech ma majątek i przyjemną postać.“

Jakąż ja mam do licha? „Majątek, majątek!“

Wszak mam. Cóż ona myśli?

Zdzisław.

Wyborny początek.

Zapisując.

Jałmużna . . . obraz męża . . . wzgarda . . .

Alfred.

Czyś szalony!

Na cóż to wszystko pisać?

Zdzisław pisząc.

Alfred urażony . . .

Alfred.

Nie pisz tego Zdzisławie!

Zdzisław.

Ja z urzędu piszę,

I pisać będę wszystko, co tylko usłyszę.

Alfred.

Ale jak można pisać, co czasem w rozmowie . . .

S C E N A IV.**Alfred, Zdzisław, Zosia.****Zosia**

mając koszyk w ręku; niewidziana dotąd.

Nie chcą Panowie malin? maliny, Panowie!

Alfred obracając się, z zadziwieniem.

Chcemy, chcemy aniołku, ale razem z tobą.

Zosia.

O, tak! Bardzo dziękuję.

Alfred.

Pobierzem się z sobą.

Zosia.

Bardzo pięknie dziękuję.

Alfred.

Ja bo nie żartuję.

Zosia.

Być może.

Alfred.

Jakto, nie chcesz być pania?

Zosia.

Dziękuję.

Alfred.

Jakże ci imię?

Zosia.

Zosia.

Alfred.

Więc Zosiuniu mała,

Trzeba, ażebyś na to dobrze uważała,

Że się nie zawsze spotkasz z takim wielkiem szczę-
ściem.

Zosia.

Dziękuję.

Alfred.

Czemuż, powiedz, gardzisz tém zameściem?

Zosia.

Ja mam sobie równego, i kocham go szczerze.

Alfred.

Zapomnisz ... i on sobie niech inną wybierze;

A ty jak jego pani, dasz mu dóm i rolę ...

Jakże?

Zosia.

Bardzo dziękuję, ja Pawełka wolę.

Zdzisław pisząc.

Pawełka woli.

Alfred.

Ale Zosiu, zważaj proszę,
Jakie ciebie w tym stanie czekają rozkosze:
Czego tylko dziś pragniesz, będziesz w nim używać,
Teraz słuchasz, a potem będziesz rozkazywać,
Teraz służysz, a potem będą służyć tobie,
Teraz myślisz o pracy, potem o ozdobie,
Teraz chodzisz, a przy mnie usiądziesz w karęcie,
A wstążek co mieć będziesz! nad wszelkie użycie.

Zosia.

Już ja Pawełka wolę.

Alfred.

I moja osoba

Zdaje mi się, bez chluby, łatwo się podoba,
Nawet nie raz i nie dwa już mi to mówiono;
Będę mężem dość wiernym, ty bądź wierną żoną,
Bo o to bardzo proszę... i o cóż ci chodzi?

obraca się.

Przypatrz się tylko dobrze, wszak cię wzrok nie zwodzi.

Zosia po długiem przypatrzeniu się.

O, ja wolę Pawełka.

Alfred.

A, cóż tam u kata!

Z tym przeklętym Pawełkiem, czy mnie lichy brata?

Do Zosi.

Może bierzesz za żarty? oto są dowody.

Umięszże czytać?

Tu w głębi się pokazuje Panna Marta; okulary zielone, jakich się od kurzu używa, plaster na brodzie, kapelusz, kwef, i. t. d.; dziwacznie ubrana; słucha Alfreda.

Zosia.

Trochę.

Alfred.

Lecz powiem ci wprzód,

Dla czego, twojem zdaniem, tak dziwną rzecz robię:

Chcąc się prędko ożenić ułożyłem sobie,

Że pierwsza, którą spotkam, byle tylko chciała,

Będzie i moje rękę i majątek miała

Choćby stara i brzydka, a żeś ty i młoda

I ładna i przyjemna, zatem prędsza zgoda.

Czytaj, oto mój podpis, drugiego brakuje,

Która podpisze, męża mieć będzie.

Zosia.

Dziękuję.

Alfred.

A gdybym później, czytaj, nie dotrzymał słowa,

Narzeczonej przypada majątku połowa.

Wierz mi Zosiu, tém wszystkiém i panie nie gardzą.

Zosia.

Już ja wolę Pawełka, i dziękuję bardzo . . .

Alfred urażony; wstrzymuje się.

Ależ moja Zosiuniu, kiedyś tak uparta...

Panna Marta wyrywa pismo z rąk Alfreda rzuca się obok Zdzisława, wyrywa pióro i podpisuje; Zosia śmiejąc się wybiega. Alfred i Zdzisław przestraszeni długo zostają w nieporuszonem zadziwieniu.

S C E N A V.

Alfred, Zdzisław, Panna Marta.

Panna Marta

podpisawszy przypatruje się obom i mówi litewskim akcentem.

Tak, dobrze? wszak prawda, co? przecież więcej
warta,

Jak to głupie dziewczę ... co? ... ni brzydkam ni stara,
Będzie z nas nader miła i dobrana para!
Szlachetnegom jest rodu, dzwónek w herbie noszę,
Śmigalińska Marta, co? nie znacie mię, proszę!

Przejrzawszy, chowa papiéry.

Więc Alfred. No Alfredzie, będę twoją żoną.
Co?

Zdzisław.

Ale którą Jéjmość przybyła tu stroną?

Co?

Panna Marta.

Da tędy rybeńko, koło téj topoli.

Alfred.

Niestety!

Panna Marta.

Ty wzdychasz? co? powoli, powoli,

Nie udawaj miłości, gdy jej nie masz w duszy,
To udane westchnienie serca mi nie wzruszy.
Że mnie kiedyś pokochasz, łatwo temu wierzę,
Ale ja jestem bardzo rozsądna w tej mierze,
I wiem, że żadne wdzięki nie mają dość siły,
By tak nagle westchnienia miłosne wzbudziły;
Nie chciej więc nagłym ogniem wzniecić me zapaly,
Lecz staraj się powoli zwalczyć odpór stały:
Niech nieznacznie sentyment, którego się boję,
Trwożliwą narzeczoną odda w ręce twoje.
Co? ach! przyjdzie czas, kiedy figlarz Kupidynek,
Przerwie dziewczęj duszy niewinny spoczynek,
Kiedy na małą strzałkę, jak srogi morderca,
Nadzieje nasze, czuciem gorejące serca,
A płomyczek afektu nad niemi wzniesiony,
W płomień, a dalej w pożar zostanie zmieniony.
Co? Ale cierpliwości Alfredzie potrzeba,
Tobie bystrość, mnie skromność udzieliły nieba.
Kiedyż zatém ślub będzie? co? siadaj kochanie.
Co?

Sadza gwałtem przy sobie Alfreda posuwając się ku Zdzisławowi, który
się przed nią usuwa i nareszcie wstać musi.

Zdzisław.

Raz, dwa, trzy! mam żonę, niech się co chce stanie!

Alfred do Zdzisława.

Co tu robić?

Zdzisław.

Ha! uledez władzy przeznaczenia.

Panna Marta.

Przeznaczenie najstalsze zamiary odmienia.

Wyjeżdżając ze Żmudzi . . . byłeś w Żmudzi kiedy?

Co? nigdy? no, to ze mną będziesz. Otóż tedy

Wyjeżdżając ze Żmudzi . . . bo mam proces duży,

Lubisz processa? co? nie? jak co komu służy.

Otóż więc proces; wiele byłoby powiadać,

Jak, co, więc krótko mówiąc, bo nie lubię gadać,

Chcę, choć jeszcze lat niemam, pozbyć się opieki . . .

Zdzisław.

Opieka więc na Żmudzi trwać musi dwa wieki,

Panna Marta.

Jest to cnota nad cnotami,

Trzymać język za zębami;

Co? niema się co mówić, trzeba cicho siedzieć,

Lepiej rybeńko milczeć, niż głupstwo powiedzieć.

Do Alfreda.

Wyjeżdżając ze Żmudzi, czym się spodziwała,

Że na miejscu dekretu będę męża miała,

Że na twoje zbawienie, jakby z nieba spadnę?

Otóżżeż przeznaczenie. Co? a zatem żadne . . .

Zdzisław.

Alfredzie, dosyć żartów, dosyć i zabawy;

Panienka może przez nas nie wygra swęj sprawy;

Przeciąganiem tej sceny możemy zaszkodzić.

Panna Marta.

Sceny? co?

Zdzisław.

Małoletnich nie wypada zwodzić.

Alfred.

W saméj rzeczy, zbyt długo ciągną się te żarty,
Nie chcemy już wstrzymywać Jéjmość Panny Marty;
Niech się więcéj Panienka mym losem nie trudzi,
I przebaczy, że razem nie wrócim do Żmudzi.

Zdzisław kłaniając się.

Sługa jéj uniżony i wielbiciel szczéry.

Alfred kłaniając się.

Najniższy.

Zdzisław.

Ale, ale, proszę dać papiéry,
Trzeba je zaraz zniszczyć, by śladu nie było,
Co się tu Jéjmość Pannie przykrego trafiło.

Panna Marta do Zdzisława.

Nadto, nadto rozumu, a powiem nawiasem,
Że dwie ostateczności tykają się czasem,
Rozumiész rybeńko? co? Żarty, czy nie żarty,
Alfred już nie odstąpi Śmigalińskiej Marty.
Papiéry są, i chowam dla lepszego śladu
Naszego tu spotkania i cnego układu.
Co?

Zdzisław do Alfreda.

Zostawmy papiéry.

Alfred do Zdzisława.

To , wszystko rozgłosi.

Zdzisław.

Może trochę pieniędzy łatwiej je wyprosi.

Alfred do Marty.

Gotów jestem nagrodzić , pewną , znaczną kwotą.

Panna Marta.

Ach , takiego małżonka dostanęz za złoto ?

Alfred.

Ja , małżonkiem Wać Panny ? utopię się raczej.

Panna Marta.

To i ja z tobą rybko.

Zdzisław do Alfreda.

Nie drażń , bo inaczej

Całe miasto się dowie o tej śmiesznej sprawie ,

A papiéry jednakże zostaną w zastawie ;

Owszem , jak teraz zważam , pochlebiać należy ,

Niech się cieszy nadzieją , niech miłości wierzy :

Powiedz , że do niej przyjdiesz , spytaj , gdzie mieszkanie ;

Czasu , czasu nam trzeba , by zacząć działanie.

Alfred.

A , to mnie diabeł takim nabawił kłopotem !

Żenić się nie ożenie , ale . . .

Zdzisław.

Potém o tém.

Alfred do Marty.

Nie jest pora ni miejsce, o tём dłużej prawić,
Przyjdę więc wkrótce do niej; lecz gdzież się mam
stawić?

Panna Marta.

Jeszcze nié mam mieszkania, dopiérom wysiadła,
I że nie trzeba będzie, tak jak gdybym zgadła:
Odstąpisz mi izdebki, tak będziem przy sobie.
Co?

Zdzisław na stronie.

Boże! cierpliwości!

Alfred do Zdzisława.

Cóż z nią teraz zrobię?

Panna Marta.

Może mieszkasz w gospodzie? co? to lepiej będzie,
Bo niedobrych języków zawsze pełno wszędzie.
A w gospodzie ujdzie. Co?

Do Zdzisława. Teraz z swojej łaski,
Czybyś Pan nie mógł mojej odszukać kolaski:
Stoi, gdzie... ten dóm... ten staw... ten ładny pagórek.
Wiesz?... Wsiądzże do niej, tylko nie poduś wiewiórek,
I przyjeźdź do Alfreda. Co?

Zdzisław.

Dobrze, przyjadę.

Alfred z przestraczem.

Ja tu sam nie zostanę!

Panna Marta.

Więc dam inną radę:

Idźmy wszystko troje. Co?

Zdzisław na stronę biorąc Alfreda.

Ja pójdę wyprawić

Kolaskę za roгатki, ty myśl się wybawić;

Tak, nim Martusia znajdzie kolaskę i ciebie,

My musiemy poradzić w tej przykrzej potrzebie.

Panna Marta.

Wprawdzie miejsce na troje, trochę ciasne będzie,

Da coże robić! jeden przy drugim usiedzie,

A ja choć, przeprosiwszy, na kolanach siedę.

Alfred.

O dla Boga! nie ... wolę ... w domu czekać będę.

Panna Marta do Zdzisława.

Da Wać Pan już trafisz; co? Tylko zawsze w prawo,

W prawo, a potem prosto... skoczże, skocz, a żwawo!

Abyś gdzie nie prześlepił, nie pożałuj wzroku:

Kolaska popielata, landszafty na boku,

Spód żółto malowany, jedno koło białe

Kón dropiaty, klacz kara i źrebiątko małe,

Dziewka zowie się Magda a furman Kasperek...

Patrzajżeż, z tyłu tłómok, na przodzie kuferek,

Na wiérzchu sroka w klatce, słyhać ją z daleka...

Da poznasz i po pieskach: Filuś cienko szczeka,

A chrapliwie Finetka; co? Nie traćżeż czasu

I choćby jak najdalej, wracaj bez popasu.

Zdzisław.

Wszystko podług rozkazu najdokładniej zrobię.

Panna Marta.

Idźżeż, idź!

Zdzisław biorąc na stronę Alfreda.

Ty Alfredzie, myśl dobrze o sobie;
 Jak się trafi sposobność, nie masz czego czekać,
 Zwiń się zręcznie i drapnij... ale masz uciekać,
 Uciekajże potężnie, bo to nie są żarty:
 Każda chociażby jeszcze i starsza od Marty,
 Pędzi jak strzała z łuku za mężem w pogoni,
 A gdy cię raz dopadnie, nic cię nie obroni.

Odechodzi.

S C E N A VI.**Alfred, Panna Marta.****Panna Marta.**

Przecieśmy się pozbyli natrętnego świadka.
 Siadźżeż moja rybeńko, rybenieczko rzadka,
 Klejnocie mojej duszy, da usiadźżeż proszę;
 Będziem słodką rozmową płodzili rozkosze.
 Co? Ach, miło powtarzać, choćby i sto razy:
Kochasz mnie? Da, cię kocham! O, lube wyrazy!...
 Lecz czemuż się odemnie odwracasz okrutny?
 Zasmucasz moje serce, kiedyś taki smutny:

Z westchnieniem.

Charakteru więc twego opis zbyt prawdziwy!

Alfred.

Fałszywy Mościa Panno, wierzaj mi, fałszywy.
Oprócz żem smutny, wszystko inaczej się dzieje:
Jeśli więc twego szczęścia opierasz nadzieję
Na tych przymiotach duszy, któreś tam postrzegła,
Wcaleś w przeciwną stronę od celu odbiegła.
Każdy zawsze na siebie łaskawiej spoziéra
I malując swój obraz dobrych farb dobiéra:
Wady przesuwą ciemną, jasną znaczy cnoty,
I nawet same błędy przekształca w przymioty.
Takto złość w dowcip, głupstwo w łagodność prze-
mienia,
Podły egoizm w wielkość godną podziwienia,
Popędliwość w odwagę, w gorliwość namiętność;
Próżność jest żądzą sławy, śmiałością natrętność;
Chytność rozsądku, stałość ma miejsce uporu,
A rozwiozłość się stroi w wesołość humoru...
Słowem, rozum obrazu pierwszy zarys robi,
Lecz miłość własna później kolorem go zdobi.
Tak się też postąpiło malując mą duszę,
Wstydzę się bardzo, wstydzę; ale wyznać muszę.

Panna Marta.

Hm! i w czymżeż ten obraz, tak bardzo fałszywy?

Alfred.

We wszystkiém.

Panna Marta.

Na przykład? Co?

Alfred.

Jestem popędliwy;

Czasem mnie lada fraszka w taki gniew wprowadzi,
Że każdy mi jest przykrym, każdy mi zawadzi;
Na każdego się rzucam, nic nié mam na względzie,
Winnych niewinnych gromię w szalonym zapędzie
I w tym okropnym stanie nie wstrzymanej złości
Gotówbym...nawet żonie...nadwerężyć kości.

Panna Marta.

Da, zmiłuj się!... kto tłucze, ten bywa tłuczony;
Wiém więc, że nigdy takim nie będziesz dla żony.
Że się czasem małżeństwo poskubie, podrapie,
No, to coże to szkodzi? kto złapie, ten złapie,
I cicho, i sza! zgoda! lecz naruszać kości!
Czyś zfixował? Nie, nie, nie, nié masz tyle złości.

Alfred po krótkim milczeniu.

Mam także nałóg brzydki i z tym się nie kryję,
Lubię pić i czasami aż nad miarę piję.

Panna Marta.

Likworek, co? likworek? Ach rzecz wyśmienita!

Alfred na stronie.

Wybornie! do wszystkiego! To miła kobiéta!

Po krótkim myśleniu.

Ale co jest najgorsza, czém pewnie się zgubię:
Karty, jak własne życie, w dzień i w nocy lubię.
Pół majątku już wzięła ta namiętność dzika.

Panna Marta.

Co *Halbecwelwe*, czy Ćwik? O, ja lubię Ćwika;
Lecz z musem czy bez musu, jakże tu grywacie?
Co?

Alfred na stronie.

A, cóż u tej baby wszystko na warsztacie!

Z niecierpliwością do Marty.

Nareszcie z moich chorób tysiączne kłopoty:
Mam podagrę, hiragrę, szpazma i suchoty.

Panna Marta.

Ach więc nam wraz obojgu leczyć się potrzeba,
Bo i mnie słabościami obarczyły nieba:
Ciępię mocny romatyzm w rękę, w nodze, boku,
Mam kaszel, zawrót głowy i bielmo na oku.

Alfred na stronie.

Niechże cię licho porwie!

Panna Marta.

Ach takto na świecie!...

Da czekajżeż rybeńko! sam nie pójdziesz przecię?

Odchodzą.

S C E N A VII.**Elwira, Zdzisław.**

Wychodzą z przeciwnej strony, w którą Alfred odszedł, i patrzą śmiejąc się za odchodzącymi.

Zdzisław.

Jednakże Alfred...

Elwira.

Niema do litości prawa.

Niech trochę cierpi, teraz najgorsza przeprawa.

Myśli, że jej ucieknie; o, bardzo się myli:

Zobaczmy ich tu razem po niedługiej chwili.

Zdzisław.

Prawdziwie, pięknym ustom trudno nie dać wiary;

Lecz jak wierzyć, że ten kwef, plaster, okulary

Kryją, kogo? Julią; że wdzięki, powaby

Mogły się tak zakopać w bezecność tej baby,

I że ten głos ściśniętym wychodzący nosem,

Tak przykry, ostry, jest...

Elwira.

Jest mojej siostry głosem.

Tak, nie inaczej.

Zdzisław.

Wprawdzie trochę się i wstydzę,

Lecz i to mógłbym zgadnąć, że Elwirę widzę,

Gdym wiedział, że się miała zatrzymać w Berlinie.

Elwira.

Właśnie wczoraj wróciła i w téjże godzinie,

Widząc miłość Juliji, plan spisku podaję,

Który będąc poprawą, nagrodą się staje.

Musiałam wprawdzie zwalczyć te niezdolne względy,

Co pęd duszy hamując lepiej kryją błędy,

Te wieczne: *to nie ujdzie! to rzecz niewidziana!*

Cóż będzie? cóż powiedzą? lecz ja przekonana,

Że przy czystem sumieniu gorsza chwila smutku
Niż tysiąc: *co powiedzą*, przywiedłam do skutku...

Zdzisław.

Zamiar, z którego nigdy nie wypłyną żale.
I jak poznasz Alfreda...

Elwira.

Znam go doskonale,
Nie tylko z pochlebnego Juliji obrazu,
Lecz taki się charakter poznaje do razu,
Jak kłębek, zaczep koniec a rozwiniesz cały:
Alfred ma wszystkie wady, co się duszą stały
Tych, co chcąc użyć życia w każdej jego chwili,
Nie dla trosek, lecz uciech, świat sobie sprzykrzyli.
Syty niby już życia przyszłością się trudzi,
Gardzi ludźmi a tkliwy na mniemanie ludzi,
Bojąc się zbłądzić czuciem, czucia się wyrzeka,
W urojone granice przed sobą ucieka,
Obojętny z układu, szydzi, gdy się lęka,
Z wszelkiej władzy urąga a przed każdą klęka,
Tak, zawsze z samym sobą w nieustannym sporze
I znieść jarzma nie zdoła i zrzucić nie może.

Zdzisław.

Z niektórych względów obraz rzetelny niestety!
Lecz z drugiej strony Alfred posiada zalety,
Które...

Elwira.

Pst! Otóż oni. Oddalić się wolę;
Wać Pan, Panie Zdzisławie, pamiętaj na rolę.
Odchodzi z Panną Martą razem, zatrzymawszy się nieco w głębi.

S C E N A VIII.**Alfred, Zdzisław.****Alfred**

wyrwawszy się Marcie w pół ulicy, zmordowany.

Ach Zdzisławie, Zdzisławie! tego już za wiele,
Dziś jeszcze albo sobie albo jój w łeb strzelę.

Zdzisław.

Ale dla czegoż znowu rozpaczać tak bardzo?
Przykro, pewnie; lecz ludzie, co tak jak ty gardzą...

Alfred.

Żenić się nie ożenić; nie to mnie zastrasza,
Lecz kłopot, śmieszność ściągnę... wieść się już roz-
głasza.

Zdzisław.

Ha! wcześniej, później, trzeba szaleństwa opłacić.

Alfred.

I owszem... wszakżem mówił, chcę zapis utracić.
Lecz ta mara piekielna, krwawa moja plaga,
Ręki mojej jedynie gwałtem się domaga.
Powiada, że sąd tylko rozłączyć nas może;
Pozywajże się teraz! A jeśli położę

Nagłym odjazdem koniec tej przekłętą sprawię,
Jeśli wszystko bez względu losowi zostawię,
Zatém nieuczyniwszy wyboru w tej dobie,
Nie zatrzymam i reszty majątku przy sobie.

Zdzisław.

Ha! w samej rzeczy przykro, jest na co narzekać,
Ale dobrze zrobiłeś, żeś nie chciał uciekać.

Alfred.

Nie było sposobności; szukałem oczyma
Czy jakiej gdzie uliczki lub zakątku niema,
Którędyby najprędzej ujść można pogoni,
Lecz nie mogłem mej ręki wydobyć z jej dłoni;
A gdym chciał trochę silniej od siebie oddalić,
Poczęła tak się gniewać, tak piskliwie żalić,
Że bojąc się wśród ludzi wznawiać takie wrzaski,
Szedłem rad nierad szukać nieszczęsnej kolaski.

Zdzisław śmiejąc się.

Zasłyszala więc pewnie nasz układ w tej mierze?

Alfred.

Pewnie. Wystawże sobie, jaki mnie strach bierze,
Gdy widzę, że mnie ciągnie przez sam środek miasta:
Im dalej, tém okropniej moja hańba wzrasta;
Lecz ona nic nie pyta, mimo ścięszki broczy,
Wrzeszczy, staje, rozprawia, ściąga na nas oczy,
A ja teraz z nią razem celem pośmiewiska,
Zakrywam się, krew ledwie z twarzy mi nie pryska,
I modłę się gorąco, by ziemia prysnęła,

I mnie bez tej poczwary w głębi pochłoneła.
W końcu kilku znajomych postrzegam z daleka...
Zimny pot mnie obléwa, wiem już co mnie czeka,
I tak nagle uczuвам i hańbę i trwogę,
Że zbladły i bez tchnienia postąpić nie mogę.
Wtedy spojrzawszy na mnie przewodniczka sroga,
Zwraca się, milczy, pędzi gdzie najkrótsza droga,
I nimem mógł zmiarkować, już byłem w ogrodzie.

Po krótkim milczeniu.

Cóż teraz będziem robić?

Zdzisław.

Myśleć o rozwodzie.

Alfred śmiejąc się.

Alboż mam żonę?

Zdzisław.

Ale żenić się wypada.

Alfred.

Żenić? Całuję nóżki! A to piękna rada!

Zdzisław.

Wierz mi Alfredzie, z tobą wybiegów nie robię,
Oryginalność w ludziach śmieszna sama w sobie;
Ale ten jeszcze więcej śmiech szyderski wzbudza,
Co ciągle za nią goniąc próżno się utrudza;
Co zawsze ogłaszając, że tam czegoś dopnie,
Miast na wyższe, na niższe przenosi się stopnie,
A ci, którzy myśleli, coś rzadkiego widzieć,
Muszą się tylko w końcu swęj uwagi wstydzić.

Wierz mi, ta wśród hałasu bezowocna praca
Jest zawsze w oczach świata koziołkiem Pajaca.

Alfred.

Wesołyś jak uważam, pełen wyobraźni:
Nie tegom się spodziewał po twojej przyjaźni.
Zatém, mam się z nią żenić? Śmieje się z przymusem.

Zdzisław.

Niech cię to nie gniewa,
Lecz jak ja, tak i każdy tego się spodziewa.
Pan Alfred, każdy powie czyniąc te układy,
Mógł wszystkie w swych życzeniach przewidzieć za-
wady,
Zatém, ślub z Panną Martą...lub wiara złamana.
Bo jakimbądź sposobem, kiedykolwiek dana,
Świątą zostać powinna każda obietnica.

Alfred.

Miedzy radą a dziełem wielka jest różnica.
Lecz to zdanie tak nowe, Pan mi pewnie powie,
Cóż za łasce przypisać?

Zdzisław.

Memu rozsądkowi.

Alfred.

Mieć rozsądek dla siebie jest już bardzo wiele.

SCENA IX.

Alfred, Zdzisław, Panna Marta, później Elwira.

Panna Marta.

A coże to kłótnia? co? zaraz was rozdzielę,
Chodźżeż do domu.

Bierze pod rękę Alfreda i ciągnie ku wychodowi, gdzie ich Elwira
spotyka

Alfred

nie uważając idzie z Martą, zajęty Zdzisławem.

Łatwo Pan przemieniasz zdania.

Panna Marta.

Da, już dziesiąta biwszy a ja bez śniadania.

Elwira.

A, winszuję! jak widzę, wszystko już skończono:
Jéj Mość Panna zapewnie jego narzeczoną?

Panna Marta.

Da jestem, dobry Boże! choć się człowiek wzbrania,
Jednak go w końcu zmiękczą usilne błagania;
Nie mogłam dłużej patrzeć na miłosną mękę,
Rumieniec skrył jagody, i oddałam rękę.

Elwira.

Mogęż z Panem Alfredem pomówić dwa słowa?

Panna Marta.

O, na wszystkim Panienko zezwolić gotowa.
Nie trzeba być zazdrośną; co? do Alfreda.

Prawda kochanie?

Między nami to czucie nigdy nie powstanie.

Ja z tym Panem tymczasem... lecz jak ty bezemnie?...

Zdzisław podając rękę Marcie.

Fraszki... wszak wiem gdzie mieszka... kryłby się daremnie.

Odchodzi.

SCENA X.

Elwira, Alfred.

Elwira.

Juliji tu przed sobą widzisz Wać Pan siostrę.

Alfred.

Juliji?

Elwira.

Tak, przebacz mi, wyrazy dość ostre...

Alfred.

Juliji? więc Elwirę?...

Elwira.

Tak jest.

Alfred.

W jakięjż porze
Poznaję cię Elwiro! Cóż cię wracać może?

Ach jakim przeznaczeniem, jakimże przypadkiem

Powtórnie moich szaleństw stajesz się dziś świadkiem?

Elwira.

Kiedy więc błąd poznajesz, przebaczysz wyrazy

Mszczące się mojej siostry boleśnej urazy,
Przyznam się nawet szczerze, że ledwiem przybyła,
Całą moję wymowę ku temum zwróciła,
Aby miłość Juliji w obojętność zmienić,
Której dzielić nie możesz, bo nie umiesz cenić,
A gdy dziwném zdarzeniem, nadszedłszy tu rano,
Poznałam cię Alfredzie przez prośbę podaną,
Gdym o twoim zamiśle wiadomość powzięła,
Myślałam, że z nią łatwiej dokonam już dzieła;
Ale próżne mniemanie i próżna wymowa:
Julija mnie nie słucha, giną moje słowa,
I nie dość jeszcze na tém...prośbami mnie skłania,
Bym wróciła do ciebie, mimo mego zdania,
I jej rękę z majątkiem przyniosła ci w darze,
Jeżeli ci los w twoim nie sprzyjał zamiarze.

Alfred.

Julija cię przysyła? ona to zrobiła?

Elwira.

Tak, ona to zrobiła, ona mnie przysyła.

Alfred.

Julija, której miłość zawsze w jednym stanie,
Stwierdzała co dzień we mnie to mylne mniemanie,
Że ni władza bojaźni, ni popęd nadziei,
Nic ją wyrwać nie zdoła z zwyczajnej kolei;
Że mając tylko w duszy sąd świata na względzie,
Każdą swą czynność ściśle poddawać mu będzie,
I że u niej dać rękę blaganą w pokorze

Jest wszystkiem, czego miłość odważyć się może?
I ona teraz dla mnie, łamiąc wszystkie względy,
Niepomna swój urazy, przebacząc błędy,
Pierwsza miłość oświadcza, sama rękę daje?
Ach, teraz los dopiero srogim mi się staje!
Teraz widzę nieszczęście w niezbędnym rozdziele,
Teraz dopiero czuję, jak straciłem wiele!

Elwira.

Straciłeś? albo myślisz . . .

Alfred.

Tę pojąć za żonę.

O, nie! Ale spełniwszy układy zrobione,
Będę . . . jestem już wolny . . . ale bez majątku . . .
Mało mi się zostanie . . . a chociaż z początku
Julija mym uczuciom prawdziwym uwierzy,
To później, gdy rozważy moją czynność zmierzy,
Może innym powodom . . .

Elwira.

Porzuć wczesną trwogę;
Miłości jej . . .

Alfred.

Miłości jej, wyrzecz się mogę,
Ale szacunku nigdy . . . poddam się losowi,
A co cierpię . . . gdy kocha . . . niech jej serce powie.

Elwira.

Alfredzie, twoje słowa dójdą niezawodnie;

Zbłądziłeś wprawdzie, lecz błąd naprawiłeś godnie,
I jeśli me życzenia zostaną spełnione,
Znajdziesz w małej odmianie, i szczęście i żonę.

Odchodzi.

SCENA XI.

Alfred.

Teraz dopiero szaleństw obfity plon zbieram:
Szczęściu całego życia gwałtem się wydzieram.
Nie dość, żem nieszczęśliwy, nie dość, żem szalony,
Złamię słowo honoru i będę wzgardzony.

Rzuca się na krzesło i opiera się o stół.

SCENA XII.

Alfred, Panna Marta.

Panna Marta.

Coże tu na rozmowach minie doba cała?

Alfred nie widząc jój.

Ach Julijo, Julijo! zemszczonaś została!

Panna Marta

siada koło Alfreda, który tyłem obrócony, i mówi tracąc akcent niezna-
cznie swoim głosem.

Alfredzie, czemuż znowu ten smutek posępny?
Nie mogę nawet myśleć, abyś był występny.
Oko twoje zaświadcza spokojność sumienia,
Odsłoń mi twoją duszę, powierz mi strapienia:

Już moim obowiązkiem twoje troski słodzić.
 Powiedz... poniósłżeś straty?... Te można nagrodzić,
 A nie można, to w czasie poszukaj osłody.
 Możeś sobie świat sprzykrzył? Alfredzie, tak młody!
 Jeżeli masz przykrości, masz także nadzieję,
 Wszak dla ciebie kwiat szczęścia dopiero się sieje.

Po krótkim myśleniu.

Możeś miłości ufał, miłość cię zdradziła?
 Może w zbytnim szafunku osłabła jej siła?
 Albo każdy twój zapal zowiąc tęp nazwiskiem
 Czystyś jej urok zrobił twych zmysłów igrzyskiem?
 Może rozsądek wszelkie uczucie zwycięża
 Jako niegodne duszy niezgiętego męża?
 Wierz mi, w nagrodę cierpień niebo miłość dało,
 Nie szafujmy nią nadto, ani nadto mało,
 Niegodna nas upodla, uszlachetnia prawa;
 Ona, jak anioł cnoty w świecie przy nas stawa,
 I powolnym jej wodzy, wspartym na jej łonie,
 Zapewnia szczęście w życiu, łzę czystą po zgonie.
 Ach, czyż do twego serca zniszczyłeś już drogę?
 Nie będzieszzże mnie kochał?

Alfred

który z razu nie słuchał, potem uważał, na końcu zapomniał kto mówi
 i z przyjaznym uczuciem się obraca, postrzegłszy jej brzydkość mówi
 znowu się odwracając.

Dalibóg nie mogę.

Panna Marta

mówi akcentem litewskim, zdejmując kapelusz i t. d.

Dobrze niewdzięczny, dobrze, łamiesz twoje słowo;

Zechcesz, lecz ponieważś dać mi go na nowo . . .

Nie potrzebuję serca, które tak uparte . . .

Zapis, nie, zapis zdzieram. Drze i rzuca papiery.

Masz, poznajżeż Martę!

Alfred obraca się.

Julija! . . . Ty? . . . Julija?

Julija z akcentem.

Coże cię to dziwi?

Alfred.

Ty . . . ty . . . byłaś . . . jesteś . . . tą? . . .

S C E N A XIII.

Alfred, Julija, Elwira; Zdzisław.

Elwira.

Co cię uszczęśliwi.

Julija pół żartem.

Nie, wzgardził moją ręką.

Alfred.

Tyle jestem winny,

Ze sam nie śmiem, lecz za mnie, niech błaga kto inny:

Elwiro i Zdzisławie . . .

Julija.

Nie, nie.

Elwira.

No, sza! zgoda!

Alfred klęknie, **Julija** . . . Bierze za rękę **Julija**.

Julija nie zbraniając się.

Nie, nie...

Elwira.

Rękę poda.

Łącząc ręce.

Tak, otóż macie koniec.

Julija.

Ale mnie się zdaje,

Że ja w tym razie nadto powolną zostaję.

Zdzisław.

Prawda, nie trzeba było jeszcze dawać ręki;
Panicz wart nie za jedno trochę dłuższej męki.

Alfred.

Nie, na uszczęśliwienie nigdy nie jest wcześnie,
Zwłaszcza tych, którym chwile snują się boleśnie.

Zdzisław do Alfreda.

Teraz odmiany zdania...

Alfred ściskając mu rękę.

Kochany Zdzisławie!

Objaśnienia zaś wszystkie na potem zostawię.

Julija.

Wszak wszystko łatwo zgadnąć: ogrodnik tą drogą
Niby dla jej naprawy, nie puszczał nikogo.

Elwira.

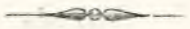
Ja i moja służąca, co Pawełka woli,
Ułatwiałyśmy tylko wstęp głównej roli.

Julija.

A twój Jan, gdy się Pana szaleństwem zatrwożył,
Ów sławny twój testament w moje ręce złożył.

Alfred.

Gdy się więc wszystko kończy w najlepszym sposobie,
Gdy już znajduję żonę, z nią szczęście w tej dobie,
Przyznajcież mi Wac Państwo, ach przyznajcie
szczerze,
Że jest jakieś bóstwo, co szalonych strzeże.



ODŁUDKI I POETA.

KOMEDIJA

w jednym Akcie, wierszem.



Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu.

And. Maz. Fredro.

O S O B Y.

ASTOLF.

CZESŁAW.

KAPKA, oberżysta.

ZUZIA, jego córka.

EDWIN.

Scena w oberży małego miasteczka.



ODLUCKI I POETA.

SCENA I.

Sala; drzwi numerowane; stoliki po obu stronach.

Kapka, Zuzia.

Zuzia przy stoliku czyta z wielką uwagą rękopism.

Kapka za drzwiami.

Kawa pod numer czwarty! na salę herbata!

Jest tam kto! aj, śmietanka! aj! tamże do kata!

Jest tam kto! Zuziu! Zuziu!

Wbiega trzepiąc palcami, postrzega czytającą, skrada się i wyrywa poszyt.

To czas na czytanie?

Zuzia zrywając się.

Ja zaraz . . . ja bo ojciec . . . chce odejść.

Kapka groźnie.

Zuzia tu zostanie!

Dopókiż gadać będę i jedno powtarzać,

Aby wszędzie zaglądnąć, na wszystko uważać?

Śmietanka już w popiele, ojciec w palce dmucha,

A moja Panna Zuzia nie patrzy, nie słucha.

Córko! czy ty chcesz zniszczyć mego domu sławę?

Panowie od godziny czekają na kawę,

A kawa jeszcze w puszce, może nie zmielona.

Zalamując ręce.

Córko! na moję hańbę wyszłaś z mego łona! . . .
 Jeden już ostrém słowem dał się słyszeć przy mnie,
 Drugi, gdym zaczął mówić, o dzisiejszém zimnie,
 Najgrzeczniej ani mruknął, ale drzwi otworzył;
 A lubcia czyta . . . i co? . . . dłońbym w ogień włożył,
 Że . . . patrzy w poszyt, Zuzia chce odebrać.

Zuzia.

Już kawa . . .

Kapka.

Że wiérse.

Zuzia chcąc dostać.

Proszę.

Kapka odsuwając się.

I ja proszę.

Wiérse! I ja przez wiérse taki wstyd ponoszę?

Wyrzuca przez okno,

Precz!

Zuzia.

Cóż Pan Edwin powie?

Kapka.

Bardzo o to stoję.

Niech się rozgniewa . . . owszem . . . I lekcye twoje
 Już się dziś skończyć muszą . . .

Zuzia.

Już?

Kapka.

Nie dość pół roku?

Zuzia.

Czemu dłużej nic można?

Kapka.

Bo mam rozum w oku.

Zuzia.

Ależ ja mało umiem.

Kapka.

Lepiej umieć mało,

Jak się przeuczyć.

Zuzia.

Jeszcze choć rokby się zdało . . .

Kapka.

To, to, to, proszę kogo! rok! ... czemu nie dwa, trzy?
Lecz moje oko widzi, gdzie Pan Edwin patrzy,
Gdzie i Panna Zuzanna . . . widzi doskonale,
Nie w książkę, szkoda mówić, o, nie w książkę wcale;
Wiem, co znaczy, gdy jedno przy drugim usiedzie,
Lecz jakem Józef Kapka, nic z tego nie będzie.

Zuzia płacząc i całując go w rękę.

Mój ojcie!

Kapka.

Ba, ba, ba, ba, o łzy tu nie idzie,
Wtedyby szło dopiero, jakbyś była w biędzie.
Twój Edwin jest poetą . . . pięknie wiersze składa;
Ale jak każdy drugi, i poeta jada,
I żona przy miłości sławą żyć nie zdoła,
Wkrótce i dziecko także papuniu zawoła,

A on choć dniem i nocą popracuje szczerze,
Da wam odę na obiad, bajkę na wieczerzę;
Ale oda nie rosół, bajka nie pieczenia,
A zatém nic nie będzie z waszego marzenia.

Zuzia płacząc.

Niedawno był i dobry, i mądry, i grzeczny,
Ale dziś, dziś na wszystko pada wyrok sprzeczny.

Kapka.

Dawniej dość go lubilem, nikt tego nie przeczy,
Pókim myślał, że z niego będzie co do rzeczy;
Ale, kiedy Pan Edwin, jak szalał szaleje,
Darmo-że mam tę samę zachować nadzieję.
Został pisarzem miejskim, urząd nie pętelka,
Z tąd godność i estyma, z tąd i korzyść wszelka;
Kiedy wyjdzie na rynek, każdy czapkę chwyta,
Mówi mu, *mój Jegomość*, i uprzejmie wita.
Płaca także uczciwa co kwartał do worka,
Nie bez tego by nie szła czasem i sikorka;
Mógłby już przyjść do czegoś... ale nie zatrzyma:
Szastum prastum tu ówdzie... nigdy grosza niema.
I Pan Burmistrz się skarży, już to nie raz słyszę,
Że zamiast protokołów, wiersze tylko pisze,
I tak mu dóm przekręcił, o, hańbo! o, zgrozo!
Że Pani Burmistrzowa nie chce gadać prozą;
I dzieci, mamki, czeladź, co chodzi, co gada,
Ani zapędź do pierza, bo poezyje składa.
Nawet stary pacholek, próżniak nad próżniaki,
Zrobił, czy diabeł nadał, cztery Krakowiaki.

Zuzia.

To wszystko tylko bajki, wierz ojcie kochany.

Kapka.

O nie . . . tu u mnie takiej nie będzie odmiany ;
Więc abym wcześniej wszelkiej zapobiegł zdrożności,
Niech sobie Pan poeta w innych domach gości,
Niech już nieba co gromią, miłości co dręczą,
Jęczą, męczą, kawęczą, w uszach mi nie brzęczą.

SCENA II.

Kapka, Zuzia, Astolf.

Astolf.

Czyś Wać Pan dziś oszalał!

Kapka kłaniając się.

To jest ostre słowo.

Astolf.

Kawa! Zuzia wybiega.

Kapka chwytając się za głowę.

Kawa, ach kawa, biednaż moja głowo!

Obracając się gdzie Zuzia stała.

A biegajże mi żwawo . . . A łaskawy Boże,
Jak która zacznie gadać, to skończyć nie może.
Zaraz wyborna kawka . . . zaraz . . . zaraz będzie.

Ścierając stół, na stronic.

Wszystko to ten poeta!

Do Astolfa.

Niechże Pan usiedzieć.

Astolf wyciągając się na krześle.

Uprzejmość zawsze miła, choćby i o głodzie,
Przecię już w polskich karczmach grzeczność teraz w
modzie.

Kapka.

Karczmach?

Astolf.

Jakże zwać ten dóm i brudny i długi,
Gdzie konie obok ludzi, gdzie jeden i drugi
Wchodzi, wjeżdża, wyjeżdża, zamyka, otwiera,
A jeden tylko mieszka i tych wszystkich zdzięra.

Kapka.

To nader ostre słowo.

SCENA III.

Astolf, Kapka, Czesław.

Czesław siadając przy stoliku po lewej stronie.

Herbaty!

Kapka.

Już daję.

Ku drzwiom.

Herbaty!

Ścierając stół, na stronie.

To poeta tak mi w garle staje;

Poczekaj!

Astolf.

Gospodarzu, wszakże ta osada,
Jak mi się zdaje, tytuł miasteczka posiada?

Kapka.

Która?

Astolf.

Ta, gdzie jesteśmy.

Kapka otwierając okno.

To jest do widzenia.

Astolf.

Ha! cóż tu do widzenia? co? Jakie sklepienia
Podziemnych lochów, więzień! gdzie dla ciekawości
Dotąd jeszcze w łańcuchach trupieje kości?
Zabytki złotych wieków, tych wieków prostoty,
Za którymi utulić nie mogę tęsknoty! . . .
A może wieża, kolos, co chmury roztrąca,
Pomnik sławy jednego, ucisku tysiąca?
Pokażże, pokaż prędko.

Kapka.

Wprawdzie tak dalece . . .

Astolf.

Albo może tamten most, na wyschniętej rzęce,
Co się trzęsie jak w febrze? za który się płaci?

Kapka.

Most podupadł, a płaca . . .

Astolf.

Dla dobra współbraci.

Kapka.

Pan Burmistrz ustanowił . . .

Astolf.

Wyrokiem uświęcił:

Niech podróżny zapłaci, że karku nie skrzył.

Lecz więcej z dawnych dziwów, czyż to miasto niema?

Cóż? jakie żebro tura, albo ząb olbrzyma;

Albo skałę, co diabeł upuścił z niemocy,

Jak kogut we wsi zapiał o samej północy?

Kapka.

Jest stary ratusz . . . odkrzaknąwszy.

Mówią, że gdy panowanie . . .

Astolf.

Gospodarzu, czy kawy w tém mieście dostanie?

Kapka.

Ach zaraz!

Na stronie. O poeto, niech cię piorun trzaśnie!

Ku drzwiom.

Hej kawy! kawy prędzej! . . . Otóż niosą właśnie.

Służący przynosi kawę i herbatę i stawia na stoliku.

Do Astolfa.

Arcy wyborna . . . mokka . . .

Do Czesława. Sam kwiat, arcy czysta . . .

Astolf.

Jak się Wać Pan nazywasz Panie oberżysta?

Kapka.

Józef Kapka, do usług . . .

Na stronie. Cel-em pośmiewiska . . .

Astolf.

Hm! prawdziwém szlachectwem jest piękność nazwiska.

Kapka kłaniając się.

Łatwiej czasem wznieść śmieszne, niż utrzymać piękne.

Astolf.

Jest więc i sentencya.

Kapka.

Zginę, umrę, pękne ...

O, przeklęty poeto! ... Wszystko przewidziałem ...
Poczekaj!

Czesław z flegmą.

To rumianek, ja herbaty chciałem.

Kapka.

O dla Boga! rumianek! ... to dla mojej żony ...

O wiersze, wiersze! przez was jakżem dziś zhańbiony!
Wynosi tacę.



SCENA IV.

Astolf, Czesław.

Astolf.

Co temu tylko wiersze i poeta w głowie.

Po krótkim milczeniu.

Cóż tam Panie Czesławie, jakże dzisiaj zdrowie?

Czesław.

Jak zawsze.

Astolf.

Spałeś długo.

Czesław.

Dość życia zostało.

Astolf.

Wiém... w śnie chcesz szukać szczęścia; ale go tam
mało:

Raczej resztę w nim stracisz. I z tego względu
Nie lubię chwili, często przyjemnego błędu:
Wznosić nieszczęśliwego z zwyczajnej kolei,
By mu pokazać szczęście lub powab nadziei,
By obudzić uspione jego serca bicie,
I znowu go wytrącić w opłakane życie,
Gdzie ledwie wytrwać może pod losu uciskiem,
To jest tylko szyderskiem natury igrzyskiem.

Czesław.

Ach ulgą powiedz.

Astolf.

Ulgą, jakiej ten doznaje,
Komu płomień zwalniają, gdy na stosie staje.
Dusza, co wytrwać może, wytrwa tylko tyle;
Ale odsuń marzenia, zostaw własnej sile!
I gdy ciężar cierpienia nieść mamy po świecie,
Nieśmyż go bez spoczynku, póki nas nie zgniecie.

Długie milczenie.

Wszakże razem i dalej pojedziem ze sobą?

Czesław.

Nie.

Astolf.

Dla czego? . . . A prawda, z weselszą osobą,
Przyjemniej ci czas minie. Weź więc towarzysza,
Który rozmową bawi i sobą rozśmiesza;
Weź miejskiego trefnisia, co ten dar posiada,
Co umie łątkę przypiąć, dwuznaczności gada,
Z wszystkiego do wszystkiego jak motylek lata,
Co kontent z siebie, ciebie i całego świata,
I który na początku ostrzej życia drogi,
Skacze jak cap ofiarny, gdy mu złocą rogi.

Czesław.

Nie Astolfie . . . nie szukam wesołości wcale,
Owszem . . . wesołość razi . . . zwiększa moje żale;
Lecz twój sposób myślenia, to ci powiem szczerze,
Dwa razy nieznośniejszym dla mnie jest w tej mierze:
Twojem czuciem nienawiść, nienawiść rozkoszą,
Każdemu twoje słowa, co chwila ją głoszą,
Ulgi nie szukasz, nie chcesz w innym mieć sposobie,
Jak lejąc w cudze serce żółć co karmisz w sobie.
Kto celem twych urągów, na cóż mieć na względzie?
Niech wszyscy cierpią . . . wszystkich w jednym sta-
wiasz rzedzie:

Ciebie i nędzny żebrak na drodze zatrzyma,
Jeśli na swoją nędzę dość uczucia niema.
Zgasić jakąbądź wiarę, jeżeli w nim tleje,

I wyrwać z jego łona ostatnią nadzieję,
To staje ci się ulgą . . . to twój umysł budzi,
Tak w twym smutku nie stronisz, ale ścigasz ludzi.

Astolf.

Czemuż mnie to wyrzucasz... Niech ci los zda sprawę,
Dla czego moje serce, tak gorzkie, tak krwawe.

I mnie w Arkadyi pierwszy dzień zabłysnął,
I mnie natura radość w życiu

Zaprzysięgła przy powiciu,
I mnie w Arkadyi pierwszy dzień zabłysnął,
Jednak łzy tylko czas rączy wycisnął *).

Czesław.

Któż tego z boskim wieszczem powtórzyć nie może!
Komuż choć raz nie błysły piękne życia zorze,
Któż nie doznał nadziei, i któż jęj nie tracił!
Ach któż uśmiech przelotny łzami nie opłacił! . . .
I ja się w świat rzuciłem, jak w matki objęcie,
Na tyle szczęścia, z razu słabem miał pojęcie,
Miłość, czynność, uczciwość, żebrząc podawałem,
Lecz mnie nie rozumiano. Czynnego z zapalem
Zimny przyjął rachunek . . . ufego zdradzili . . .
Kochającego, w krótkiej zapomniano chwili . . .
Odparte wszelkie czucie w sercu tylko wrzało . . .
Wygorzało nareszcie . . . śladu nie zostało.

Spokojniej.

*) Schiller, *Resignation*.

Sam więc bez towarzyszy idę w dalszą drogę,
Stronię ludzi, bo z nimi zgodzić się nie mogę,
Nie kocham, nie szacuję, lecz nie nienawidzę.

Astolf.

Dla mnie nienawiść mało, ja się nimi brzydę:
Czy z własnej winy, czy też z natury układu,
Co ma złości hyena, co padalec jadu,
Złącz z fałszem, zemstą, myślą co wszystko docieka,
I dodaj okrucieństwo, masz duszę człowieka.

SCENA V.

Astolf, Czesław; Kapka z herbatą.

Kapka.

To mi herbata! lepszéj i sułtan nie pije . . .
To zapach! to moc! Ledwie doniósł, tak w nos bije.
Stawiając herbatę.
Dodałem pół łyżeczki . . . kto czeka nie traci . . .
do kosztującego.

Prawda?

Na stronie.

Za pół łyżeczki poeta zapłaci.

Do Czesława.

Co za smak! prawda? zapach! angielska prawdziwa;
Cieszy się nosek Pański . . . jęczyzek używa.

Czesław odwraca się od Kapki podpierając się na łokciu.

Na stronie.

Nikomum przez poetę dzisiaj nie dogodził.

Astolf.

Panie Kapko, czyś Wać Pan poetą się rodził?

Kapka.

Jakto?

Astolf.

Czy piszesz więrsze?

Kapka.

Czy ja więrsze piszę?

Ja? Niech mnie Pan Bóg broni.

Astolf.

Czemuż zawsze słyszę,

Że poezją wzywasz?

Kapka.

Ach wzywam niestety!

Bo w garle stoją więrsze jednego poety.

Astolf.

Jakto?

Kapka.

Rok temu, jakaś Pani, stara, chora,
Wdowa z kąsiś, jakiegoś, nie wiem profesora,
Przybyła do nas z synem. Nikt tego nie przeczy,
Z razu Edwin był chłopcem dobrym i do rzeczy,
Zarabiał jak mógł, pismem, rachunkiem, usługą,
A gły lichy zarobek nie starczył na długo,
Chętnie, nad siły często, do pracy się stawił,
By tylko swojej matce jaką ulgę sprawił;

Nareszcie, sprzedał książki i sprzętów ostatki, .
Na najnędzniejszy pogrzeb, ale pogrzeb matki.
Ta uczciwość ściągnęła wszystkich mieszczan oczy,
Każdy dać mu zarobek był zaraz ochoczy;
A nasz Pan Burmistrz, który na wszystko uważa,
Od razu go posunął na urząd pisarza.
I ja mu także dałem darmo dwa pokoje,
By tam czego nauczył Zuzię córkę moję.
Ale Pan Edwin wkrótce, jak się odpasł nieco,
Nuż do wiérszy . . . a wiérsze jakby z worka lecą:
Zagadki, bajki, ody, czart tam wie nazwiska!
Pisze a pisze Panie, aż mu pióro pryska.
Nie dość, całe już miasto jego wiérsze czyta,
Zwłaszcza kobiety, każda jak marcypan chwyta.
Żadna nie wie co kura, co jaja, kurczęta,
Nie wie co mąka, krupy, a wiérsze pamięta;
A moja Panna Zuzia najbardziej bryknęła,
Czytywać jego wiérsze i lubić zaczęła.
No, myślę sobie, wiérsze, kto tam to uważa;
Ba! aż tu dalej Panna z wiérszy do wiérszarza.
Hola Mospanie! nie ucz! diabli z téj nauki!
Co mi z tego dobrego?

Astolf.

Z téj nauki wnuki.

Kapka.

Do nóg upadam.

Astolf.

Nie chcesz?

Kapka.

Pan nadto wesoły.

Astolf.

Co, nie chcesz dać mu córki? dla czego?

Kapka.

Bo goły.

Astolf.

Cóż ci to może szkodzić?

Kapka.

A cóż więcéj szkodzi?

Astolf.

Ale, kiedy córka chce, wszakto o nią chodzi.

Kapka.

Jakto, własnemu dziecku nié mam wskazać drogę?

Nie zapobiedz nieszczęściu, gdy przewidziéć mogę?

A cóż więc ku rodzicom miłość, wdzięczność wznieci?

Astolf.

Baśnie, stare powieści o wdzięczności dzieci.

Pókiś córce potrzebny, potyś ojciec drogi,

Sprzeciwisz się w czémkolwiek: z ojca tyran srogi,

Zmusiłeś ją nareszcie i dobrze się stało:

To dobro, nienajlepsze, dla niéj zawsze mało;

A cóż dopiéro, przymus gdy zły obrót bierze:

Złorzeczenia rodzicom, to dziecka pacierze.

I jakąż z losu córki możesz mieć nadzieję?

Czego się troszczysz, po co głowa ci siwieje?...

A chceszli gwałtem jaką zniewolić usługą,

Daj majątek . . . a dawszy nie popasaj długo.
Wtedy dzwony, żałoby, oświadczą ci dzięki
I dostaniesz nagrobek z twego zięcia ręki.

Kapka.

Już niech tam będzie co chce, ja się nie odmienię . . .
Nareszcie i sumienie . . .

Astolf.

Co to jest sumienie?

Kapka cofając się.

Co to jest?

Astolf.

Tak tak — co to jest.

Kapka.

No... kto ma zasady...

Astolf.

W Dramach, prawda, widziałem okropne przykłady
Jak zgryzota sumienia zbrodniarza karząca
Szarpie w nocach bezsennych i z łoża wytrąca —
Włos zjeżony — wzrok dziki — w pół nagi — bez
tchnienie.

I kiedy dobry aktor, dość robi wrażenia.

Lecz w świecie! ile razy widzieć ci się zdarzy,

Widzisz łotrów opasłych, rumienych zbrodniarzy,

Chrapią na miękkich łóżach i z sumieniem razem

Kołysani w śnie jeszcze swych zysków obrazem.

Kapka.

Dobrej nocy im życzę.

Astolf.

Nie dręcz się więc trwoga.
Wydaj córkę, niech idzie zwykłą teraz drogą;
Że ci najlepiej radzę poznasz w rok dopiero.
Bo widzisz, kochają się, potem się pobierą,
Potem ona go zwiedzie, potem on porzuci,
Potem płacz, jęk, a potem do ciebie powróci.

Śmiejąc się wychodzi.

S C E N A VI.

Kapka; Czesław dostaje książkę i czyta.

Kapka.

To mi panicz do rady, niechże Pan Bóg broni!
Aż mi się w głowie kręci, aż mi w uszach dzwoni.
A to jakiś heretyk, a to bez czci, wiary!
A co za język! . . . Czekać nie ujdiesz bez kary.

Siada przy stoliku, dobywa z pugilaresu rachunek i ołówek;
mrużąc,

Stancya, światło, kawa, wino, sér, sałata . . .
Summa złotych dwanaście . . . zapłacisz dukata.

Chowając rachunek.

Wszystko zganił, obgadał, we wszystko się wścibił...
I ten . . . siedzi jak mruk . . . hm! . . . także mi uchybił.

Dostaje drugi rachunek.

Od niego ... złotych dziewięć ... dwanaście zapłaci;
Tak ... niech kochają ludzi jakby własnych braci.

SCENA VII.

Kapka, Zuzia; Czesław

czyta, tyłem do nich obrócony.

Kapka.

Panno Zuzanno!... bliżej... jeszcze... w górę głowa...
Jeszcze... uważać teraz wszystkie moje słowa:
Jestem ojcem Wać Panny... wiesz o tém Wać Panna?
Wiesz?

Zuzia.

Wiem.

Kapka.

Kocha cię Edwin?

Milczenie.

Odpowiedź Zuzanna?

Zuzia cicho.

Kocha.

Kapka.

Kochasz ty jego?

Zuzia ciszej.

Kocham.

Kapka.

Chee się żenić?

Zuzia.

Chce.

Kapka.

Ty, chcesz pójść za niego?

Zuzia.

Jeżeli mam cenić ...

Kapka.

Chcesz, czy nie?

Zuzia.

Chcę, chcę.

Kapka.

Szczerze?

Zuzia.

Całą duszą moją.

Kapka.

Gdy więc twoje nauki na tym stopniu stoją,
Gdy on kocha, ty kochasz, kochacie wzajemnie,
Gdy tylko pozwolenia czekacie odemnie,
Jako ojciec troskliwy o swe własne plemię,
Ojciec dobry, powolny, a nie bity w ciemę,
Twoje dobro jedynie mający na względzie,
Daję rękę... że z tego ... nic a nic nie będzie.

Zuzia.

Spodziéwam się ...

Kapka.

Zuzanna niech się nie spodziéwa.

Izdebka darmo dana gdzie poeta śpiewa,
Na kapustę potrzebna. Niech mi się wynosi,
I po innych już strychach swoje więrsze głosi.

Zuzia.

Za cóż go tak wypędzać, i znieważać za co?
Toż on zasłużył od nas swoją szczerą pracą?
Jeżeli go nie kochać, wdzięczną mu być muszę,
On otworzył, ukształcił i wzniósł moję duszę;
Dla czegoż tobie ojcze, niema być przyjemnie,
Widzieć ten postęp światła, tę odmianę we mnie.

Kapka.

Nadto, nadto jej rozum za tém światłem śpieszy;
Mędrszaś już od prababki, i to mnie nie cieszy.
Na co, po co tych nauk? jak Kapki Kapkami,
Żadna Kapczanka nauk nie brała więrszami.

Zuzia.

Ależ kochany ojcze, mylnie wnosisz sobie,
Że nad czytanie więrszy, nic więcej nie robię,
Przeciwnie, te czytywać niedawnom zaczęła.

Kapka.

Cóż więc? czego się uczysz? jakie umiesz dzieła?

Zuzia.

Uczę się historyi.

Kapka.

Na co to się zdało!

Więdz co się z tobą dzieje, nie co gdzieś się działo.

Zuzia.

Także geografii.

Kapka.

Jeszcze czego, proszę!

Jaka na filozofa! I ja mylnie wnoszę?

Żeby choć jeden przedmiot, jeden nienaganny.

Zuzia.

Także obcych języków.

Kapka.

Dość jeden dla panny.

Rachować, czytać, pisać, to mądrość kobiety;

Summa summarum żoną nie będziesz poety.

Powiedz mu jak tu przyjdzie, jakie me rozkazy,

I powiedz, że jednego nie mawiam dwa razy.

SCENA VIII.

Zuzia ; Czesław

jak wprzód.

Zuzia.

Skończyły się dni szczęścia, zaczęły niedoli,

Jak tamte szybko zbiegły, te pójdą powoli.

Czemuż świat nowy moja rozpoznała dusza,

Kiedy stan mój w dawniejszym zostawać przymusza?

Na toż poznając miłość, najczystsza poznała,

Aby ją tracąc, boleść dwojaką się stała?

S C E N A IX.

Zuzia, Edwin; Czesław

jak wprzódy.

Edwin mówi zawsze z czuciem, często z uniesieniem.

Edwin.

Wiadomość droga Zuziu, obojgu nam miła . . .

Ale nie jesteś sama . . .

Zuzia

ciszej, przy przeciwniej stronie Czesława.

Jakbym sama była :

Od godziny tak siedzi, nie słyszy, nie gada,
Chcąc nawet aby słuchał, prosić go wypada.**Edwin.**

Czy głuchy?

Zuzia.

Nie.

Edwin.

Niemy?

Zuzia.

Nie.

Edwin.

Cóż?

Zuzia.

Nie wiem.

Edwin.

Choroba?

Zuzia.

To wiem tylko, że mi się całkiem nie podoba.
Dwóch, jeden jak i drugi, zły, groźny, ponury,
Zajechali tu wczoraj jak dwie czarne chmury,
A jużci grzmoty, hałas nieustanny w domu,
I na nas wszystko spada, co zagrozi komu.

Edwin.

Jakto?

Zuzia.

Znasz mego ojca, jak rozmawiać lubi,
Jak się chętnie dostatkiem swego domu chlubi,
Jak go boli i martwi, kiedy kto co zgani;
A ci jemu na przekór jak gdyby wybrani,
Jeden z nim mówić nie chce, drugi wciąż go łaje,
Albo drażni drwinkami, gdy nagan nie staje,
Tak, że się już mój ojciec nie posiada w złości
I ciebie tém obdarza, czém nie może gości.

Edwin.

Mnie?

Zuzia.

A ciebie, bo twoja sprawiła sielanka,
Że kiedym ją czytała, wybiegła śmietanka;
Że kiedy z sparzonemi wpadł ojciec palcami,
Byłam zajęta... i czém niestety! ... wierszami.
Z tąd spadła wszystkich nieszczęść na wiersze przy-
czyna,
A z wierszy na nauki, z nauk na Edwina;

Słowem przyrzekł, że mając me szczęście na względzie
Z naszej czułej miłości nic a nic nie będzie.
Mojej prośby nie słucha, z moich łez się śmieje,
A ja widzę, że próżno mieć dalej nadzieję.

Edwin.

Ja tak myśleć nie mogę. Ach Zuziu kochana,
Nie tak skąpo nadzieja sercom naszym dana,
Aby lada przeciwność mogła ją niweczyć.
Przykre nasze stosunki, trudno temu przeczyć;
Ale miłość prawdziwą i czystą jak nieba,
Aby zniszczyć... O, ileżto na to nie trzeba!
Węzeł duszę łączący nie tak łatwo skruszyć,
Wzdryga się ludzka władza siłą go naruszyć,
Przeznaczenie go nawet szanować się zdaje,
A każda mu sekunda świętości dodaje.
Jeśli więc szasem chmura słońce nam zasłoni,
Czekajmy, może wkrótce wietrzyk ją przegoni;
Jeśli nam przeciwności przygaszą nadzieję,
Czekajmy, może wkrótce znowu nam zatleje.

Zuzia.

Ty wzięłaś moją duszę, ja nié mam jej w sobie,
Myślę, gdy ciebie słucham, żyję, gdym przy tobie,
W tobie mój los obecny, moja przyszłość cała,
Ty nie tracisz nadziei, jam ją odzyskała.

Edwin.

Oto właśnie z stolicy listy odebrałem,
Sztukę moję już grano... przyjęto z zapalem.

Imię autora, ojca zasługi wspomniało,
Którego wiele czczono, nagrodzono mało;
Kilka już osób ceniąc mój talent łaskawie,
Obiecało wyrobić, bym miał chleb przy sławie:
Urząd przy bibliotece nieznaczący wiele,
Ale który do wyższych drogę mi uściela.
Weź listy, pokaż ojcu, pokaż i gazety,
Wyrocznią teraz jedną biédnego poety;
Trudno, by dla tych wieści zmienić swoje zdanie,
Ale w rozłączeniu nas, mniej skorym się stanie.

Zuzia.

O, ręczę, że jak tylko o wszystkim się dowię,
Przeciw naszej miłości i słowa nie powię:
Jesteś sławnym autorem, jesteś na urzędzie,
Czegóż chcejeszcze.. biegnę.. wszystko dobrze będzie.

SCENA X.

Edwin; Czesław jak wprzód.

Edwin.

Jestem więc „na urzędzie... i sławnym autorem.“
Szkoda tylko, że światu nie może być wzorem,
Zatém urząd i sława w nadziei zostanie,
Lubo droższe nad świata, jest kochanki zdanie.

S C E N A XI.

Edwin, Astolf; Czesław

jak wprzódy.

Astolf z ironiją.**Pewnie Pan Edwin?** Czesław słucha rozmowy.**Edwin.**

Tak jest.

Astolf.

Wiem z ust gospodarza,

Jakie mu jego talent przeciwności zdarza.

Mówił, że kochasz Zuzię...

Edwin.

Mówił, ach mój Panie,

Ale jak kocham, tego mówić nie był w stanie.

Pierwszym wzbudził jej czucie, nową duszę stworzył,

Nie, myłę się, jam tylko jej duszę otworzył.

W zawiązku były nieba najpiękniejsze dary,

Pojęcie, cnota, godność, i miłość bez miary

Nie mdły rzut oka w oku wysledzał nagrody,

Nimeśmy się kochali, znaliśmy się wprzódy;

Przyjaźń zbliżała zwolna nasz zakres daleki,

Nim dusze w jedną istność spłynęły na wieki.

Astolf.

Prawdziwie, wieszczym duchem obraz utworzony;

Ale pozwól niech w niego spojrzę z drugiej strony:

Jesteś poetą... a z tąd oczywiste zyski.

Dla poety, to wiemy, każdy stopień niski,

Przed nim i ściészka życia w przestrzeń się rozdyma,
Końca na szczytach świata, ani granic niema;
Żeniąc się zaś tak młodo z córką oberżysty,
Zniknie w dymie kuchennym Feba promień czysty.
Dla czegoż twojej sławie raz zadajesz zgubny?
Stracisz wartość u siebie, stracisz wieniec chlubny,
Co może jakiś, kiedyś gazeciarz ci poda,
I tych krwawych poświęceń jakaż jest nagroda?

Edwin.

Jej miłość, moje szczęście, to istotne zyski,
I tych pewnie nie zniszczą satyry pociski.

Astolf.

Miłość! miłość kobiety ma wszystko nagrodzić?
Miłobyto nam było tym snem się uwodzić,
Gdyby nie przebudzenie, za bliskie niestety!
Wierzysz biedny kobietom, nie znasz co kobiety!
Kocha cię, mówisz, kocha? przysięgać ci będzie,
Życie swoje narazi w szalonym oblędzie,
Puszcza, byleby z tobą, powabem ją znęci,
Spokój ... imię ... majątek ... wszystko ci poświęci,
Wtedy tylu dowodom raz zaufasz przecię,
Uwierzysz, że nad ciebie nic już niema w świecie,
Pomyślisz, że i cnotą chcąc się jeszcze szczycić,
Musi, jak powój drzewa, ciebie się uchwycić;
Ale nie! Sama nie wie, mniej czuła niż płocha,
Czy jutro kochać będzie tego co dziś kocha;
Ginie, kona dla ciebie ... i nie zna po chwili.

W ten czas niech się twój umysł wstrzymać ją nie sili;
Twoje prawa są niczem, twój gniew nic nie znaczy,
Z twoich wyrzutów śmieje, cieszy się z rozpaczy.
O! ten, co swoje szczęście połączył z kobietą,
Chwycił gałąź bluszczową nad przepaścią skrytą:
Urywa ją i pada, ginie wśród kamieni,
A na górze bluszcz bluszczem, znowu się zieleni.

Edwin.

Podług złej małej cząstki, całego nie mierzę,
I będę czcił płeć piękną, póki w cnoty wierzę:
Pierwszy mój uśmiech, usta do kobiety wzruszył,
Pierwszą łzę moję oddech kobiety osuszył,
Pierwsze słowo, jej mowa kształciła pieszczona,
Do kobietym najpierw wyciągnął ramiona,
I kiedy w mgle dzieciństwa matkę poznawałem,
Nie wiedząc, co kochanie, kobietę kochałem.
A jeśli później ojca surowe nauki
Uczyły jak żyć trzeba, i cierpienia sztuki,
Jeśli im winien jestem miłość, stałość w cnocie,
Niemniej mozem jest winien i matki pieszczocie:
Dobroć, miłość, cierpliwość, najświętsze zasady
Wpajała w młode serce własnymi przykłady,
I poznałem, gdym przejrzał lat młodych ciemnoty,
Że życie dobrej matki pierwszą szkołą cnoty.
Upodobanie stałe tej samej zagrody,
Gdzie, jakby sen pieszczący przesnuł się wiek młody,
Powab, co z blasku świata i sławy zapachu

W cichy obwód rodziny przyciąga pomału,
Władzę, co lekkim tknięciem duszę naszą budzi,
Drażni, aby nagradzać, by upewnić, ludzi,
I ta pewność, ta pewność, szczęścia czyste źródło!
Żem zyskał drugie serce, że jest całkiem moje,
Ta pewność, że w dwóch sercach jedno tylko bicie,
Komu winni jesteśmy, jeśli nie kobiecie?

Astolf.

Wieszczu, teraz postrzegam, już jesteś zgubiony,
Niema dla ciebie ratunku . . . szukaj sobie żony.
Twój upór jakby siedział we krwi, a nie w duszy,
Łatwiej go jaki plaster, niżli dowód wzruszy.
Ale gdy teraz na bok broń satyry złożę,
Powiedz, u nas twój talent co obiecać może?
Każdy co pisze, pisze dla zysku lub chwały,
Zysku, nie znajdziesz wcale albo bardzo mały;
I choćbyś był Homerem, gdy pieniędzy nie masz,
Twój rękopis w szufladzie do śmierci zatrzymasz;
Albo nareszcie drukarz, gdy poprosisz czule,
Z długim myślek rejestrem wyda na bibule.
Ale cóż? Nic i z tego . . . nikt się i nie spyta,
Bo każdy dziś chce pisać a mało kto czyta.
Sława więc powieśz. Dla nas już minęła pora:
Europa teraz cała ojczyzną autora.
Niemiec, Włoch i Francyi krzyżują się dzieła:
Nasze? jakżeto ciasna granica obieła!
Dwa albo trzy teatra i wózek księgarza,

To teraz pole sławy polskiego pisarza;
A te biedne teatra, gdzie na jednej scenie
Dzisiaj klaszczą Barbarze a jutro Syrenie,
I szczęście jeszcze, jeśli nie te same usta
Głoszą śpiew Terefercia i żale Augusta.
Jednak, jeśli wystąpisz uczniem Melpomeny
I na pięć długich aktów rozwałkujesz treny,
Każdy widz już przychodząc smutku się spodziewa,
I jeśli łez nie roni, to przynajmniej ziewa.
Lecz wesolej Taliji gdy podniesiesz maskę,
Tylu sprzecznych rozumów jakże zyskać łaskę?
Ten prawdę, tamten dowcip, ten koziołki lubi,
Ten znowu z cyrklem tylko, w rozmiarach się gubi;
Tamten scenie zazdrości jej własnej przestrzeni,
Temu ciasna i duszna, gdy się w świat nie zmieni;
A ci zaś którym *Geoffroy* pozawracał głowy,
Którym gazety płacą ich wyrok surowy,
Co uczą pisać drugich nim nauczają siebie,
Białe dotąd swe pióra zaczernią dla ciebie.
I gdy ich tylko głosy przerwą czasem ciszę,
Musisz się w końcu spytać: Dla kogo ja piszę?

Edwin.

Niech nie kazi świętego nazwiska poety,
Kto trwożném okiem szuka zamierzonej mety:
Nie zabrzmi lutnią wdzięcznie; próżno w nią uderza,
Kto liczy własne zyski, korzyści przemierza.
A jeśli nucić będzie za Fortuny kołem,

Jeśli swój byt powlecze korném bijąc czołem,
Nie znajdzie różczki lauru na spodłone skronie,
Nie przejdzie grobu sławą i umrze przy zgonie.

Z wzrastającym zapalem.

W wyższą, jaśniejszą przestrzeń wieszcz prawy pozióra,
Jemu źródło światłości, niebo się otwiera;
Z tamtąd promień ściągnięty w luby dźwięk rozradza
I na świat błędnych marzeń nowy świat sprowadza.
Niech chwyci złoty bardon wzniesie święte pienie,
Leje w duszę, jak strumień, własne uniesienie:
Za nim błagalne chóry brzmią w świątyniach Boga,
Nadzieja poi prawych a występnych trwoga;
Za nim powtórzą wnuki swych pradziadów dzieje,
A w najziemniejszych sercach chęć sławy zatleje;
Miłość, co jednym wieńcem objęła świat cały,
Przejmuje łono wieszcz i wiedzie do chwały;
Miłość przez jego usta sama siebie głosi,
I do cnoty i zgody każde czucie wznosi.
A jeśli mu nad grobem wawrzyn się zagęści,
Jeżeli się przyłożył choć w najmniejszej części
Do sławy swego kraju, do dobra współbraci,
To nagroda poety, téj nigdy nie straci!

Czesław.

O, zachowuj te myśli: są duszy ozdobą,
Ich urok sięga w koło, porywa za sobą . . .
Pomogę ci do szczęścia, spełnię twą nadzieję
I przy ogniu serc waszych i moje zagrzeję.

S C E N A XII.

Astolf, Czesław, Edwin, Kapka, Zuzia.

Kapka mając gazety i list w ręku.

Tam do kata! to dobra! to mi kapitały!
Krytyki dwa arkusze, trzy wiersze pochwały.

Do Edwina.

Jednak gdzieindziej proszę szukać sobie żony,
Mówilem i powtarzam . . . Sługa uniżony.

Czesław.

Słuchaj mnie Panie Kapko. Jestem dość bogaty,
Żyję sam bez przyjaciół, krewnych, nie żonaty;
Wyrzekłem się już szczęścia, wyrzekłem się ludzi,
Myślałem, że mój duszy nic już nie obudzi;
Dzisiaj zapał młodzieńczy, to czyste wejrzenie,
W piękny dar życia, w przyszłość, w całe przyrodzenie
Wstrząsło moją istotę . . . Mógłem łzę uronić . . .
Choćby znów błędnym czuciom nie chcę serca bronić,
Chcę zapomnieć com cierpiał, żyć szczęściem Edwina:
Niech się zeni z twą córką, biorę go za syna.

Do Edwina i Zuzi.

Nie chcę od was wdzięczności, miłości nie żądam,
Niech tylko przy was będąc na szczęście spoglądam.

Zuzia.

Za tyle dobrodziejstwa . . .

Czesław.

Nic darmo nie daję.

Edwin.

Lecz całe szczęście nasze . . .

Czesław.

Mojem się już staje.

Kapka.

Milczałeś Pan, to prawda i to czas niemały,
Lecz warto milzczeć, warto, choćby i rok cały,
Byle się tak odezwać, jak się Pan odzywa.

Edwin do Kapki.

Mogę się więc spodziewać . . .

Zuzia do Kapki.

Będę więc szczęśliwa? . . .

Kapka dając rękę córki Edwinowi.

Na, masz, bierz, szczęście ci Boże, teraz rymuj sobie.

Astolf do siebie.

Sam, sam jestem na świecie, postrzegam w tej dobie;
Ten równie nieszczęśliwy pociechę otrzyma,
Dla mnie tylko natura i uśmiechu niema.

W złości.

Kapko! ty Kapko! koni, bo sobie w łeb strzelę.

Wychodzi i trzaska drzwiami.

Kapka biegnąc ku drzwiom.

Dla Boga, niechże jedzie!

Wraca i ogląda się, cicho do Zuzi.

Za tydzień wesele.

Głośno.

A mój dóm, co był dotąd pod *francuzką szpadą*

Od dziś dnia jest oberżą pod *czułą balladą*.

K O N I E C.



Książka dla dzieci

Wydanie drugie

Wydanie drugie

Wydanie drugie

Wydanie drugie

Wydanie drugie



K. P. ICHLER

W Wiedniu. W wydłoczni A. Pichlera zm. Wdowy.



WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

111612

L-P

Biblioteka WSP Kielce



0227733